

JACK DE CRAFT

PANI ŚMIERĆ

SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.	2
PROLOG	5
ROZDZIAŁ PIERWSZY	7
ROZDZIAŁ DRUGI	11
ROZDZIAŁ TRZECI.	16
ROZDZIAŁ CZWARTY	22
ROZDZIAŁ PIĄTY	26
ROZDZIAŁ SZÓSTY	34

ROZDZIAŁ SIÓDMY	42
ROZDZIAŁ ÓSMY	51
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	57
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	72
ROZDZIAŁ JEDENASTY	94
ROZDZIAŁ DWUNASTY	104
ROZDZIAŁ TRZYNASTY	108
ROZDZIAŁ CZTERNASTY	115
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY	128
ROZDZIAŁ SZESNASTY	147
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY	153
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY	167
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY	181
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY	187
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY	196
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI	204

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI	216
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY	222
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY	229
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY	239
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY	249
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY	257
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY	261
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY	269
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY	276
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI	283
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI	289
EPILOG	290

PROLOG

Port w Luxurze gościł wiele statków, często z najbardziej oddalonych krajów świata. Ale ten statek, który ze zrefowanymi żaglami stał na redzie budził ciekawość gapiów. Wąski, o niewysokich burtach, smukły dziób zakończony głową smoka wznosił ponad wodą. Przy wiosłach siedzieli poważni, jasnowłosi i brodaci żołnierze o bladych twarzach. Każdy z nich był wysoki, o szerokich ramionach i widać było na pierwszy rzut oka, że to ludzie nawykli do topora czy oszczepu. Oni też z ciekawością, choć w milczeniu przyglądali się barwnemu tłumowi kręcących się po nabrzeżu Stygijczyków. Wreszcie, gdy słońce chyliło już się ku zachodowi, do burty statku podpłynęła łódź. Siedziało

w niej dwóch Stygijczyków, a między nimi zgarbiony mężczyzna w czarnym płaszczu. Nie było widać jego twarzy, gdyż pochylał głęboko głowę przyciskając brodę do piersi. Żeglarze jednak musieli się go spodziewać, gdyż zaraz dwóch z nich wychyliło się, ujęło przybyłego pod ramiona i wciągnęło na pokład. Dowódca żeglarzy, rudobrody olbrzym przycisnął go do piersi i ucałował. Zobaczył wynędzniałą twarz przybysza, przepaskę na prawym oku, zmiażdżony, a niestarannie złożony nos i nagie, pozbawione zębów dziąsła.

— Zapłacicie za to — rzekł z nienawiścią patrząc na Stygijczyków.

Jeden z nich roześmiał się pogardliwie.

— Bacz pilnie co mówisz — powiedział — i pamiętaj, że nie opuściłeś jeszcze Stygii.

Żeglarz splunął przez zęby i zaklął, ale nie odezwał się więcej.

— A ty — Stygijczyk spojrzał na jednookiego — pamiętaj o naszej łasce. Wiedz jednak, że nic nie uratuje cię przed śmiercią, jeżeli spróbujesz powrócić.

— Dość tego — rozkazał dowódca żeglarzy — wynoście się i niech was piekło pochłonie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ymirferd był dumny zarówno ze swego imienia, które w języku Vanirów oznaczało „miecz Ymira”, jak i siły. Niczym było bowiem dla niego przerażanie na pół toporem rycerza w pełnej zbroi czy zabicie tura uderzeniem pięści. Od kiedy jednak niechcący, w czasie zabawy zabił swego najlepszego przyjaciela, starał się ostrożnie szafować siłą. Właśnie z powodu tego nieszczęsnego wypadku opuścił dwór w stolicy Vanaheimu i na polecenie króla udał się, aby odszukać pewnego człowieka. Pierwszy raz znalazł się tak daleko od kraju, przemierzył Cimmerię, znalazł się w Tauranie, aż wreszcie dobił do celu czyli do Pogranicza Bossońskiego. Odnalazł mały kamienny zameczek i stał teraz

przed tym, którego poszukiwał. Musiał przyznać, że nigdy jeszcze nie widział człowieka takiej postury jak jego gospodarz. Był to bowiem mężczyzna jeszcze wyższy od Ymirserda i szerszy w barach, a każdy jego ruch znamionował nie tylko siłę, ale i niebywałą zręczność. Ymirserd musiał z niechęcią przyznać przed samym sobą, że nie chciałby spotkać się z tym olbrzymem na ubitej ziemi. Chociaż nie był to już człowiek młody. Czarne włosy miał przyprószone szronem siwizny, a wokół lodowato niebieskich oczu rysowały się szerokie zmarszczki nadając twarzy wyraz zmęczenia.

— A więc spotkałem cię wreszcie Conanie Cimmeryjczyku — rzekł Ymirserd z uśmiechem na ustach — a nie było to, wierz mi, łatwe.

— Wiedziałem, że kiedyś tak się stanie — odparł Conan nalewając gościowi wina do kubka — ale nie sądzę, że w czymkolwiek ci pomogę.

Ymirserd upił łyk wina.

— Ty to mówisz, Conanie? — spytał — ty, który byłeś królem Aquilloni, ty który zwyciężyłeś magów i kapłanów, który powiodłeś piratów Królowej Czarnej Wybrzeża na Stygię, który uratowałeś khaurańską Królową Taramis. . .

— Znam moje dzieje lepiej niż ty — warknął Conan — ale powiem ci, że dość już miałem walk, bitew, tułaczki. Kupiłem ten zamek i okoliczne włości. Mam żonę, dzieci, prowadzę leniwe, spokojne życie. Nie interesują mnie wieści ze świata, niech się tam wali i pali, niech ludzie mordują się o władzę i złoto. Ja pragnę już tylko odpoczynku nim Crom wezwie mnie do Valhalli.

— Nie uwierzyłbym, gdybym słyszał to z innych ust — pokręcił głową Ymirferd. Znów upił tyk wina z kubka.

— Mój władca zezwolił, abym powiedział ci, że otrzymasz wszystko czego pragniesz, prócz korony Vanaheimu. To szczodra oferta, przyznasz chyba.

Conan skinął głową.

— Nie byle jakie szykuje zadanie twój król — rzekł zadumany — podejrzewam, iż to wyprawa, z której raczej się nie wraca.

Ymirferd roześmiał się.

— Nic nie wiem o tym, co miałbyś zrobić — powiedział — ja tylko przybyłem, aby zabrać cię do Vanaheimu. Tam dowiesz się wszystkiego z ust króla.

— Nie pojedę z tobą choćbyś ofiarował mi wszystkie królestwa i skarby świata.

Drzwi komnaty otworzyły się i do środka weszła młoda, jasnowłosa kobieta o bladej, delikatnej twarzy i ogromnych zielonych oczach. Ymirsferd zachwycony powstał na jej widok.

— To mój świat — rzekł Conan obejmując żonę — moje złoto i królestwo. I na Croma klnę się, że nie chcę nic poza tym.

— Zaprosz naszego gościa na obiad — powiedziała z leciutkim uśmiechem — kazałam kucharzowi specjalnie się postarać.

Ymirsferd pochylił głowę.

— Dzięki, o pani — odparł — chyba rozumiem już — rzekł zwracając się do Conana — czemu nie chcesz opuścić domu.

Westchnął i spojrzął na wychodzącą kobietę.

— Wygrałeś Conanie — mruknął — nie będę cię już więcej namawiał.

Cimmeryjczyk poklepał go po ramieniu i pociągnął za sobą.

— Chodźmy na ten obiad — rzekł — czas już.

Ymirsferd idąc u jego boku zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy czuje się mały i wąty.

ROZDZIAŁ DRUGI

Drużyna Ymirferda weszła już na południowe obszary Cimmerii. Do tej chwili szczęśliwie nie byli przez nikogo niepokojeni i mieli nadzieję, że spokojnie i bezpiecznie dojdą z powrotem do Vanheimu. Obozowali właśnie na polanie, pod lasem. Miało się już ku zmierzchowi, gdy Ymirferd dojrzał na horyzoncie, wyłaniającą się z mroku i mgły galopującą na koniu postać. Kiedy jeździec był już całkiem blisko, dostrzegli wreszcie jego twarz. Ale Ymirferd wcześniej poznał, iż to musi być Conan. Próżno bowiem byłoby szukać człowieka podobnego postawą do Cimmeryjczyka. Teraz Conan zeskoczył z chrapiącego i okrytego pianą wierzchowca.

— Co się stało? — spytał Ymirferd bacznie przyglądając się przybyszowi.

— Daj coś jeść i pić — rozkazał szorstko Conan i zwałił się na ziemię obok ogniska.

Vanir z podziwem przyjrzał się temu olbrzymowi, teraz odzianemu w skórzaną zbroję i półpancerz na piersiach. U pasa Cimmeryjczyk miał długi, prawie pięciostopowy miecz o szerokiej klindze i zdobionej drogimi kamieniami rękojeści. Nawet leżąc, zmęczony długą podróżą, Conan roztaczał wokół siebie atmosferę niezwyklej siły. Łapczywie sięgnął po podany mu sarni udziec. Kości zatrzeszczały gdy wgrzył się w porcję. Vanirowie w milczeniu patrzyli jak się posila i jak ciągnie długie łyki wina ze wciąż na nowo napełnianego dzbana. Wreszcie odetchnął ciężko, oblizał palce z tłuszczu i wskazał Ymirferdowi, aby usiadł obok niego.

— Mów Conanie — poprosił Vanir.

— Gdy wyjechałem na kilka dni — zaczął Conan — jacyś zbrojni napadli na zamek. Wyrznęli w pień moich ludzi, porwali żonę. Zostawili tylko dzieci i parę kobiet.

Potężne dłonie Cimmeryjczyka zacisnęły się w pięści, a oczy nabrały tak szalonego wyrazu, że Ymirferd aż odwrócił wzrok.

— Patrz co zostawili — Conan sięgnął w zanadrze i podał Vanirowi złożony w czworo pergamin.

Ymirferd wzruszył ramionami.

— Nie umiem czytać — rzekł — co tam jest?

— „Trzymaj się z dala od Vanaheimu. Wzięliśmy twoją żonę, a jeżeli nie posłuchasz rady zabijemy twoich synów”.

Vanir potarł knykциями brodę. Nagle Conan chwycił go za ramię i przyciągnął do siebie. Ymirferd tuż przed twarzą dojrzał lodowato-niebieskie oczy Cimmeryjczyka teraz szalone i pełne gniewu. Wstrząsnął nim mimowolny dreszcz.

— Czego chce ode mnie twój król? Kto mógł się bać tej misji tak bardzo, że porwał moją żonę i wybił ludzi? Mów, na Croma, człowieku!

Ymirferd wyrwał ramię z uścisku.

— Nie wiem, Conanie — rzekł — mogę tylko domyślać się pewnych rzeczy.

— Mów więc i nie dręcz mnie dłużej — w głosie Cimmeryjczyka zadźwięczała groźba.

— W zeszłym roku Hrodwig powrócił z wygnania, zabił panującego wtedy Aarda i obwołał się królem Vanaheimu. Służyłem mu od lat, wiem więc, że jego brat był przez dwadzieścia lat więziony przez Stygijczyków. Teraz, gdy Hrodwig został władcą, mógł już wykupić brata z niewoli. Sądzę, więc, że chodzi o zemstę, że mój pan pragnie abyś kogoś zabił, a kto wie może poprowadził wyprawę na Stygię.

— Stygia — szepnął Conan — zawsze Stygia i Stygijczycy, wyznawcy Seta z Khe-mi, magowie i kapłani, okrutni władcy. Tyle klęsk ponieśli, a jednak wciąż kęsają. O na Croma, jakże nienawidzę Stygii!

— Słyszałem i ja co nieco o tym kraju — mruknął Ymirferd — i powiem ci, że nigdy nie chciałybym tam się znaleźć.

— Ja też — odparł Conan — lecz trudno. Muszę pomścić swych ludzi i uwolnić żonę. Nikt jeszcze nie zadrwił z Conana Cimmeryjczyka bezkarnie. Tym co to zrobili wyrwę serca z piersi i rzucę psom na pożarcie!

— Jeżeli szpiedzy Stygii wiedzieli, że cię odwiedziłem wiedzą też zapewne, że przyjechałeś tu. Nie obawiasz się więc, że skrzywdzą twoją żonę czy synów?

— Dziećmi zaopiekował się człowiek, który może drwić z potęgi Stygii. Wódz bossońskich najemników. A Ylwę — Ymirferd pierwszy raz usłyszał jak Conan wymawia imię żony — będą trzymać do końca, aby cały czas móc mnie straszyć. Zapłacą mi za to, klnę się na Croma! Ale wpierw — Conan utkwiał wzrok w Vanirze — wysłucham twojego króla. Może dzięki temu dojdę co wypada mi czynić.

Ymirferd szeroko uśmiechnięty wyciągnął obie dłonie.

— Cieszę się Conanie. Wierz mi, że nie pożałujesz tego.

— Żałuję, że w ogóle cię spotkałem — odparł Cimmeryjczyk — przywlokłeś nieszczęście do mego domu. Módl się do bogów, aby moja żona żyła.

Ymirferd opuścił dłonie i uśmiech zgasł na jego twarzy. Wiedział kogo sięgnie zemsta Cimmeryjczyka, jeśli straci żonę. Lodowaty strumyczek potu spłynął mu po plecach.

ROZDZIAŁ TRZECI

Hrodwig był już bardzo stary. Jego twarz przypominała pieczone jabłko, siwe włosy spływały na ramiona, ale głos nadal miał jeszcze władcą moc. Conan stał przed nim i obaj myśleli o tym jak to się układają koleje życia, że Cimmeryjczyk, który zawsze walczył z Vanirami teraz stał się ich sprzymierzeńcem.

— Współczuję ci Conanie — rzekł Hrodwig — i wiedz, że pomogę ci odzyskać żonę, gdyż wiem, że to moi ludzie sprowadzili nieszczęście do twego domu. A teraz siadaj i wysłuchaj co ja i mój brat będziemy mieli do powiedzenia.

Otwarły się drzwi komnaty. Dwóch mężczyzn wniosło fotel, na którym siedziała jakaś przeraźliwie chuda postać. Conanowi wydawało się, że to kościotrup obciążony żółtym, pomarszczonym pergaminem, tak wątle były dłonie ściskające poręcze. Kości policzków zdawały się przebijać skórę. Słudzy postawili fotel obok tronu Hrodwiga i wyszli.

— Oto mój brat, Conanie — rzekł władca — dwadzieścia lat spędził w lochach Stygii.

Cimmeryjczyk nie musiał nawet pytać czy go torturowano. Przepaska na oku, ślad po zmiżdżeniu nosa i bezzębne dziąsła mówiły same za siebie.

— Tak, Conanie — zaszeptał brat Hrodwiga jakby odgadując jego myśli — torturowano mnie i to tak strasznie jak tylko mogą to czynić kapłani Seta. Łamano mi kości, rozciągano stawy, wyrwano zęby i paznokcie, wyłupiono oko. Rvano mi ciało rozpalonymi kleszczami, polewano płynną siarką, zdzierano skórę ze stóp, w końcu nawet wykastrowano mnie.

Ciałem Conana wstrząsnął dreszcz.

— Za co to wszystko? — spytał zaciskając usta.

— To długa historia — wtrącił Hrodwig — opowiem ci ją, bo znam wszystko tak samo dobrze jak Rynherd, a jemu trudno jest mówić.

Odetchnął głęboko, upił łyk wina i otarł powoli usta. Milczał chwilę zbierając myśli.

— Rynherd był zawsze dziwny — zaczął w końcu — my Vanirowie jesteście narodem wojowników i żeglarzy. Mało interesujemy się magią, a jeśli już, to tą najprostszą, wróżbami, przepowiadaniem pogody, leczeniem. Rynherda tymczasem zawsze ciekawiło to co tajemnicze i niepoznane. Gdy miał siedemnaście lat opuścił Vanaheim i popłynął do Zingary. Tam uczył się magii od kordavijskich kapłanów. Po trzynastu latach. . .

— Czternastu — poprawił Hrodwiga cichy szept.

— Tak, czternastu. A więc po czternastu latach udał się do Stygii. Tam został schwytany w lochach pod świątynią Seta w Khemi i uwięziony. Dopiero po dwudziestu latach, gdy zostałem królem, mogłem go uwolnić.

— Co robiłeś w świątyni Seta? — spytał Conan — czego tam szukałeś?

— Królowej Śmierci — wyszeptał Rynherd. Cimmeryjczyk zmarszczył brwi.

— A cóż to takiego?

— Szczerozłoty posąg bezimiennej bogini śmierci. Kapłani Seta mówią na nią po prostu Królowa Śmierć — wyjaśnił za brata Hrodwig. Sami od lat bezskutecznie szukają tego posągu. Wiadomo, że jest on w Khemijskich podziemiach, ale to przecież wiele setek, a może i tysiące korytarzy. Istny, nieprzebyty labirynt.

— Po co komu ten posąg? Czyżby kapłani Seta mieli mało złota? Zresztą jak chciałeś wydobyć go z podziemi nawet, gdybyś go znalazł?

— Tu nie chodzi o posąg — wzruszył ramionami Hrodwig — rzecz jest o wiele poważniejsza. Ponoć Królowa Śmierć trzyma w dłoni Czarny Kamień Seta. Jego to wszyscy pragną.

— Na pewno, a nie ponoć — poprawił Rynherd — ja wiem, bo jestem jedynym żyjącym, który widział Czarny Kamień.

— Dlaczego więc go nie zabrałeś? — zapytał zdziwiony Conan.

— Pogoń szła moim śladem, spieszyłem się i nieuważnie stąpałem, gdzie nie powinienem. Opadła ściana i oddzieliła mnie od posągu. Potem mnie już złapali.

— I mimo tortur nie powiedziałaś im o niczym — Cimmeryjczyk ze szczerym podziwem spojrział na Rynherda.

— Nie powiedziałem — powiedział Vanir — choć ile już razy miałem wyznanie na końcu języka. Ile razy chciałem je wykrzyknąć, aby tylko przerwać ból. Ale zawsze powtarzałem sobie: wytrzymaj jeszcze chwilę, potem im powiesz. Aż w końcu uznali, że nic nie wiem i przestali torturować. Zamknęli w lochu, najpierw w Khemi, potem w Luxurze i dali mi spokój.

Conan pokręcił głową.

— Jesteś niezwykłym człowiekiem — stwierdził — zadziwiłeś mnie, a wierz mi, że to nie zdarzyło się już od wielu lat. Powiedz jednak, co jest w tym kamieniu, że tylu chce go znaleźć?

— To władza — odparł cicho Hrodwig — niczym nie ograniczona władza nad umysłami innych ludzi. Świat będzie należał do tego, kto posiada Czarny Kamień. . .

— I kto potrafi wykorzystać jego moc — dodał Rynherd — a nie jest to proste.

— Dlatego Conanie zawrzyjmy umowę. Ty odnajdziesz Kamień i oddasz go nam, a my mając za sobą jego siłę bez trudu uwolnimy twoją żonę. A to co mówił Ymirsferd o zapłacie jest oczywiście nadal prawdziwe — rzekł Hrodwig.

— Zrobię wszystko by ocalić Ylwę — powiedział ponuro Conan — nie wydaje mi się jednak, aby dzieło Seta mogło komukolwiek przynieść cokolwiek dobrego. Ale to już wasza sprawa i wasze zmartwienie.

— To prawda — przytaknął Hrodwig — a więc zawarliśmy umowę, Cimmeryjczyku. Pokażę ci najlepszych moich ludzi, a ty wybierzesz najlepszych z najlepszych. Wszystko jest na twój rozkaz. Ludzie, skarbiec, czego tylko zażądasz.

— Na razie odrobiny snu — mruknął podnosząc się Conan.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Siedział zapatrzony w buzujące na palenisku drwa, wsłuchiwał się w trzask pękających szczap, wodził wzrokiem za bijącymi wysoko snopami iskier. Machinalnie obracał w dłoniach miecz myśląc o tym ile krain z nim przewędrował i jak wiele krwi spłynęło po jego ostrzu. Krew Stygijczyków, krew barbarzyńskich Piktów, krew buntowników z Aquillonii, krew dzikich i walecznych Vanirów. Krew, krew i krew. Na całym kontynencie nie było chyba kraju, gdzie miecz Conana nie zebrałby obfitego żniwa. I teraz znów miał zacząć na nowo swą morderczą pracę. Conan wiedział, że nie jest już tym samym człowiekiem co dwanaście lat temu. Wtedy z grupą rozbójników przemierzył

Zingarę i Tauran łupiąc, paląc i mordując aż dotarł na Pogranicze Bossońskie. I tam właśnie zobaczył ją — Ylwę, wyzwolił z rąk handlarzy niewolników i zabrał ze sobą. Zdobyła jego miłość natychmiast, jakby czarodziejskim sposobem. Rozpuścił swoją bandę, kupił mały zameczek i tam zamieszkał nie wyjawiając nikomu prawdziwego imienia. Po dwunastu latach kochał ją tak samo gorąco i rozpaczliwie jak pierwszego dnia. A ona odwzajemniała mu się spokojnym, mocnym uczuciem, dając to czego nigdy przedtem nie zaznał — ciepło domowego ogniska. Wydawało się, że już tak potrwa do końca ich dni. Jakże był głupi myśląc, że ucieknie od swego imienia, od przeszłości, od przeznaczenia. Dostał od bogów dwanaście lat, dwanaście cudownych lat i powinien być im wdzięczny. Teraz choć łudził się jeszcze nadzieją, że wszystko będzie jak dawniej, w głębi serca wiedział, że wszystko się zmieniło. Znów miał się przeistoczyć w Conana Cimmeryjczyka — nieustraszonego barbarzyńcę, którego imię budziło jeszcze niedawno strach na całym świecie. I strach znów się zbudzi. Strach zapuka do wrót Khemi, strach chwyci za gardło Kapłanów Seta, strach przyniesie śmierć i zniszczenie Stygii.

Nie zauważył nawet, że ścisnął tak mocno ostrze miecza, aż krew popłynęła z rozciętej dłoni. Odłożył oręż i oblizał ranę jakby napawając się smakiem i widokiem własnej krwi. Przeklął ten dzień, w którym Ymirferd pojawił się u wrót jego zamku. Jeszcze raz cofnął się myślą do poranka, kilka dni po odjeździe Vanira, kiedy powrócił do domu po dwudniowej nieobecności. A tam były trupy. Wszyscy z ohydnie poderżniętymi gardłami, wszyscy bezbronni, zamordowani we śnie. Widać znalazł się zdrajca, który dosypał czegoś do wina, a potem stygijscy zabójcy spokojnie przeszli przez mury. Conan wręcz widział jak chodzą po zamku i chwytając uśpionych za włosy odginają im głowy do tyłu i chlastają szerokimi, ostrymi nożami po odsłoniętych szyjach. Zostało tylko kilka kobiet i zostali dwaj synowie Conana. Potem napastnicy podpalili zamek i teraz nad włościami wznosiły się tylko wypalone, pokryte warstwą sadzy wieże. Conan wiedział, że musi się zemścić, choć z radością zrezygnowałby z zemsty, gdyby oddano mu Ylwę. Nie zamierzał wcale szukać Czarnego Kamienia dla władcy Vanaheimu. Chciał tylko poprowadzić wyprawę, uderzyć na Khemi i odzyskać żonę. Był bowiem pewien, że kapłani Seta uwięzili ją właśnie w Khemi. Żadnemu miejscu nie mogli tak ufać jak swojej świątyni. Hrodwig, rzecz jasna, będzie potem szukał pomsty, ale Conan

nie bał się ani jego ani Vanirów. Tyle razy prowadził łupieżcze wyprawy na Vanaheim. A zresztą kogóż może przerażać taki wróg, gdy wyzywa się do walki stygijskich kapłanów słynących z okrucieństwa i chlubiących się mającą tysiące lat magiczną wiedzą? Conan nie rozumiał magii, ale za często miał z nią do czynienia, aby się jej bać. Tyle już razy zwyciężał ludzi potrafiących sięgać po pomoc nadprzyrodzonych mocy, że przestał odczuwać strach.

Rozwinął złożony na czworo pergamin i przyjrzał mu się uważnie. To była mapa khemijskich podziemi. Istny labirynt korytarzy, najeżony pułapkami, pełen ślepych zaułków i dróg prowadzących do nikąd. Rynherd z najwyższym trudem odtworzył tę mapę — mapę wartą dwadzieścia lat niewyobrażalnych cierpień, mapę, która kosztowała go młodość i zdrowie. Conan wiedział, że będzie musiał nauczyć się tego planu na pamięć. Będzie musiał poznać każdy szczegół, każdą pułapkę i każdy korytarz. Nie wolno mu dopuścić do sytuacji, by brak jednej karty papieru zdecydował o życiu. Cimmerjczyk, bowiem, wcale nie miał ochoty zapuszczać się do khemijskich podziemi, lecz wiedział doskonale, że gdy zawiodą wszystkie środki ostatnią możliwością odzyskania Ylwy zostanie Czarny Kamień.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Sartapis — arcykapłan Seta w khemijskiej świątyni był najpotężniejszym człowiekiem w Stygii. I doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Owszem, w Luxurze panował król, ale władza króla była władzą pozorną. Otoczony olbrzymim dworem pełnym blichtru i przepychu był jedynie marionetką. A wszystkie nici zbiegały się w dłoniach Sartapisa. Miał swoich ludzi w armii i wśród królewskich doradców, nie istniały sprawy, o których wiadomość nie dotarłaby do jego uszu, nie istniały decyzje, które mogłyby być wydane bez jego zgody. Sartapis był prawdziwym władcą Stygii. Teraz siedział w swej komnacie, tuż obok ołtarza Seta, i czekał na przybycie gości. W pokoju było

ciemno, mrok rozjaśniał jedynie lichtarz z trzynastoma płonącymi czarnymi świecami, ale Sartapis siedział w samym kącie. Obok jego krzesła zwinął się olbrzymi czarny pyton i kapłan od czasu do czasu niedbałym ruchem głaskał go po płaskim łbie. Wreszcie drzwi otworzyły się. Do środka wszedł szczupły, czarnowłosy mężczyzna odziany w ceremonialny czerwony płaszcz.

— Bądź pozdrowiony, Sartapisie, kapłanie Najwyższego — rzekł kłaniając się do ziemi.

— I ty bądź pozdrowiony Tutmosie — odparł Sartapis i skinął głową zezwalając, aby gość podszedł bliżej.

Tutmos był kapłanem Seta w świątyni w Luxurze, jednym z najbardziej zaufanych sług arcykapłana. Teraz czekali już tylko na Narbona, prawą ręką Sartapisa, człowieka bezgranicznie oddanego wierze Seta i nie mającego żadnych ambicji poza jak najwierniejszą służbą swemu bogu. Wreszcie zjawił się i Narbon. Nie wyglądał na maga i kapłana Seta, lecz raczej na zadowolonego z siebie mieszczucha. Pulchny, pucułowaty, o dobrodusznej ogolonej twarzy i wylewającym się zza pasa brzuchu mógł kojarzyć się z każdym, ale z pewnością nie z wyznawcą okrutnego i krwawego bóstwa Stygii.

— Bądź pozdrowiony Sartapisie, kapłanie Najwyższego — powiedział kłaniając się tak głęboko na ile pozwolił mu brzuch.

— I ty bądź pozdrowiony Narbonie — odrzekł Sartapis.

Stali teraz obaj naprzeciw niego, jasno oświetleni blaskiem świec, a arcykapłan pozostał w mroku. Nie pozwolił im usiąść. Zawsze wolał, aby podwładni w każdej chwili odczuwali przepaść jaka dzieli ich pozycję od pozycji arcykapłana.

— Conan Cimmeryjczyk — rzekł Sartapis.

— Conan — powtórzył jak echo Narbon — myślałem, że ten człowiek umarł. Od dwunastu lat nie było o nim słyhać.

— Vanaheim — rzucił arcykapłan — Rynherd.

— O, Secie panie mój! — krzyknął Narbon — Conan na usługach Rynherda! A więc jednak ten Vanir odnalazł Czarny Kamień!

— Tak — potwierdził Sartapis — popełniliśmy błąd wypuszczając Rynherda. Któż mógł jednak przypuścić, że zatai prawdę mimo tylu miesięcy tortur.

— Uczeń Zingary — warknął Narbon.

— Tak — westchnął Sartapis — Rynherd był uczniem kapłanów Zingary. Powrócił do Vanaheimu i wynajął Conana, aby ukradł dla niego Czarny Kamień.

— Myślałem, że ten upiór szczeł już w nicości — rzekł z nienawiścią Narbon.

— Conan Cimmeryjczyk, o Secie, nie przypuszczałem, że jeszcze kiedykolwiek usłyszę to przekłete imię. Conan to śmierć, Conan to strach, Conan pojawia się jak duch i znika jak duch — Narbon pokręcił głową — Conan to zagłada, Sartapisie, mój panie!

Arcykapłan trzasnął pięścią w poręcz krzesła.

— Conan jest stary! — rzekł — Conan to przeszłość. Straszna, przyznam, przeszłość lecz to już nie ten sam człowiek, który walczył ze Stygią kilkanaście lat temu!

— Panie mój — Narbon znów zgiął się w ukłonie — wiem, że go pokonamy, ale pomyśl jak lekceważyli tego barbarzyńcę inni i jak straszne to miało skutki. Proszę, panie mój, nie lekceważ Conana Cimmeryjczyka.

Sartapis milczał przez długą chwilę. Śmiałość Narbona zdumiała go, ale wiedział, że kapłanem kierują dobre intencje. Czy jednak nie za bardzo się bał?

— Nikt nie lekceważy tego barbarzyńcy — odparł — przybędzie tu niedługo, a wtedy pozna jak bije miecz Stygii i jak straszny jest Set dla swoich wrogów!

— Conan tu nie przybędzie — odezwał się pewnym głosem Tutmos.

Arcykapłan patrzył na niego przez chwilę w milczeniu.

— Nie rozumiem — rzekł w końcu.

— Ja też wiedziałem, panie mój, gdzie udał się Conan. Wysłałem więc do Vanaheimu kogoś, kto go zabije. Już niedługo rzucę ci głowę Cimmeryjczyka do stóp!

Sartapis nie wytrzymał i zerwał się z miejsca.

— Ty głupcze! — ryknął — jak śmiałeś przedsięwziąć cokolwiek bez mojej zgody? Tutmos spłoszył się.

— Myślałem, że to cię zadowoli, mój panie — powiedział cicho.

— Ty przeklęty głupcze! — powtórzył arcykapłan — po co mi głowa Conana, durniu? Ja chcę wiedzieć, gdzie Conan pójdzie! Rynherd musiał mu powiedzieć jak znaleźć posąg Królowej. Dając mu wolną rękę i idąc po jego śladach doszlibyśmy do Czarnego Kamienia. Jak śmiałeś mi to zrobić?!

Tutmos przyklęknął i uderzył czołem w posadzkę.

— Wybacz mi, mój panie — zajęczał — to wszystko tylko z chęci zadowolenia Pana Naszego Seta i aby przypodobać się tobie. Wybacz mi, błagam.

— Nigdy nie wybaczam — odparł zimno Sartapis — módl się, aby ten twój zabójca poległ z ręki Conana, bo jeżeli Cimmeryjczyk zginie, zginiesz i ty.

Tutmos rozpląszczył się na ziemi.

— Jestem wierny, panie mój. Co rozkażesz to spełnię.

— Wierność nie usprawiedliwia głupoty — warknął arcykapłan.

Przez chwilę w komnacie panowało milczenie. Złowrogie milczenie. Pyton Sartapisa jakby czując to wyprężył się, wyprostował i kołysał głową zimnymi oczami szukając ofiary, którą wskaże mu jego pan. Arcykapłan położył dłoń na głowie węża.

— Wstań — rozkazał Tutmosowi — wiecie już co zamierzam zrobić. Conan musi trafić do podziemi. Musi odnaleźć posąg Królowej. A my tam będziemy.

— Zdrajca — szepnął Narbon.

— Tak, zdrajca — przytaknął Sartapis — ale nie znajdziemy go wśród Vanirów. A jeśli nawet, to nie znajdziemy nikogo, kto potrafiłby mu sprostać. Jest tylko jedno wyjście. Zdrajca musi się pojawić wśród nich.

— Jak tego dokonać, mój panie? — wtrącił Narbon — Conan jest przebiegły i nieufny.

— Jak tego dokonać? — powtórzył uśmiechając się arcykapłan — patrzcie!

Na dany przez niego znak uchyliła się szkarłatna zasłona. Narbon i Tutmos utkwi-li wzrok w postaci, która weszła do komnaty i stanęła przyglądając się wszystkiemu obojętnym wzrokiem.

— Oto ktoś, kto zyska zaufanie Cimmeryjczyka — obwieścił Sartapis — oto morderca szkolony od dziecka w jednym jedynym celu; jak najsprawniej i najszybciej zabić. Conan to stary człowiek, ale choć stary nie ma jeszcze sobie równych wśród ludzi. Ale naszemu mordercy nie sprostałby nawet za młodych lat. Pójdzie z nim do końca. Aż do posągu Królowej. A, gdy Conan odnajdzie Posąg zostanie zabity. Sartapis dał znak i postać zniknęła za kotarą tak szybko jak się pojawiła.

— Jak zamierzasz — o panie mój — wprowadzić mordercę do drużyny Conana? — spytał uniżenie Narbon.

— To proste — odparł arcykapłan — żeglarze z Vanaheimu z pewnością popłyną do Zingary, aby tam kupić statki, które nie będą rzucały się w oczy. Przyplyną do

Khemi jako spokojni kupcy, a nie na swoich okrętach z dziobem w kształcie smoczej głowy. Robili to już nieraz, gdy chcieli podstępnie złupić wybrzeże. Jestem pewien, iż zatrzymają się w Kordawie. Tam właśnie dostaną od nas w prezencie mordercę.

— Panie mój — jęknął Tutmos — nie potrafię wysławić czci jaką żywię dla twojej mądrości.

Sartapis spojrział na niego z pogardą.

— Nikt i nic ci nie pomoże, Tutmosie jeśli twój zabójca skrzywdzi Conana. A właśnie, kogoś tam posłał?

— Elkostasa Pytona — odparł kapłan — najzręczniejszego gladiatora Luxuru.

Arcykapłan cmoknął i potarł knykciami brodę.

— No, cóż zobaczymy jak te dwanaście lat nieróbstwa wpłynęło na sprawność barbarzyńcy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

— Nie mogę odmówić temu człowiekowi, Conanie — rzekł zakłopotany Hrodwig — mówi, że spaliłeś jego dwór i wybiłeś rodzinę. Ustawy Vanirów dają mu prawo do wróżdy kimkolwiek by nie był krzywdziciel. Przykro mi Conanie, ale musisz stawić mu czoła.

Cimmeryjczyk wzruszył ramionami.

— Powtarzam ci, że nigdy nie widziałem tego człowieka. Być może jednak kiedyś go skrzywdziłem. Tyle wędrowałem po świecie. Ale czuję, władco Vanirów, że tu kryje się jakaś zdrada. Któż mógł odnaleźć mnie w Vanaheimie?

Hrodwig westchnął.

— Wiem, Conanie. I mnie wydaje się to dziwne i niepokojące. Najchętniej wziąłbym go na spytki, ale wierz mi nie mogę tego uczynić. Musisz z nim walczyć.

— Nie zabiłem człowieka od dwunastu lat — rzekł Conan patrząc gdzieś ponad głową króla.

— Najwyższy czas abyś się znów przyzwyczaił — odparł szorstko Hrodwig.

Conan wstał. Skrzywił wargi w okrutnym uśmiechu.

— Dobrze. Kiedy i gdzie?

— Dziś wieczór — zdecydował król — to miała być uczta pożegnalna. Będziecie się potykać w halli na oczach moich wojów. Rzekłem.

Po chwili podszedł do Conana i położył mu dłonie na ramionach.

— Postaraj się, Cimmeryjczyku — poprosił — nie chciałbym abyś stracił życie właśnie teraz.

— Jeszcze nie wybiła moja godzina — odparł Conan.

— Też tak myślę, ale pilnuj się. Ten człowiek wygląda na kogoś, kto umie trzymać miecz w ręku.

Halla króla Hrodwiga pełna była uczujących wojów. Siedzieli przy czterech, długich dębowych stołach, a pośrodku tak aby każdy mógł dobrze zobaczyć przygotowano arenę. Podłogę posypano piaskiem i rozrzucono słomę, aby walczący nie pośliznęli się na rozlanym piwie. Conan i jego przeciwnik stanęli przed obliczem władcy.

— Chcę wiedzieć — rzekł donośnym głosem Hrodwig — czy twoja wola jest nieodwołalna? — zwrócił się do wroga Cimmeryjczyka — zapłacę każdą sumę, jeżeli tylko poniechasz wróżdy.

— O nie, królu — warknął Conan nim jego przeciwnik zdołał odpowiedzieć — honoru nie da się kupić za złoto. Ten śmieć mnie obraził, a więc da głowę przed tobą i twą dzielną drużyną.

— Tak! Tak jest! Dobrze gada! — rozbrzmiały głosy podpitych i chciwych widowiska wojów króla Hrodwiga.

Władca rozłożył dłonie.

— Skoro nie doszło do ugody, a doszło do zniewag, to i ja nic nie poradzę. A więc zaczynajcie i niech Thor sprzyja lepszemu!

Conan uważnie przyglądał się przeciwnikowi. Był on niższy co najmniej o głowę, ale za to szeroki w barach, a jego nogi i ręce przypominały sękaty konary. Cimmeryjczyk wiedział, że nie będzie miał lekkiej przeprawy z tym człowiekiem zwłaszcza, że poznał po jego ruchach i po sposobie trzymania oręża, iż jest to ktoś, kto ma na co dzień do czynienia z walką.

— Chodź, kochaniutki — poprosił przybysz strasznie kalecząc język Vanirów — no chodź, chodź poznasz jak smakuje ostrze Elkostasa Pytona.

Conan milcząc okręcał się wokół własnej osi, tak aby być zawsze twarzą zwróconym w stronę wroga. Na razie czekał. Wiedział, że pojedynek dwóch równych sobie graczy jest często walką cierpliwości. Ale Elkostas też nie był pochopny. Krążył wokół Conana jak drapieżnik osaczający zdobycz, a na jego twarzy wciąż gościł radosny i triumfalny uśmiech.

— No co jest, tańczą czy się biją? — krzyknął pijanym głosem któryś z wojów Hrodwiga.

I wtedy, gdy tylko zdołały przebrzmieć te słowa Elkostas zaatakował. Jego wypad był tak szybki, iż Conan z najwyższym tylko trudem zdołał odskoczyć. Ale ostrze zawadziło o jego lewe ramię i drasnęło lekko.

— Puściłem ci trochę posoki, co? — spytał szczerząc zęby Elkostas — nie takiś znowu dobry jak mówią, Cimmeryjczyku.

Hrodwig z niepokojem przyglądał się tej walce.

— Na Thora, on jest całkiem zręczny. Może lepszy od Conana — szepnął.

Ymisferd dosłyszał te słowa i pokręcił głową.

— Nie, mój panie — rzekł — zobaczysz. Zginie zaraz.

Ale jak dotychczas nic na to nie wskazywało. Elkostas krążył wokół Conana, a jego miecz śmigał co chwila jak srebrna błyskawica. Cimmeryjczyk nie dał się już jednak zaskoczyć. Zręcznie parował tarczą uderzenia, ale sam jeszcze nie zadał ciosu. Walka przedłużała się. Woje Hrodwiga milczeli i tylko w zdumieniu popatrywali po sobie. Elkostas wciąż zadawał ciosy, wciąż próbował sztychów, krążył, skakał, zmieniał nagle pozycje, markował uderzenia, ale nic mu to nie dawało. Tarcza Cimmeryjczyka wciąż

uparcie wychodziła naprzeciw jego ostrzu, a on sam stał spokojnie prawie bez ruchu, jak skała.

— Walcz psie! — wydyszał Elkostas.

Conan skrzywił wargi w lekkim uśmiechu i od niechcienia sparował uderzenie i sztych. Walka trwała. Coraz dłużej i dłużej. Ruchy stygijskiego gladiatora nie były już tak szybkie. Z piersi co chwila dobywał się chrapliwy oddech. Grube krople potu pokryły jego czoło. I nagle Ymirferd wybuchnął śmiechem. Woje Hrodwiga przez chwilę patrzyli na niego w milczeniu, aż po chwili jeden, drugi i trzeci zawtórowali mu. Niedługo cała halla ryczała ze śmiechu. Kilku przewróciło się pod stoły i trzymało za brzuchy nie mogąc opanować dławiącej ich radości z tak udanego widowiska.

— Kończ już, Conanie — zawołał śmiejąc się na równi z innymi władca.

Cimmeryjczyk skinął głową. Szybkim ruchem, wręcz niezauważalnym dla oka odrzucił tarczę i pochwycił nadgarstek prawej ręki Elkostasa. Trzask łamanej kości oraz ryk bólu, który wydarł się z gardła gladiatora, zabrzmiały prawie jednocześnie. Miecz wypadł ze zgruchotanej dłoni Pytona i z hukiem uderzył o podłogę. Conan pchnął przeciwnika w pierś, lekko i jakby od niechcienia, a ten zwałił się na plecy jak kukła.

— Ot i wszystko — rzekł Cimmeryjczyk, a w jego głosie nie było nawet cienia zmęczenia — możesz go teraz przesłuchać, królu.

Usiadł na ławie i wypił jednym tchem dzban piwa. Potem obejrzał draśnięcie na ramieniu.

— Szybki był ten łajdak — mruknął.

Następnego dnia, gdy Elkostas został już przesłuchany i pochowany, Conan, Hrodwig i Rynherd siedzieli w królewskiej komnacie.

— To diabelstwo — stwierdził Hrodwig — on wyruszył ze Stygii tego samego dnia, gdy przybył do ciebie Ymirferd.

— Kapłani Seta widzą na odległość — szepnął Rynherd — potrafią też błyskawicznie przekazywać wiadomości. To wszystko magia i w dodatku nadzwyczaj kunsztowna.

— Tutmos — powiedział Conan, jakby chciał zapamiętać to imię.

— Nie on jest groźny — rzekł Rynherd — choć to naczelny kapłan w luksuskiej świątyni. Ale zapamiętaj sobie inne imię. Sartapis — arcykapłan Seta w Khemi, właściwy władca Stygii. Mądry, mściwy, bezlitosny i sprytny. Jestem pewien, że pozwoli abyś wszedł do podziemi, aby wysledzić gdzie się kierujesz. Uważaj na to.

Conan skinął głową.

— Będę czujny. Ale dlaczego w takim razie próbował mnie zabić? Rynherd wzruszył ramionami.

— Może Tutmos wysłał Elkostasa bez jego wiedzy. Nie wiem.

— Nie podoba mi się to zadanie — burknął Conan — nienawidzę Stygii, a w Stygii najbardziej nienawidzę Khemi, w Khemi najbardziej nienawidzę kapłanów, a wśród kapłanów obrzydzeniem napawają mnie wyznawcy Seta. Nigdy nie podjąłbym się tego zadania gdyby nie porwali mi żony. Jeśli ona już nie żyje — szczęki Conana zacisnęły się drapieżnie, a oczy znów nabrały wyrazu lodowatego okrucieństwa — to przynajmniej pomścę jej śmierć. Krew poleje się w Stygiii.

— Uwważaj na Sartapisa — powtórzył Rynherd — to groźny człowiek.

— Nigdy nie spotkałem kogoś groźniejszego od siebie — uśmiechnął się zimno Cimmeryjczyk.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W Zingarze nie dziwiły nikogo wąskie, długie łodzie o smoczych łbach. Vanirowie przybywali często na zingaryjskie wybrzeża, wyjątkowo, w celach pokojowych, gdyż Zingara miała silną flotę i nie dawałaby się bezkarnie napadać. Port w Kordavie był silnie umocniony, a na morzu spokojnie pływały uzbrojone po zęby statki patrolowe.

Conan stojąc na dziobie uważnie przyglądał się portowi. Nic się nie zmieniło od jego ostatniego pobytu w Zingarze. A kiedy to było? No tak, dwanaście lat temu. Parę miesięcy przed tym, gdy pierwszy raz ujrzał Ylwę. Ten sam pękaty bastion wznosił się nad portem, te same domy i magazyny na nabrzeżu, to samo miasteczko mieszkalnych łodzi

spokojnie kołyszące się w zatoce. W Kordavie panował wieczny ruch i zgiełk, przybywali kupcy z najdalszych stron świata. Z Tunaru, z Iranistanu, ba nawet z odległego Khitaju. Handlowano wszystkim. Złotem, drogimi kamieniami, przyprawami, bronią, niewolnikami. W tłumie kręcącym się wśród straganów można było zobaczyć nie tylko smagłych Zingaryjczyków, ale jasnowłosych Gunderlandczyków, czarnych Zamoryjczyków, a czasem nawet żółtoskórych i skośnookich przybyszy z Khitaju.

Conan wystąpił Ymirferda (który na rozkaz Hrodwiga musiał, acz niechętnie, towarzyszyć Cimmeryjczykowi w wyprawie), aby porozumiał się z kupcami w sprawie wynajęcia bądź nabycia statków, a sam w towarzystwie jednego tylko Vanira z załogi ruszył w głąb miasta. Towarzysz Conana, który nigdy nie opuścił jeszcze granic Vanaheimu, wodził osłupiałym wzrokiem po niewiarygodnie kolorowych i bogatych straganach. Ciągłe ktoś go potrącał i popychał, szarpano go oferując mu, a to wino z południa, a to stygijski miecz, a to młodą niewolnicę. Vanir z trudem odganiał się od wszystkich natrętów, bo na miejsce jednego odtrąconego już pojawiała się dwóch następnych.

— I jak ci się podoba Roldygu? — spytał głośno Conan, aby przekrzyczeć zgiełk.

Vanir tylko w niemym podziwiew rozdziawił usta. Cimmeryjczyk poklepał go po plecach.

— Przyzwyczajasz się — mruknął.

Weszli w boczną uliczkę, nieco mniej obleżoną przez tłumy, a potem znaleźli się na placu, prawie pustym jeśli by nie liczyć garści żebraków. Usiedli na murze przy fontannie. Conan zaczerpnął dłonią wodę i obmył spoconą twarz. Wyciągnął bukłak mocnego wina i łyknął z niego potężnie. Potem podał go towarzyszowi.

— Na Thora — rzekł ten wciągając ze świstem powietrze — lepsze to niż piwo w halli króla Hrodwiga.

— Pewnie, że lepsze — przytaknął Conan i opróżnił do końca bukłak.

— Znam tu dobre miejsce dla takich jak my — odezwał się po chwili — mocne wino i dużo kobiet.

Vanirowi zaświeciły się oczy.

— Prowadź tam, Conanie, na Thora! — wykrzyknął — tylko znajdź mi jakąś o czarnej skórze. Zawsze o tym marzyłem.

Cimmeryjczyk roześmiał się głośno.

— A niechże cię! W Kordavie możesz zażyczyć sobie czego tylko zapragniesz. Nawet dziewczyny z Khitaju albo Piktyjki.

— Piktyjki? — spytał nieufnie Roldyg.

— Och, bardzo są piękne — wyjaśnił Conan — troszkę tylko podobne do małp.

— Nie — poważnie i stanowczo stwierdził Vanir — nie chcę w takim razie Piktyjki.

Już mieli wstać, gdy nagle jakiś harmider, krzyki i zgiełk oręża przykuł ich uwagę. Zza progu ukazał się mężczyzna z mieczem w dłoni broniący się przed trzema nacierającymi zingaryjskimi strażnikami. Za plecami mężczyzny kryła się dziewczyna.

— A to co? — spytał Vanir kładąc dłoń na rękojeści miecza. Conan rozsiadł się wygodnie.

— Ano popatrzemy — stwierdził — może będzie na co.

Zingaryjczyków było trzech, ale mężczyzna zręcznie dawał sobie z nimi radę. Oparł się o ścianę lewą ręką przytulając dziewczynę, a prawą, w której trzymał miecz, rozkładając szybko jak błysk ciosy. Strażnicy przezornie starali się nie atakować go zbyt energicznie. Mężczyzna ten bowiem mógł wzbudzić zachwyty każdego, kto potrzebowałby najemnika. Był wysoki, szeroki w barach, o silnych nogach i ramionach. Długi,

ciężki miecz chodził płynnie w jego ręku, a z taką szybkością, że czasem nie widać było ostrza, a tylko srebrny błysk przecinający powietrze. Strażnicy jednak wzięli się na sposób i dwóch z nich cisnęło w niego mieczami. Uskoczył przed pierwszym ostrzem, odbił drugie, ale na moment stracił równowagę, wtedy ostatni strażnik gruchnął go rękocięciem w głowę. Mężczyzna zalał się krwią i nieprzytomny upadł na ziemię. Dziewczyna próbowała uciekać, ale zaraz chwycili ją za ręce i włosy.

— Stój spokojnie suko — warknął jeden z nich waląc ją na odlew w twarz — dosyć już narobiłaś kłopotów.

— To mi się nie podoba — rzekł Conan marszcząc brwi i wstał. Podeszedł do strażników, a Vanir trzymał się jego boku.

— Czego od niej chcecie? — spytał Cimmeryjczyk. Strażników było trzech, ale zmęczeni pogonią i walką nie mieli ochoty na zwadę. Zwłaszcza, że pytający postawą przypominał niedźwiedzia, a jego towarzysz też wyglądał na człowieka umiejącego zakręcić mieczem.

— Uciekła z targu — wyjaśnił grzecznie dowódca — ten człowiek — wskazał zalanego krwią mężczyznę — chciał ją kupić, ale zabrakło mu pieniędzy, więc spróbował

porwać. Musimy ją odprowadzić z powrotem, a to ścierwo — tu trącił nogą leżącego — też pójdzie na sprzedaż.

Conan przyjrzał się dziewczynie, która teraz stała już spokojnie ocierając tylko krew z rozbitego nosa i pochlipując. Nie była piękna, zbyt na to miała ostre rysy, za mocno wystające kości policzków, ale uwagę przykuwały głębokie zielone oczy, ocienione długimi rzęsami, a teraz napełnione łzami. Ciało też, jak na gust Conana miała niezbyt pociągające. Małe piersi, wąskie biodra, chłopięce pośladki. Cimmeryjczyk wyjął z kieszeni parę sztuk złota.

— To za tego człowieka — powiedział — odniesiecie go na mój statek. Przyda mi się.

Dowódca z głębokim ukłonem przyjął monety.

— Stanie się jak każesz, panie.

— A co z nią — zapytał Vanir wskazując dziewczynę.

— Ile ona jest warta? — spytał Conan strażnika.

Ten chwilę pomyślał i wymienił dużą sumę, znacznie wyższą niż można byłoby dostać za dziewczynę na targu. Ale Conan zapłacił bez oporów.

— Król Hrodwig płaci — rzekł do siebie samego — a ja nie widzę powodów, by przejmować się stanem jego skarbcza. No, zmykaj stąd — rozkazał dziewczynie — a wy zabierajcie go. Statek ze smoczym łbem, prawie naprzeciw bastionu, tylko szybko, bo się ocknie i znów będzie awantura.

Strażnicy kłaniając się i dziękując wzięli nieprzytomnego za ręce i nogi. Powlekli go w stronę portu.

— A my wreszcie możemy się napić i pobawić z dziewczętami — rzekł Conan — no, idziemy.

— Panie, błagam, nie zostawiaj mnie — poprosiła dziewczyna.

Cimmeryjczyk, który w międzyczasie zupełnie już zapomniał o jej istnieniu, zdziwił się.

— Idź sobie — powiedział — jesteś wolna. Możesz robić co chcesz.

— Znów mnie złapią i zawloką na targ — poskarżyła się — Kordava to złe miasto. Proszę, zabierz mnie ze sobą. Jestem jeszcze dziewicą — powiedziała z dumą.

— Żadna chwała — mruknął Conan — a mnie się i tak nie podobasz.

— Zapłaciłeś za mnie!

— Tak, a teraz mówię, żebyś sobie poszła — rzekł rozeźlony już Cimmeryjczyk — bo zaraz sam zaprowadzę cię na targ.

Dziewczyna usiadła na murku fontanny i rozplakała się. Roldyg ujął Conana za ramię.

— Może weźmiemy ją ze sobą — zaproponował cicho.

Conan westchnął.

— Chcesz ją? — spytał — podoba ci się? No to bierz sobie. Chodź tu — skinął na dziewczynę.

Ona podbiegła uszczęśliwiona.

— No i szlag trafił wino i dziwki — burknął Conan — wracamy na statek.

Ymirserfd był zadowolony, gdy wniesiono na jego pokład krzepkiego nieznanjomego, ale wściekł się, kiedy zobaczył dziewczynę.

— Kobieta na statku to nieszczęście — rzekł — zabierajcie ją stąd.

— Od kiedy to tak przejmujesz się przesadami? — zakpił Conan.

— Nie bądź głupi — warknął Vanir — nie wierzę w przesady i myślę, że bogowie mają wiele ważniejszych spraw na głowie niż przyglądać się czy kobiety płyną okrętem.

Ale czterdziestu wygłodniałych wojowników króla Hrodwiga i ta dziewczka, to pewne zwady. A ja nie chcę, żeby moi ludzie różnili się między sobą.

— Ja za nią zapłaciłem — rzekł Conan — i nie radzę jej ruszać. Możesz to powiedzieć załodze.

— Nadal mi się to nie podoba — wzruszył ramionami skwaszony Ymirferd — do czego by to doszło, gdyby każdy chciał sobie kupić dziewczkę i płynąć z nią na wyprawę?

— Ja jestem dowódcą — przypomniał mu Cimmeryjczyk.

Vanir machnął ręką.

— Ile za nią dałeś? — spytał pogodzony już z sytuacją. Gdy Conan wymienił sumę Ymirferd otworzył szeroko oczy.

— Czy tobie się wydaje, że skarbiec Hrodwiga jest bez dna? — zapytał — no ale to już twoja sprawa i króla. Nie sądzę jednak by był zachwycony.

Conan poklepał go po ramieniu.

— Ten człowiek — rzekł wskazując nadal nieprzytomnego nieznanego — jest wart dużo więcej niż dałem za nich oboje. Zobaczysz, przyda nam się.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Amanhotepis miał zaledwie dziewiętnaście lat, a już od trzech był władcą Stygii. Arcykapłan Seta z Khemi uważał go za głupca i nieudacznika. Tymczasem Amanhotepis nie był ani jednym ani drugim. Oczywiście starał się sprawiać wrażenie, że nie interesuje go nic poza turniejami, ucztami i kobietami, ale w rzeczywistości bardzo pilnie pracował nad zneutralizowaniem wpływów kapłanów Seta. Otoczył ich misterną siecią szpiegów i dzięki temu znał każde posunięcie Sartapisa i Tutmosa. Miał w armii oddanych dowódców i w każdej chwili był przygotowany, aby spróbować zdławić siłą potęgę wyznawców Seta, gdyby przyszło już do najgorszego. Na razie nie czuł się jesz-

cze przygotowany do ostatecznej walki, ale wiedział, że ten czas niedługo może nadejść. Amanhotepis nienawidził bowiem wiary w Seta. Krwawe obrzędy tej religii napełniały go obrzydzeniem, a czarna magia budziła nie tylko strach, ale i odrazę. Król Stygii był bowiem człowiekiem łagodnym, jakże innym od swego ojca i dziada — fanatycznych wyznawców Seta i wiernych sług kapłanów. Amanhotepis chciał rządzić i wiedział, że nie ścierpi w kraju dwuwładzy. Teraz zorientował się, że nadchodzi, być może, czas rozstrzygnięcia. Jeżeli zamiary kapłanów Seta powiodą się, Stygia a wraz z nią cały świat zsuną się w otchłań rozpacz i niewyobrażalnego bólu. Ale Amanhotepis miał nadzieję, że zatrzyma nadchodzącą lawinę.

Do jego komnaty — pokoju wyściełanego kobiercami o niewiarygodnie długim futrze — weszło dwóch doradców. Skłonili się głęboko przed władcą, prawie że bijąc czołem o ziemię i zastygli w bezruchu czekając co rozkaże. Amanhotepis pólleżał na wielkim pełnym poduch łożu. Dał im znak, a oni przyklęknęli obok. Byli w komnacie sami, gdyby nie liczyć sześciu przepięknych nałożnic władcy, które gawędziły z cicha w kącie komnaty popijając wino i zajadając się bakaliami. Amanhotepis miał do nich absolutne zaufanie. Były bowiem nie tylko jego kochankami, nadzwyczaj zresztą bie-

głymi w sztuce miłosnej, ale oprócz tego, a może przede wszystkim niewiarygodnie sprawną strażą przyboczną. Umiały zabijać na wszelkie sposoby: sztyletem, trucizną, szpilą do włosów, mieczem, gołymi dłońmi. Szkolił je sędziwy przybysz z Khitaju, który sztukę walki rozwinął do nieprawdopodobnych wręcz rozmiarów. Władca patrząc na łagodne, roześmiane twarze dziewcząt sam nie mógł uwierzyć, że te piękności są najsprawniejszymi maszynami do zabijania, jakie wymyśliła natura. No, może tylko prócz Conana Cimmeryjczyka.

— Dobrze, że już jesteście — rzekł do doradców, sędziwego Meltonokosa i dużo od niego młodszego Sedranafala — nadszedł czas wielkich rozstrzygnięć. Conan Cimmeryjczyk przybywa na czele Vanirów, aby zdobyć Czarny Kamień Seta dla Hrodwiga z Vanaheimu.

— A więc ten Vanir, którego więził Sartapis znał jednak miejsce gdzie stoi posąg Królowej — odezwał się po chwili Sedranafal — cóż to za człowiek, którego nie zmożły tortury kapłanów Seta!

— Zaiste, niezwykły — przyznał Amanhotepis.

— Trzeba więc zabić Conana — rzekł Meltonokos — pozwól mi się tym zająć, panie.

— Nie — władca pokręcił głową — Cimmeryjczyk zaprowadzi nas do posagu,

— Kapłani już z pewnością o tym pomyśleli — poddał Sedranafal.

— Z pewnością — przytaknął król — i jestem przekonany, że Conan ma już zdrajcę w swojej drużynie. Sartapis wpuści go do Khemi, a gdy Conan odnajdzie w podziemiach posąg, morderca zabije go i zabierze kamień.

— Nie tak łatwo zabić tego barbarzyńcę — pokręcił głową Sedranafal — wątpię, aby Sartapis znalazł kogoś odpowiedniego.

— Już znalazł — westchnął król — wierzcie mi, że Cimmeryjczyk może mieć spore kłopoty.

— Jest stary — mruknął Meltonokos — i zapewne nie tak silny jak dawnymi czasy.

— Zapewne — zgodził się król — ale wolałbym nigdy się z nim nie spotkać nawet, gdybym miał u boku te moje piękne tygrysice — spojrzał w stronę dziewcząt.

— Co więc mamy zrobić? — spytał Sedranafal.

— To samo co Sartapis. Wprowadzić zdrajcę. Dojdzie z Conanem aż do posagu i zabije wysłannika kapłanów, a potem zabierze Kamień.

— Cimmeryjczyk nie odda go bez walki.

— Wolalbym go przekonać niż zabijać. Może zrozumie, że Czarny Kamień Seta, niezależnie od tego w czyich rękach się znajdzie będzie największym złem, jakie może spotkać świat.

— Nie sądzę — pokręcił głową Meltonokos — to barbarzyńca łasy na złoto. Ale może da się go kupić. Stygia może mu ofiarować więcej niż Vanaheim.

— Conan jest ci potrzebny, mój panie — rzekł Sedranafal — nie tylko w walce o Czarny Kamień, ale i później.

— To prawda — skinął głową Amanhotepis — może to barbarzyńca, ale i niezwykle człowiek. Król Aquillonii, postrach wszystkich wybrzeży, dowódca taurańskiej gwardii królewskiej. Chcę aby stanął po mojej stronie, gdy sięgnę po głowę Sartapisa.

— Któż więc wejdzie do jego drużyny? — zapytał Meltonokos.

— Ona — władca z uśmiechem wskazał jedną z dziewcząt — Nemfale jest najlepsza. We wszystkim. Owinie sobie Conana dokoła małego palca, a jeśli zajdzie taka

konieczność zabije go bez wahania. Poza tym ona jedyna może zmierzyć się z mordercą Sartapisa.

Meltonokos i Sedranafal spojrzeli w stronę dziewczyny. Uśmiechnęła się promiennie.

— To dobry wybór, mój panie — rzekł młodszy z doradców.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Płynęli dwoma, dużymi i wygodnymi statkami, sprzyjał im wiatr, a i pogoda była przepiękna. Niebo słoneczne, bezchmurne, a morze spokojne. Conan siedział wystawiając twarz na wiatr i słońce, i gawędził leniwie z Ymirferdem. Wtem podszedł do nich jeden z Vanirów.

— Obudził się — obwieścił.

— Ach, tak — mruknął Cimmeryjczyk — no więc chodźmy do niego.

Ymirferd też podniósł się z miejsca i we trzech zeszli pod pokład. Tam w małej, pustej kajucie leżał związany nieznamy z Kordavy. Spojrzał na przybyłych.

— Vanirowie — rzekł w języku Vanaheimu, ale ze śpiewnym akcentem poitańskim — a więc ci łajdacy sprzedali mnie wam.

Conan skinął głową.

— Ano sprzedali — potwierdził — tak to już bywa, że jak ktoś wpycha palce między drzwi, to mu je przytną.

— Ty nie jesteś Vanirem — rzekł nieznajomy — skąd więc pochodzisz? I może, do stu tysięcy diabłów, byście mnie rozwiązali?

— Na wszystko przyjdzie czas. Być może lepiej, aby człowiek tak porywczy jak ty wysłuchał nas leżąc. Ja urodziłem się w Cimmerii i zwę się Conan, a kimże ty jesteś?

— Conan — szepnął nieznajomy — Conan Cimmeryjczyk. Sądziłem, żeś już tylko legendą.

Zamyślił się przez moment.

— Byłeś królem Aquillonii, gdy ja byłem dzieckiem. Pochodzę z Poitainu, nazywają mnie Kandar z Gór. Wydaje mi się — uśmiechnął się nagle — że, jakoś tam, jestem prawie, że twoim poddanym.

— Co robiłeś w Kordavie?

— Szukałem zajęcia. Nie śmierzę groszem, więc chodziłem pytając czy nie jest komu potrzebny miecz w pewnej dłoni. I wtedy natknąłem się na tę dziewczkę. Myślałem, że dobrze byłoby się zabawić i próbowałem odebrać ją strażnikom. No, a jak to się skończyło sam już widziałeś.

— Znalazłeś więc pracę — stwierdził Conan — dostaniesz równy udział z czego spłacisz mi to, co za ciebie zapłaciłem w Zingarze.

Kandar uśmiechnął się.

— Zgoda, Conanie. Czy mógłbyś mnie już rozwiązać?

Cimmeryjczyk dał znak i Vanir, który ich przyprowadził rozciął nożem sznury krępujące jeńca. Kandar przeciągnął się, aż zatrzeszczały kości i pomacał dłonią głowę.

— Boli — syknął — ale ci parszywi mnie urządzili.

— Ciesz się, że nie sprzedali cię do kamieniołomów albo do kopalni złota — rzekł Ymirferd — wtedy dopiero miałbyś się na co skarżyć.

— I ja dobrze trafiłem i wy — powiedział Kandar z szerokim uśmiechem — bo-
wiem, przyjaciele moi, ja jestem najlepszy na świecie i nie ma takiego, co sprostałby mi

w walce na miecze czy topory. No, rzecz jasna nie miałem na myśli ciebie, Conanie — dorzucił.

Ymirferd pokiwał głową.

— Nie chwal się zasługami dnia wczorajszego, gdyż nie będziesz miał czym chlępić się jutro — zacytował stare przysłowie Vanirów.

— Dalibyście coś zjeść i pić — poprosił Kandar nie zwracając uwagi na słowa Ymirferda — a właściwie, gdzie my płyniemy?

— Do Stygii — odparł Conan.

— Złupić wybrzeże, popolować na kupców?

— Nie. Kapłani Seta z Khemi mają coś, co musimy im zabrać.

— Do stu tysięcy diabłów — wykrzyknął Kandar, a mina wyraźnie mu zrzędła — nienawidzę kapłanów Seta, przyjaciele moi, i słyszałem o nich mnóstwo okropnych opowieści!

— Zawsze zostają ci jeszcze kamieniołomy — złośliwie dorzucił Ymirferd.

— No, cóż mam nadzieję tylko, że ten udział będzie uczciwy. Chociaż co trupowi po złocie — pokręcił głową — Khemi, a do stu tysięcy diabłów, nie wiem czy kamieniołomy nie byłyby lepsze.

Conan uśmiechnął się. Podobał mu się ten człowiek, wygadany i pewny siebie. Cimeryjczyk miał nadzieję, że nie zawiedzie go w walce.

— Statki na horyzoncie — rozległ się nagle krzyk z góry. Wszyscy pośpiesznie wyszli na pokład. Conan wdrapał się na mostek i osłaniając dłońią oczy przed słońcem pilnie wpatrzył się w horyzont.

— Cztery — mruknął — wszystkie dwumasztowe. Czy to kupcy z Zingary?

Kandar pokręcił głową.

— Zbyt szybkie, aby należeć do kupców — rzekł — i coś mi się wydaje, że będziemy mieć kłopoty. Okręty zbliżały się błyskawicznie. Smukłe i ściągłe sunęły jak cztery drapieżniki po wolną i bezbronną zdobycz. Conan szybko rozpoznał piratów z Wyspy Czarnych — najokrutniejszych i najsprawniejszych zabójców południowych obszarów Oceanu. Ale już niedługo mieli się przekonać, że dwa spokojnie sunące statki pełne są

nieustępujących im w okrucieństwie i sprawności Vanirów słusznie nazywanych „wilkami mórz”.

— Hej, do boju dzieci Vanaheimu! — krzyknął Ymirferd i pokład zaroił się od ludzi i napełnił zgiełkiem oręża.

— Zrefować żagle — rozkazał Conan — statki burta w burzę.

Vanirowie stanęli przy burtach osłaniając się długimi, prostokątnymi tarczami z najtwardszego dębu wzmocnionego żelazem. Przygotowali do rzutu oszczepy. Conan zszedł na chwilę pod pokład i wyniósł stamtąd olbrzymi, ciężki topór. Pogłaskał pieszczotliwie jego ostrze, po czym zatoczył młyńca w powietrzu. Vanirowie przyglądali się temu ze zdziwieniem i podziwem. Żaden z nich nie byłby w stanie nawet unieść topora. Piraci, zaskoczeni tak szybkim przygotowaniem do obrony i zobaczywszy, że oba statki pełne są uzbrojonych po zęby wojowników, nieco przyhamowali. Dwa z ich okrętów podpływały od przodu, dwa pozostałe skierowały się na boki.

Czarni brali drużynę Conana w kleszcze, ale wyraźnie jeszcze nie kwapili się do ataku. Vanirowie stali spokojnie zasłonięci wysokimi tarczami zza których sterczały ostrza oszczepów.

— Czuję, że ominie nas piękna walka — westchnął Kandar widząc niezdecydowanie piratów.

— Zaraz uderzą — zaprzeczył Conan — zobaczymy czy jesteś wart pieniędzy, jakie za ciebie dałem.

I piraci rzeczywiście uderzyli. Na statki Vanirów spadły mosty zakończone hakami, wbijając się w drewno. W tym momencie mając napastników tuż przed sobą Vanirowie, równocześnie jak na komendę, cisnęli oszczepy. Z pirackich okrętów rozległy się jęki bólu i krzyki wściekłości. Conan był spokojny. Czarni nie byli zbyt dobrze uzbrojeni, ich siłę stanowiła liczba oraz szybkość statków. W starciu z Vanirarni nie mieli żadnych szans. A poza tym w pirackich załogach nie było nikogo takiego jak Conan Cimmeryjczyk. Conan wyskoczył do przodu odtrącając jednego z Vanirów i wpadł na przerzucony przez czarnych most. Runął przed siebie, tocząc młyńca toporem. Ostrze, lekko rozchlastało ciała dwóch piratów. Wkoło bryznęła krew i szczątki spadły do wody.

— Naprzód Vanirowie! — ryknął Ymirsferd i skoczył w ślad za Conanem.

Bzyknęły strzały. Jedna utkwiła w ramieniu Conana, inna drasnęła policzek znacząc na skórze krwawą bruzdę. Dwóch Vanirów z jękiem spadło do morza. Ale Cimmeryj-

czyk już był na pokładzie pirackiego okrętu. Jego topór niszczył i druzgotał wszystko co stało na drodze. Pokład zlał się krwią, wszędzie leżały odrąbane ręce i głowy, kadłuby przecięte straszliwymi ciosami. Szybko skończyła się walka na statku, gdzie wkroczył Conan. Piraci uciekali przed ostrzem jego topora i trafiali wprost pod ciężkie miecze Vanirów. Wreszcie z rykami przerażenia zaczęli skakać do morza chcąc uchronić się przed pewną śmiercią. Ale wokół statków krążyły już zwabione krwią rekiny. I czarni nie wiedzieli czy wolą umierać z rąk tego przerażającego olbrzyma czy w paszczach rekinów. Niektórzy próbowali błagać o litość, ale Vanierowie z uśmiechem na ustach, wznosząc bojowe okrzyki, cięli nie zważając na to, że podnoszą się ku nim bezbronne dłonie proszące zmiłowania.

— Krwi! — wrzasnął Ymirferd ranny w nogę. Z twarzą rozharataną dzidą, ale radośnie uśmiechnięty i podniecony bojem.

Na drugim statku sytuacja wyglądała jednak dużo gorzej. Czarni wdarli się tam na pokład i Vanierowie dzielnie stawiali im czoła. Ale co chwila któryś z nich, otoczony chmarą wrogów walił się na ziemię i ginał rozsiekany bądź skłuty dzidami. Conan szybko podjął decyzję, co należy zrobić, ale Vanierowie sami bez jego słów wiedzieli

już jak postąpić. Skierowali zdobyty przez siebie okręt wprost w burtę drugiego okrętu czarnych. Przerażliwy huk łamanych wręgów zagłuszył na chwilę bitewny zgiełk. Vanirowie rozradowani poprzednim zwycięstwem wdarli się na nieprzyjacielski pokład. Conan wiedział, że może im to pozostawić. Sam przebiegł na swój statek przeskakując trupy i uważając, aby się nie poślizgnąć na zlanych krwią deskach. Długim susem przeskoczył z burty na burtę i znalazł się tam, gdzie wrzała rozpaczliwa walka otoczonych Vanirów. Odrzucił topór, nieprzydatny w tłumie nieprzyjaciół i dobył długi na półtorej stopy nóż. Skoczył w sam środek bitwy. Jego prawa ręka niezawodnie znajdowała cele, ciął chlastając gardła, kłuł wbijając się w brzuchy i serca. Lewą ręką od czasu do czasu porywał któregoś z piratów miażdżąc twarze i zduszając szyje, czasem tłukł pięścią jak młotem, a tam gdzie uderzył pozostawała krwawa miazga.

Dwa pozostałe okręty piratów oderwały mosty, postawiły żagle i zabierając tych, co zdążyli wskoczyć na pokład, odpłynęły jak najszybciej mogły. Bitwa była wygrana. Trwała jeszcze rzeź, gdyż opuszczeni przez współtowarzyszy piraci stracili nadzieję zwycięstwa i ducha walki. Pod masztem bronił się przed trójką Vanirów jakiś czarny uzbrojony w ciężką najeżoną kolcami maczugę i długi sztylet. Przed nim leżały już trzy

ciała żeglarzy z Vanaheimu. Conan otarł krew zalewającą oczy i przyjrzał się uważnie. Ta twarz coś mu przypominała. Olbrzymi złoty kolczyk w uchu, potrójny naszyjnik z ludzkich zębów — to się z czymś kojarzyło.

— Stójcie! — krzyknął podbiegając do walczących.

Z trudem odepchnął rozwścieczonych i ogarniętych bojowym szałem Vanirów.

— Kobana — rzekł cicho uważnie przypatrując się czarnemu — wielki Membu Kobana.

Pirat cmoknął głośno i pochylił się w ironicznym ukłonie.

— Conan Cimmeryjczyk. Ileż to już lat, biały barbarzyńco?

Conan podszedł do niego. Uścisnęli się.

— Membu mieć szczęście — powiedział pirat w łamanym stygijskim — Membu jeszcze żyć i ach jeść swoich wrogów — mlasnął, oblizał palce i roześmiał się wyszczerzając śnieżnobiałe zęby.

Cimmeryjczyk poklepał go po ramieniu.

— Chyba trochę przetrzebiłem twoich ludzi — rzekł.

— Ech, czarnych jest dużo. Membu wrócić i mieć mnóstwo ach mnóstwo statków i wielkie mnóstwo czarnych zabijaczy. Membu powiedzieć, że zabić wilków morza i pokonać Conana z Cimmeria. Membu być mnóstwo sławny jak wrócić.

— Kto to jest? — spytał Ymirferd patrząc podejrzliwie na pirata.

— Kiedyś pływaliśmy razem — wyjaśnił Conan — to Membu Kobana, wódz piratów z Wyspy Czarnych.

— Zabił trzech moich ludzi — warknął Vanir — chyba nie chcesz ocalić mu skóry?

— Nie morduje się starych przyjaciół — rzekł Cimmeryjczyk — dam ci okup za zabitych, chcesz?

— Z kiesy Hrodwiga, zapewne.

— A co cię to obchodzi? Złoto to złoto.

— Niech ci będzie, Conanie. Ale trzymaj go z dala od moich ludzi.

Vanirowie tymczasem wyrzucali za burty trupy wrogów, zmywali zakrwawiony pokład, a ranni opatrywali się nawzajem. Kilku żeglarzy oglądało ciała piratów zabitych przez Conana. Podziwiali siłę ciosów Cimmeryjczyka i wymieniali słowa zachwytu.

— Zostawić jednego na jeść — rzekł nagle surowym głosem Membu, z trudem i kalcząc mowę Vanaheimu. Pokazał na leżące trupy. Ymirferd spojrział na niego z przerażeniem i obrzydzeniem. Pirat roześmiał się głośno.

— Och Membu zrobić dowcip — wyjaśnił świecąc zębami.

Vanir wcale nie rozbawiony wzruszył ramionami i odszedł.

— Chcę z tobą porozmawiać, Conanie — rzekł Kobana, tym razem już płynnym stygijskim bez obcego akcentu.

— Zejdźmy więc do mojej kajuty — zaproponował Cimmeryjczyk zastanawiając się czegoż to może chcieć od niego czarny pirat.

Usiedli i Conan nalał wina do kubków.

— Ktoś poluje na twą głowę — powiedział Membu — mnie wynajęto, Conanie. Śledziłem cię od samej Kordavy. Nie wiedziałem, rzecz jasna, że to ty, ale zapłacono mi za głowy Vanirów. Jestem pewien, że gdyby nie było cię na pokładzie, moi chłopcy pocięli by te wilki morza na plasterki. Mimo, że — przyznał — Vanirowie są naprawdę dobrzy. Gdzie płyniesz, Conanie? Kto tym razem pragnie cię dopaść?

Cimmeryjczyk milczał przez długą chwilę rozmyślając nad słowami Kobany.

— Mam pracę w Stygii — rzekł w końcu — ale wydawało mi się, że wszystkim zależy, abym tam dotarł — pokręcił głową — no ale nic, co będzie to będzie.

— Jesteś już stary, biały barbarzyńco — powiedział pirat przypatrując się uważnie Conanowi — być może jesteś najlepszy na świecie, ale nie sądzę, abyś kilkanaście lat temu dał się tyle razy zranić.

Cimmeryjczyk uśmiechnął się lekko.

— Goi się jak na psie.

— Trafisz w końcu na lepszego przyjaciela — Membu był cały czas poważny — minęły już czasy chwały. Obaj zmierzamy ku śmierci. To nie to samo, co wtedy, gdy walczyliśmy w załodze Belit. Pamiętasz jeszcze Belit, Conanie?

Lodowate, okrutne oczy Cimmeryjczyka nagle pojaśniały.

— Nigdy jej nie zapomnę — szepnął.

— Ani ja — przytaknął Membu — ale i ona spotkała śmierć mimo, że była najlepsza. Prawie tak dobra jak ty i ja, barbarzyńco.

Conan odegnał od siebie wzruszenie i roześmiał się.

— Myślisz, że jesteś tak dobry jak ja? — spytał — ech, Membu Kobana zabiłbym cię nawet, gdyby mi zawieszano na plecach prawą rękę.

— Pewnie tak — zgodził się pirat — ale trafisz w końcu na lepszego. Wierz mi, ty biały, pewny siebie barbarzyńco.

Nagle rozległo się pukanie i do kajuty wszedł Kandar.

— Ośmiu zabitych — obwieścił — kilkunastu rannych, ale nim dopłyniemy do Khemi wydobrzeją. No, chyba dobrze żeśmy się spisali?

— Ten też nieźle stawał — zwrócił się Membu do Conana — natłukł moich chłopców jak psów.

Cimmeryjczyk uważnie przyjrzał się Kandarowi. Na ciele wojownika nie było choćby najmniejszego draśnięcia. Nikt by się nie domyślił, że ten człowiek dopiero co opuścił pole bitwy.

— Gdzieś zebrał taką zgraję, czarnuchu? — zwrócił się Kandar do Kobany — już lepsi w boju byłiby stygijscy eunuchowie.

— Nigdy nie lekceważ tych, których zabiłeś — rzekł bez gniewu Kobana — bo tym samym lekceważysz samego siebie.

— A co z tą dziewczyną z Kordavy? — spytał Conan — bardzo przerażona?

— O do stu tysięcy diabłów — Kandar pstryknął palcami — na śmierć zapomniałem, przyjaciele moi. Miała szczęście, bestyjka. Jakiś czarnuch wdarł się na dół, zobaczył ją, no i rzucił się do niej. I uwierzcie, przyjaciele moi, że ten głupiec poślizgnął się na schodach i wbił sobie swoją własną dzidę w swój własny czarny brzuch! — Kandar roześmiał się głośno.

— No, proszę — powiedział Conan — zręcznych żeś sobie wybrał ludzi, Membu Kobana.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Khemi było wielkim portem w delcie rzeki Styx. Większym nawet od Kordavy. Ale słynęło nie jako miasto handlowe, lecz jako główna siedziba kapłanów Seta. Tam wznosiły się świątynie i tam składano przed ołtarzami krwawe ofiary, tam też ciągnęły się dziesiątkami kilometrów wielopoziomowe, podziemne labirynty, tam wreszcie zgromadzono bogactwa jakich nie widział świat. Dzielnica świątyń była odgradzona od reszty miasta potężnym murem najeżonym wartownikami, po ulicach chodziły liczne patrole kapłańskiej straży, a wszyscy niepożądani goście kończyli na ołtarzach Seta. A nie była to ani krótka ani łagodna śmierć.

Statki Vanirów rzuciły kotwicę kilkaset metrów od brzegu. Jak okiem sięgnąć aż po horyzont wzdłuż nabrzeży cumowały inne statki. Małe, duże, wielkie. Kupcy z Zingary, Argos, Shemu, Kush, ba nawet tacy, co przyплыnęli rzeką Styx z Keshanu lub Zembabwei. Khemi nie było miejscem bezpiecznym. W porcie strażę pojawiały się rzadko i niechętnie. Przez to kwitło tam złodziejstwo, rozpleliły się rabunki i morderstwa. Niebezpiecznie było chodzić ulicami Khemi samotnie, a jeśli wychodziło się pod wieczór lub co gorsza w nocy, to marne były szanse powrotu. Conan, rzecz jasna, nie obawiałby się przemierzyć najbardziej zakazane zaułki portu nawet nocą. W końcu w swojej złodziejskiej i pirackiej karierze miał do czynienia ze znacznie większymi niebezpieczeństwami. Ale teraz zależało mu na tym, aby spokojnie zbadać możliwości wdarcia się do Khemijskich świątyń, a nie zabawiać się awanturami z miejscowymi rzezimieszkami. Dlatego wziął ze sobą Ymirferda, Kandara i młodego Roldyga. Wraz z nimi poszedł Membu Kobana, którego znajomości w świecie khemijskich awanturników mogły się przydać, a który poza tym chciał znaleźć kogoś kto popłynie z nim na Wyspę Czarnych. Cimmeryjczyk co prawda proponował, że w drodze powrotnej wysadzi pirata na jego

rodzinnej wyspie, ale Kobana szczerze wątpił czy załoga Conana w ogóle będzie miała jakąkolwiek drogę powrotną.

Wyszli więc w pięciu na brzeg zostawiając trzech Vanirów na nabrzeżu, aby pilnowali łodzi. Z trudem przeciskali się przez różnojęzyczny, kolorowy tłum, który o ile to w ogóle możliwe był jeszcze gęstszy niż w Kordavie.

— Pilnujcie sakiewek — przykazał Conan — ani się obejrzyście jak je wam odetną od pasa.

Im bardziej zbliżali się do murów odgradzających port od dzielnicy świątyn tym tłum rzedniał. Wreszcie stanęli przed stustopowym pasem zaoranej ziemi, na który nie wolno było nikomu wejść. Za nim wznosiły się potężne, kamienne mury.

— Kiedyś wyglądało tu trochę inaczej — pokręcił głową Conan — widać, że zmienili wiele przez te paręnaście lat. Przejdźmy się wzdłuż murów.

Wyszli na brzeg zaraz po wschodzie słońca, a dopiero gdy zbliżał się zachód, skończyli obchodzić mury. Conan wyliczył, że muszą mieć co najmniej dwadzieścia pięć mil długości. Od północy wznosiły się nad nadbrzeżnymi skarpami przy rzece Styx, na wschodzie ciągnęły się szczytami wzgórz, a na południu i zachodzie szły po równym te-

renie poprzedzane pasem zaoranej ziemi. Były też cztery bramy, ale nadzwyczaj pilnie strzeżone tak jak i doprowadzające do nich drogi.

— Ciężko będzie — mruknął Ymirserd — mury też mają nielicze i ciągle włączają się po nich strażę.

Conan zerknął w stronę bramy, gdzie wartownicy przepuszczali akurat wozy.

— Nie myśl nawet o tym — rzekł Membu odgadując zamiary Cimmeryjczyka — patrz, że muszą pokazać strażom glejty.

— No więc zostają tylko mury — zdecydował Cimmeryjczyk — poczekamy na bezksiężycową noc i hajda. Świątynia Seta i główny ołtarz są jakieś dwie mile od południowej bramy. Musimy więc koniecznie przejść tamtędy, aby nie błąkać się zbyt długo ulicami Khemi.

— Po co im tyle świątyń? — zapytał Roldyg — i przecież nikt nie może tam wchodzić. Nie rozumiem.

— Świątyni jest mało — rzekł Membu — kiedyś Khemi wyglądało inaczej. Obcym nie wolno było pozostawać jedynie o zmroku, a w dzień ulicami przewalały się tłumy. Czczono wtedy kilkudziesięciu, nawet może kilkuset bogów, a teraz — wzruszył

ramionami — większość budowli stoi pustych i w ruinie, gdzieś się jeszcze gnieźdzą prerażeni wyznawcy Mitry i Isztar, a oprócz świątyń Seta jest jeszcze kilkanaście innych poświęconych bóstwom równie sympatycznym co sam Set. Całą wschodnią część miasta zajmuje cmentarz. Tam nawet nie chodzą strażę, ale po co, skoro wiedzą, że najwięksi stygijscy awanturnicy uciekaliby z cmentarza aż by się kurzyło.

Conan przetłumaczył Vanirom słowa Membu.

— Ja się nie boję — wzruszył ramionami Ymirferd.

— Upiory Vanaheimu być miły duch — odpowiedział Kobana kalecząc język Vanaheimu — Stygia upiór być morderca, lubić krew i ciało, zjadać lubić i być silny tak, że Conan sam nie móc. Conan wiedzieć.

Cimmeryjczyk skinął głową.

— To prawda. Demony Stygii liczą sobie setki i tysiące lat. Przesiąknęły całym złem, które gnieździ się w Khemi. Ich moc jest tak wielka, że nawet kapłani Seta często boją się je wzywać gdyż nie są pewni swej siły. Za nic w świecie nie poszedłbym na ten cmentarz, a mnie możecie wierzyć, gdyż mało jest takich rzeczy które napelniają mnie lękiem.

— Ciężko pojąć — rzekł Ymirferd — ja, rzecz jasna, wierzę w demony, bo jedynie człek głupi może mówić, że ich nie ma, lecz nie boję się, bo nie ma takich, których odwaga i dobry miecz w pewnej garści nie mogłyby odpędzić.

Conan roześmiał się.

— Poczciwe strachy północy. Na nie odwaga i miecz starczą. Ale tu, Vanirze, panują siły, o jakich nigdy nie słyszałeś, a gdybyś znał całą prawdę o nich, nie zbliżyłbyś się nawet do Khemi. Ja, który byłem w katakumbach Kushu, zawędrowałem do mrocznych dżungli Khitaju i walczyłem tam z istotami bez twarzy i ciał, ja który nie raz mierzyłem się z kapłanami Seta i ich magią, nawet ja, powtarzam ci to Ymirferdzie, nie śmiałybym stanąć twarzą w twarz z demonami z khemijskich cmentarzysk.

— Cóż za różnica skąd nadejdzie śmierć — wzruszył ramionami Vanir — czy z ręki człowieka czy demona?

— Bo gdy zginiesz zabity przez stygijskie demony — tłumaczył cierpliwie Conan — twoja dusza nigdy nie znajdzie spokoju. Będziesz snuł się przez całe wieki zżerany rozpaczą i bólem po Mrocznej Krainie, skąd nie ma wybawienia, gdyż nie istnieją powrotne bramy.

Wszyscy milczeli przez chwilę zadumani nad słowami Conana i chyba dopiero teraz Vanirowie i Kandar pojęli, że w razie klęski wyprawy czeka ich coś więcej niż śmierć. Bo śmierci nie bali się wojownicy Vanaheimu wiedząc, że po niej zasiądą na dębowych ławach Valhalii, pijąc piwo z dzbanów i weseląc się w obecności Thora i Odyna. Ale śmierć, po której następuje wieczna męczarnia przeraziła ich.

— Lepiej zginąć z własnej ręki — powiedział cicho Poitaińczyk.

— I to musimy wszyscy sobie obiecać — rzekł surowo Conan — że nikt nie pozwoli, aby jego towarzysz trafił żywy w ręce kapłanów. Bo nie dość, że śmierć na ołtarzu Seta najdzielniejszego może złamać i przyprawić o krzyk grozy, to w dodatku kapłani potrafią zabrać dusze swym ofiarom, a z ich ciał uczynić pozbawione woli narzędzia.

— Do stu tysięcy diabłów — mruknął Kandar — gdybym wiedział wcześniej z radością wybrałbym kamieniołomy.

Skierowali się w stronę portu. Milczący i zadumani, przerażeni wizją takiej śmierci. Jeden tylko Membu Kobana szedł spokojnie, nie przejmując się niczym, bo i tak wiedział, że z pewnością nie będzie towarzyszył Conanowi i Vanirom. Postanowił zaprowadzić ich do jednej z portowych tawern, słynnej z tego, że tam właśnie zawierano

najlepsze kontrakty, wynajmowano złodziei i morderców, że tam gromadziła się arystokracja khemijskich przestępców.

— Uważać wy co mówić — przykazał Kobana — ucho kapłani być tu mnóstwo. Ja mówić, wy język w zęby.

Weszli do ciemnego, zadymionego wnętrza. Wszędzie unosił się odór spoconych, niemytych ciał, połączony z zapachem gotowanego mięsa i kapusty. Było tłoczno, przy każdym stole siedziało po kilku ludzi, czarna od brudu podłoga zalana była winem i zaśmiecona resztkami jedzenia. U ścian płonęły oliwne lampki spowijając wszystko brudnożółtym blaskiem i niemiłosiernie kopząc. Nikt nie zwrócił uwagi na przybyłych. Wszyscy zajęci byli piciem i jedzeniem, trwały liczne rozmowy, uzgadniano ceny i imiona ofiar.

— To Helfordos — powiedział Membu dyskretnym ruchem wskazując potężnego, czarnobrodego mężczyznę w stroju Wolnego Kompana — najdroższy i najlepszy najemnik w Stygii.

— A to — ruch głową w stronę kąta, gdzie siedziała zgarbiona starucha, o siwych, skudlonych włosach — Eudoksja, znawczyni trucizn, odurzających i miłosnych napojów. Ponoć z jej usług korzystają nawet kapłani Seta.

— A tu masz Irfinesa — wskazał schludnego, szczupłego człowieka o przystryżonej w szpic bródce — najgroźniejszego pirata. Jego łodzie pływają na całej długości Styxu. Zapuszcza się nawet do Keshanu i Puntu. Każdy kupiec, który chce bezpiecznie przewieźć towar musi mu się opłacić.

— Dobrowe towarzystwo — mruknął Conan.

— To jeszcze nie wszystko — uśmiechnął się Membu — widzę tu co najmniej dwudziestu płatnych morderców, a jest i Liguus. Ten zajmuje się ludźmi z wyższych sfer. Sam jest bodajże baronem. Załatwia wszystko grzecznie i z taktem. Po prostu wyzywa na pojedynek. Najbardziej lubi walczyć dwoma mieczami, ale jest dobry w każdej broni.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — zdumiał się Conan.

— Wszędzie trzeba załatwiać interesy, barbarzyńco — uśmiechnął się z wyższością Membu — sam dostałem tu kilka popłatnych zleceń. Są też naganiacze co droższych kurtyzan, i całe mnóstwo taniej hołoty, co za parę groszy żgnie nożem kogo trzeba.

— A przewodnicy do Khemi? — spytał cicho Cimmeryjczyk.

— To niebezpieczne, a i rzadko trafia się klient. Jest tutaj parę hien, które buszują po zrujnowanych świątyniach, ale to wszystko agenci kapłanów.

— Więc po co nas tu przyprowadziłeś?

— Siadajcie na razie — rozkazał Membu — wywalcie kogoś, tylko nie wyciągajcie mieczy. Ta tawerna to azyl. Mielibyśmy przeciw sobie całe Khemi.

— Dobrze — odparł Conan — chodźcie — skinął na Vanirów i Kandara.

Zbliżyli się do stołu, przy którym siedziało pięciu mężczyzn szepczących coś z cicha. Wszyscy byli jakoś do siebie podobni. Mieli szczupłe i chytre twarze gryzoni.

— Wyjdziecie z nami na zewnątrz czy wyjdziecie sami? — spytał Conan.

Poderwali się wściekli roztrącając kubki, ale ich zapal ostygł, gdy zobaczyli potężnego Cimmeryjczyka o lodowato niebieskich oczach mordercy. A za nim stało jeszcze trzech zbrojnych.

— Bez urazy — rzekł grzecznie jeden z mężczyzn — poszukamy sobie innego miejsca.

Conan wyjął z kiesy parę monet.

— Napijcie się za nasze zdrowie — powiedział.

Rychło podszedł do ich stołu ponury człowiek w zachłapanym winem i sosami fartuchu. Bez słowa postawił na stole dzban i cztery kubki.

Cimmeryjczyk uważnie rozglądał się po Sali. Przypomniały mu się czasy, gdy za młodych lat sam szukał zleceń w podobnych miejscach. Potem już nie musiał nic robić, chętnych do wynajęcia go było tak wielu, że mógł w nich przebierać. Tu w tawernie spotykały się wszystkie typy ludzkie: najemnicy o surowych twarzach i zimnych oczach, pijący do granic możliwości, bo kto wie co będzie jutro, spokojni mordercy cierpliwie czekający, kto ich wynajmie, złodzieje o rozbieganych oczach, naganiacze czujnie oceniający wchodzących, czy ich kiesy wystarczą na opłacenie kurtyzany, agenci kapłanów udający że piją, a w rzeczywistości wsłuchujący się w każde wypowiedziane zdanie.

Do stołu podszedł Membu i zwałił się ciężko na ławę. Przedtem rozmawiał z paroma ludźmi i wypił sporo wina. Oczy świeciły mu się już i mówiąc lekko się zaciął.

— Nie chcielibyście zarobić trochę grosza? — spytał — jest zlecenie na karawanę shemickich kupców. . .

— Czyś zgłupiał? — ofuknął go Conan — nie przyszliśmy tu się wynająć.

— Też prawda — przyznał Membu — ale muszę rzec, że budzicie, a zwłaszcza ty Cimmeryjczyku, spore zainteresowanie. Może byśmy jednak zajęli się tą karawaną?

Conan chwycił go za kaftan i przyciągnął do siebie. Oczy barbarzyńcy były białe z wściekłości.

— Słuchaj, Membu Kobana — rzeki cicho, ale tak strasznym głosem, że pirat momentalnie wytrzeźwiał — powiedz czy da się coś dla nas zrobić czy nie. Ale nie opowiadaj bajeczek o shemickich karawanach.

— Proszę Conanie — powiedział Kobana — puść mnie. Myślisz, że to takie proste?

Cimmeryjczyk zwolnił uchwyt i czarny odetchnął z ulgą. Nalał sobie wina i jednym tchem opróżnił kubek.

— Musimy jeszcze trochę posiedzieć — rzekł — nie widzę tu nikogo godnego zaufania. Ale dotarły do mych uszu dziwne plotki.

— No?

— O kobiecie — Membu nachylił się do ucha Conana — która uciekła z Luxuru, z haremu króla Annanhotepisa.

— A mnie co to obchodzi? — zapytał gniewnie Cimmeryjczyk.

— Była przedtem jedną z kapłanek bogini Iramis, to jedna z najokrutniej szych religii, kto wie czy nie gorsza od wiary w Seta. No i ta kobieta została wykupiona czy porwana, tu zdania są różne, przez króla. A teraz uciekła. Ona wie wszystko o Khemi. Jeżeli dotrzemy do niej zaprowadzi was bez trudu.

— Czemu miałyby to robić? — Conan był nieufny.

— A to już twoja sprawa, żebyś ją przekonał — wzruszył ramionami Kobana — ale ponoć ma tu się zjawić ktoś, kto wie, gdzie ona się ukrywa. Pokażę ci go, a ty zmusz go do gadania.

Siedzieli już parę godzin. Tłum w tawernie gęstniał. Pod ścianami leżeli już ci, którzy nadużyli trunków, ktoś rzygał w kącie, trzech najemników śpiewało sprośną piosenkę, jakiś mężczyzna rozdiewał się z ubrania, które właśnie przegrał w kości. Membu Kobana — pijany i ledwo patrzący na oczy, nagle oprzytomniał. Ujrzał, że do tawerny wchodzi ten, o którym mu mówiono, iż wie gdzie ukrywa się królewska nałożnica. Już

chciał dać znać Conanowi, ale wtem ze zdumieniem zauważył, że przybysz podchodzi do stołu, gdzie siedzi Cimmeryjczyk.

— Witaj Conanie Cimmeryjczyku — rzekł cicho mężczyzna i przysiadł na zydlu.

— Kim jesteś? — lodowate oczy Conana zwróciły się w stronę przybysza.

— Przynoszę posłanie od mej pani — oznajmił mężczyzna — od tej, która zaprowadzi cię do Khemi.

Cimmeryjczyk drgnął. Nie podobało mu się to, że wiedziano o jego misji.

— Gdzie ona jest? — spytał.

— Zaprowadzę cię do niej — powiedział — nie — odezwał się ostro widząc podnoszących się z miejsca Vanirów — tylko ciebie, Conanie, samego. I bez broni.

— To zdrada — warknął Ymirferd — pójdziemy wszyscy albo nikt.

— Trudno — przybysz uniósł się, ale ciężka ręka Cimmeryjczyka wbiła go z powrotem w zydel.

— Jeżeli prowadzisz do pułapki, człowieku — szepnął Conan, a mężczyzna, który nieopatrznie spojrział mu w oczy, natychmiast odwrócił wzrok — zginiesz pierwszy.

— To nie pułapka — szepnął przybysz — wierz mi.

— Nikomu nie wierzę — skrzywił usta Conan — ale ty pamiętaj: zginiesz pierwszy.

— To szaleństwo — rzekł Kandar — nie idź sam. Wydusimy z tego człowieka, co wie. Pozwól mi się tym zająć.

— Nie — zdecydował Cimmeryjczyk — jeżeli nie wrócę do świtu, odpływajcie beze mnie.

— O, nie — usta Ymirferda skrzywiły się w okrutnym uśmiechu — wtedy poszukamy ciebie — spojrzał na przybysza — i twojej pani, a wasza śmierć będzie cięższa niż na ołtarzach Seta.

— Nie prowadzę do pułapki — powtórzył mężczyzna — wiem, przecież, że nikt nie zabije Conana tak szybko, by nie zdołał mnie zdławić.

— Jesteś bardzo rozsądny — powiedział Cimmeryjczyk i wstał — chodźmy więc. Odpasał miecz i podał go Vanirowi.

— Pilnuj go Ymirferdzie — przykazał — a jeśli nie wrócę niech to będzie mój dar.

— Wrócisz — stwierdził Vanir.

Cimmeryjczyk i jego przewodnik przecisnęli się przez tłum i wyszli na zewnątrz. Conan z przyjemnością zaczerpnął świeżego powietrza i delikatnym ruchem położył dłoń na lewym boku upewniając się, że jest tam schowany pod płaszczem sztylet.

— Chodźmy — ponaglił tajemniczy mężczyzna i ruszył szybkim krokiem, nie czekając na Conana.

Przemykali się ciemnymi, pustymi ulicami, kluczyli w labiryncie domów, przeszli przez jakieś pola, potem znów ugrzęźli w gmatwaninie uliczek. Cimmeryjczyk zdawał sobie sprawę, że przewodnik prowadzi go specjalnie dłuższą i bardziej skomplikowaną drogą, aby nie mógł tu trafić sam i nie zapamiętał szlaku. Był cały czas nieufny i ostrożny. Rozglądał się, wsłuchiwał w każdy szmer, mięśnie miał napięte i gotowe do odparcia ataku. Wiedział, że nawet mając tylko sztylet poradzi sobie z kilkoma napastnikami. Aby nie było nikogo kto chciałby go, siedząc na dachu któregoś z domów, ustrzelić z kuszy czy łuku. Lecz było tak ciemno, księżyc zakryły chmury, że nawet najlepszy strzelec mógł spudłować.

Nagle przewodnik zatrzymał się przed jednym z domów i zastukał w drzwi. Trzy razy szybko, dwa wolno i znów trzy szybko. Conan na wszelki wypadek zapamiętał

szyfr. Odsunęła się żelazna pokrywa i ktoś bacznie przyjrzał im się zza drzwi. Potem szcęknęły rygle i wrota uchyliły się.

— Jesteśmy na miejscu.

— Wchodź więc pierwszy — rozkazał Conan obejmując ręką szyję.

Przewodnik wszedł, a Cimmeryjczyk za nim, w każdej chwili gotów do odparcia ataku. Ale nic się nie stało. Spokojnie minęli barczystego odźwiernego i poszli korytarzem. Mężczyzna zapukał do drzwi na końcu korytarza.

— Wejść — usłyszeli dźwięczny, kobiecy głos.

Przewodnik otworzył drzwi.

— Tu już tylko ty możesz wejść — rzekł.

Conan przekroczył próg, spięty i przygotowany. Drzwi cichutko zamknęły się za nim. Znajdował się w małym pokoju, wyściełanym kobiercami. Panował tam półmrok, gdyż płonął tylko jeden lichtarz pełen świec. Na sofie siedziała rudowłosa kobieta. Płomień lśnił w jej miedzianych włosach. Była piękna. Cimmeryjczyk uważnie się jej przyjrzał i nie zdziwił się, że ta piękność mogła być nałożnicą króla Stygii. Była skromnie i prosto ubrana. Jedynie w ciemną, płócienną suknię. Ale nawet ten ubiór nie był

w stanie zabić jej urody. Conan w blasku świec widział złotą twarz, burzę rudych włosów, gibką postać, strome piersi, które śmiało wypinały płócienną sukienkę.

— Chciałaś mnie widzieć — powiedział ciągle przygotowany na atak.

— Usiądź, proszę — jej głos był melodyjny i delikatny. Wskazała na fotel.

— Może wina? — spytała.

Conan potrząsnął głową. Ona nalała wina do srebrnego kubka. Upiła głęboki łyk, po czym wstała i podeszła do gościa z naczyniem w wyciągniętej dłoni.

— A teraz się napijesz?

— Teraz tak — rzekł Conan i spróbował wina. Było bardzo słodkie i niesło ze sobą aromat zamorskich korzeni.

Gospodyni z powrotem cofnęła się i usiadła na sofie.

— Nie traktuj mnie jak wroga, Conanie — poprosiła — jestem tu, aby ci pomóc.

Cimmeryjczyk roześmiał się bezgłośnie.

— Żebyś wiedziała ile razy po takich słowach musiałem odbijać uderzające ostrze.

— Posłuchaj mnie — pochyliła się głęboko, skupiona i poważna — jesteś jedynym człowiekiem, któremu mogę zaufać. Jedynym, który nie zdradzi dlatego, że mu więcej

zapłacono. Ty Cimmeryjczyku osiągnąłeś już wszystko. Byłeś królem, mogłeś zdobywać imperia, byłeś bogaty jak nikt na świecie. I teraz wróciłeś. Wróciłeś po Czarny Kamień Seta.

Conan drgnął i spojrział na nią uważnie.

— Tak, Conanie. Wiem dlaczego tu jesteś. Wiedzą to również kapłani Seta. Czekają, abyś poprowadził ich do posagu. A wtedy zabiją ciebie i zyskają skarb. I świat runie w otchłań bólu i rozpaczy.

— Nim trafiłaś do królewskiego haremu byłaś kapłanką Iramis. Nie znam tej bogini, ale słyszałem, że jest tak okrutna jak Set. Nie ufam ci.

— Nie jestem wyznawczynią Iramis — powiedziała — czczę Asurę, boga w którego wiara zakazana jest na całym świecie.

— Asurę? — spytał poruszony Conan — przecież to...

— Tak — przerwała mu kobieta — to wyznawcy Asury pozwolili ci dawno, dawno temu odzyskać tron Aquillonii. Kapłan Hadrathus pomógł ci zniszczyć straszny cień, co obudził się po trzech tysiącach lat. O mało nie zginąłeś wtedy, Conanie.

Cimmeryjczyk zamyślił się.

— Może mówisz prawdę, kobieto, a może zwodzisz. Jeśli jesteś naprawdę wyznawcą Asury, to mogę ci uwierzyć, ale. . . — urwał i rozłożył dłonie.

— Mogę cię zabić kiedy tylko zechcę — rzekła — patrz!

Klasnęła w dłonie i w tym momencie otwarły się cztery pary sekretnych drzwi. Conan skoczył natychmiast w jej stronę, przekoziółkował i nim zdążyła się spostrzec, stał za nią unieruchamiając ramiona i trzymając sztylet przy jej szyi. W otwartych drzwiach ujrzął czterech kuszników z bronią przygotowaną do strzału.

— O, Asuro — szepnęła — chciałam udowodnić ci, że w każdej chwili, gdybym tylko miała ochotę, mogłabym zabrać ci życie. Ale ty ominąłeś tę pułapkę. Conanie wierze mi, jesteśmy sobie potrzebni. Odejdźcie — krzyknęła na kuszników i drzwi zamknęły się.

Cimmeryjczyk usiadł przy niej na krześle i wziął jej dłoń w swoje dłonie.

— Nawet strzała z kuszy nie zabija od razu — rzekł spokojnym głosem — i zdążę jeszcze przyciągnąć cię do siebie i złamać ci kark.

Kobieta uśmiechnęła się. Na palcu tej ręki, którą ścisnął Conan miała zatruty pierścień. Wystarczyłoby jej tylko drasnąć go, by umarł natychmiast. Prawie natychmiast.

— Nie jestem twoim wrogiem — powiedziała i uśmiechnęła się — mamy wspólne cele.

— Czyżby? — zapytał Cimmeryjczyk — być może oboje chcemy odnaleźć Kamień, ale obawiam się, że potem nasze drogi się rozejdą. Ale układ na razie uważam za interesujący. Ty wprowadzisz mnie do podziemi, a dzięki temu dowiesz się, gdzie stoi posąg. Pytanie brzmi tylko komu służysz i kto chce dostać Kamień?

— Służę Asurze — odparła łagodnie i uśmiech opromienił jej twarz. Kamień w czyichkolwiek rękach by się nie znalazł, zawsze spowoduje nieszczęście. Należy, bowiem, do tego rodzaju magicznych rzeczy, które są złe same w sobie i niszczą umysł oraz duszę tego kto je posiada. My chcemy go zniszczyć.

— No cóż będzie czas o tym pogadać, gdy Kamień znajdzie się już w naszych rękach.

— Przekonam cię, Conanie — znów uśmiechnęła się, a piękno tego uśmiechu olśniło Cimmeryjczyka — z pewnością. A teraz idź już. Mój sługa odprowadzi cię do portu. Wolałabym, aby zgraja żądnych krwi Vanirów nie zaczęła cię szukać po mieście. Czekaj spokojnie. Przyślę do ciebie kogoś, gdy uznam, że nadszedł już czas.

— Kiedy?

— Niedługo — odparła i klasnęła w dłonie.

W drzwiach pojawił się człowiek, który przyprowadził Conana. Cimmeryjczyk wstał i skinął kobiecie głową. Będąc już w progu odwrócił się.

— Jak masz na imię? — zapytał.

— Nemfale — rzekła i znowu się uśmiechnęła, a Conan jeszcze długo po wyjściu miał ten uśmiech przed oczami.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Membu Kobana chwiał się jeszcze na nogach, miał mętny wzrok i dłonie mu drżały, ale mówił przytomnie i do rzeczy.

— Tu jej nie ma, Conanie. Sprawdziłem tak jak kazałeś. Nikt nie słyszał o kobiecie porwanej przez kapłanów. Nikt.

Cimmeryjczyk zacisnął gwałtownie dłonie w pięści aż zachrzęściło mu w kościach.

— Gdzież więc ona jest?

— Może w Luxurze — poddał Kobana — ale równie dobrze może być w Sukhmet albo w którejś z twierdz na kushyckim pograniczu. Nigdy jej nie odnajdziesz, jeśli nie

zmusisz do gadania któregoś z kapłanów, a oni nie wychodzą z khemijskiej dzielnicy świątyń.

— A więc tak czy inaczej muszę tam wejść — mruknął Conan — ech, diabli nadali, myślałem, że się wymigam od wejścia do khemijskich podziemi.

— Przyjmiesz radę, barbarzyńco? — spytał Membu nachylając się. Conana zaleciał z jego ust odór nie przetrawionego do końca wina i rzygowin.

— Mów. Ale śmierdzisz!

— Od kiedyś to taki delikatny? — zaśmiał się pirat — no, ale dobrze. Oto rada: palnij wszystko w diabły i wracaj do Bossanu. Czarny Kamień nie przyniesie nikomu szczęścia. A dziewczka, cóż, mało ich miałeś w życiu? Jedna mniej, jedna więcej, co za różnica?

— Zrobiłbyś to dla Belit? — spytał spokojnie Cimmeryjczyk.

Membu Kobana zastanawiał się przez chwilę.

— Taak — przeciągnął — skoro tak się rzeczy mają, to idź barbarzyńco. Odzyskaj swoją panią, życzę ci szczerze szczęścia. Ale pozbądź się tego kamienia. Ludzie nie powinni grać kośćmi bogów. Przyjmij radę starego czarnucha. No, dość tego. Statek od-

plywa dzisiaj. Gdybyś przepływał czasem koło mojej wyspy nie zapomnij, że czekam. Chętnie usłyszałbym koniec tej historii.

Objęli się i Kobana poklepał Conana po ramieniu.

— Uważaj na siebie, barbarzyńco — powiedział z dziwną powagą w głosie — chętnie zobaczyłbym cię jeszcze żywego.

— Żegnaj Membu Kobana — rzekł Cimmeryjczyk. Gdy pirat wyszedł z kajuty Conan długo myślał nad jego słowami. Wiedział, że czarni mają czasem nadzwyczajny dar przewidywania niebezpieczeństw przyszłości. Membu go ostrzegał. Był wyraźnie smutny i poważny. Conan nie zamierzał lekceważyć tej rozmowy, a sam dobrze wiedział, że szansę wyjścia cało z khemijskiej awantury nie są zbyt wielkie. Nie usłyszał nawet jak do kajuty weszła dziewczyna kupiona w Kordavie. Odwrócił się dopiero, gdy stała dwa kroki za jego plecami.

— Czego chcesz? — spytał opryskliwie, zły, że mu ktoś przeszkadza.

Usiadła bez pozwolenia i rumieniec wypełznął jej na policzki. Opuściła wzrok.

— Kupiłeś mnie — zaczęła cichym głosem — i ja. . .

— No co, chcesz odejść? Proszę bardzo, jesteś wolna.

— Nie to nie to, ja. . .

— Upodobałaś sobie kogoś? Może Roldyga?

— Nie, on jest bardzo dobry, ale ja. . . — znów urwała.

— No mówże kobieto — warknął Conan — i nie zawracaj mi głowy głupstwami!

— Ja chcę ciebie — ośmieliła się wreszcie i spojrzała na niego ślicznymi zielonymi oczami — od początku pragnęłam być twoja. Błagam, nie odrzucaj mnie, panie.

Cimmeryjczyk przyglądał jej się chwilę, trochę zdumiony i pomieszany. Kobiety zawsze mu się podobały i lubił ich towarzystwo, ale mimo, że miał ich tak wiele, iż nie potrafił ani przypomnieć sobie ani zliczyć wszystkich, to oznaki uwielbienia i miłości zawsze robiły na nim wrażenie.

— Hm — chrząknął i wyciągnął dłoń przyciągając ją ku sobie. Zgrabnie przysiadła na jego kolanach i wtuliła się w niego. Poczul jej szybki oddech i usłyszał głośny łomot serca. Pogłaskał ją niezgrabnie po włosach, potem po plecach. Objął zasłoniętą kaftanem niewielką, twardą pierś. Zdziwił się, że podniecenie raptownie narosło mimo, że dziewczyna nie podobała mu się aż tak bardzo. Przechylił ją na łóżko i łapczywie wpił się ustami w jej usta. Poczul, że już dawno nie miał kobiety i żądza ogarnęła go bez

reszty. I wtedy, gdy ona była już rozebrana a Conan w pośpiechu pozbywał się resztek odzienia, do drzwi kajuty rozległo się pukanie.

— Crom i szatani! — zaklął Cimmeryjczyk — czego?

— Gdzie jest ta kobieta z Kordavy? — spytał głos i Conan rozpoznał Ymirferda — Roldyg robi raban, że ktoś ją porwał.

— Tu jest, u licha! — warknął Cimmeryjczyk podczas gdy dziewczyna głaskała i całowała jego tors i szyję — dajcie nam spokój!

— Zrozumiałem — odparł Vanir i za chwilę usłyszeli jego oddalające się kroki.

Znów pograżyli się w pieszczotach, a dziewczyna brak doświadczenia starała się nadrabiać żywiołowym oddaniem. Conan poczuł jak jej uda oplatają jego biodra i potem z trudem, pokonując opór, wszedł w nią. Krzyknęła gardłowo z bólu i rozorała jego plecy długimi paznokciami. Potem chwyciła włosy tak silnie, że aż jęknął i przycisnęła jego usta do swojej piersi. Rzucała się pod nim pełna bólu ale i narastającej powoli rozkoszy. Wreszcie krzyknęła na cały głos, Cimmeryjczyk ścisnął ją w objęciu i zniechęcił. Drżąca przytuliła się do niego.

— O, na Seta — szepnęła cichutko, prawie bezgłośnie — nie wiedziałam, że to aż tak.

Leżeli teraz obok siebie, nadzy i zmęczeni. Ona przytulona do jego ramienia, on głaszczący jej uda, brzuch i piersi z satysfakcją przyglądając się jak przy każdym dotyku przechodzi ją rozkoszny dreszcz. I kiedy tak leniwie pieścili się, nagle usłyszeli szybkie kroki, po czym otworzyły się drzwi i trzasnęły o ścianę. Do kajuty wpadł Roldyg z nagim mieczem w dłoni. Gdy zobaczył co się dzieje, jego twarz znieruchomiła z gniewu. Conan błyskawicznie, nim jeszcze ujrzał Vanira, zeskoczył z łoża, ale nie zdążył chwycić leżącego na skrzyni miecza. Ledwo odskoczył przed cięciem Roldyga, koniuszek miecza rozciął skórę przedramienia. Stał w kącie, czujny i pilnie zważający na każdy ruch Vanira. Choć nagi i bezbronny był nadal groźny i Roldyg doskonale o tym wiedział. Wiedział też, że jeśli nie pokona Cimmeryjczyka pierwszym ciosem, to nie uczyni tego nigdy. I gdy szykował się już do cięcia, nagle poczuł przeraźliwy ból pod łopatką. Jęknął i miecz wypadł z osłabłej dłoni. Zdołał jeszcze zobaczyć twarz dziewczyny, teraz zimną i okrutną, a jej oczy były tak samo lodowate jak oczy Cim-

meryjczyka. Wyciągnęła sztylet z rany a Vanir zwałił się na kolana. Conan przyklęknął obok niego.

— Po co ci to było, chłopcze? — spytał bez złości.

— Daleś mi ją — szepnął powstrzymując jęk Roldyg — przecież dałeś mi ją.

— A niech to — Cimmeryjczyk machnął ręką i wstał — ubierz się i idź. Nie trzeba go było tak ranić, głupia suko!

Ona obróciła się rozeźlona.

— Zrobiłam to dla ciebie! — krzyknęła.

Conan po chwili wahania lekko pogłaskał ją po włosach.

— No dobrze — ale idź. Zawołaj tu Ymirferda. Pamiętaj nikomu ani słowa.

Rozciął ubranie Vanira i obejrzał ranę. Na szczęście była czysta. Ostrze ześlizgnęło się po kości i nie zbliżyło niebezpiecznie do serca ani nie przerwało żadnej z ważnych żył.

— Teraz będzie bolało, chłopcze — powiedział Conan rozgrzewając szerokie ostrze sztyletu nad paleniskiem.

Począł aż czerwone żelazo nabierze delikatnie różowego koloru i przytknął je do rany. Roldyg wrzasnął i zemdłał. Cimmeryjczyk dokładnie wypalił ranę, a potem zalał ją kubkiem mocnej, stygijskiej gorzałki. Pociął kawałek płótna na pasy i dokładnie opatrzył ranę Roldyga. Kiedy kończył, do kajuty wszedł Ymirferd.

— Mówiłem, żeby nie brać tej dziwki — warknął — żyje? — wskazał na leżącego.

— A opatrywałbym trupa? — odpowiedział pytaniem Conan.

Ymirferd usiadł, nalał sobie pełny kubek wina i opróżnił go jednym tchem.

— Dziewczyna go pchnęła — raczej stwierdził niż zapytał.

— A kto? Ja? Od tyłu? — warknął Cimmeryjczyk — masz dobrze w głowie, człowieku?

— Zrób z nią co chcesz, ale nie będzie dłużej na moich okrętach! — wybuchnął Vanir — koniec z tym!

— To nie są twoje okręty — odparł zimno Conan.

— Ale króla Hrodwiga — powiedział wstając Ymirferd.

— I ja jestem dowódcą — stwierdził Cimmeryjczyk. Mierzyli się przez chwilę wściekłym wzrokiem. Ale Vanir wiedział, że jeśli dojdzie co do czego, Conan go zabije, a cała wyprawa weźmie w łeb. Nie mógł sobie pozwolić na złość.

— Ale żadnego wychodzenia — powiedział — niech siedzi w twojej kajucie.

— Zgoda — odparł szeroko uśmiechając się Conan — to nawet jest po mojej myśli.

— Przyślę tu kogoś po Roldyga — mruknął Vanir już pojednawczym tonem — ależ ta suka zdrowo go dziabnęła. . .

— Ma szczęście, że nie w serce.

— Ano prawda. Wierzysz tej kobiecie Conanie?

Cimmeryjczyk dopiero po chwili zorientował się, że Ymirferd myśli teraz o Nemfale.

— Nie wiem — odparł szczerze — być może ciągnie nas w pułapkę, być może nie. Wydaje się mówić prawdę.

— A jeśli jest szpiegiem kapłanów?

Conan zastukał palcami po skrzyni i zastanawiał się chwilę.

— Musimy zaryzykować — rzekł w końcu — nie mamy innego wyjścia. Będę tak kluczył po labiryncie, aby pogoń, jeżeli taka będzie, zgubiła nasz trop. A z nią przecież sobie poradzimy.

— Tylko czy wyjdziemy? — westchnął Ymirferd — a jeśli nawet, to ilu będzie na nas czekać? Poza tym uważaj, Conanie. Ty jeden wiesz gdzie jest Kamień. Mogą cię porwać.

Cimmeryjczyk uśmiechnął się lekko.

— Za mądrzy są na to — powiedział — wiedzą, że nie wezmą mnie żywcem. Teraz pozostaje nam tylko czekać na kogoś, kogo ona wyśle. Ale na wszelki wypadek niech ludzie będą gotowi.

— Oni są zawsze gotowi — odparł Ymirferd.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Sartapis siedział wygodnie w fotelu i głaskał po głowie ulubionego pytona. Było to jedyne stworzenie na świecie, do którego czuł coś w rodzaju przywiązania. Rozmyśli z przymkniętymi oczyma, wsłuchując się w krzyki i jęki dochodzące zza cienkiej ściany. Nie lubił widoku tortur, rozlanej krwi, nie znosił smrodu przypiekanego mięsa. Nie uczestniczył nigdy, w przeciwieństwie do innych kapłanów w przesłuchiwaniu zbrodniarzy, którzy śmieli zbezczęścić święte Khemi. Nie podobał mu się wyraz oglupienia i trwogi na przerażonych twarzach ofiar, ani nie podobały mu się one potem, gdy pod wpływem rozlicznych działań kata zamieniały się w zwinięty kłęb pokrzwawione-

go i spalonego mięsa. Ba, nie lubił nawet uczestniczyć w ceremoniach ofiarnych. Odór krwi, potu i rzygowin przyprawiał go o mdłości — Ale lubił słuchać. Krzyki, jęki, gardłowe wrzaski, błagania niosły za sobą ładunek czystego, nieskalanego okrucieństwa. Poznał już wszystkie rodzaje odgłosów. Przypochlebne błagania i obietnice poprawy, które przechodziły w rozpaczliwy, płaczący wrzask. Przerazone szloch kobiety gdy kat prezentował im narzędzia, których użyje, zaciekle milczenie najemników, które gubiło się potem w posapywaniu, bolesnym jęku aż wreszcie rodziło opętańczy krzyk pełen nienawiści. Dobrze mu się rozmyślało, gdy słuchał dźwięków zza ściany. Było to jak kojąca muzyka. A teraz, myślał właśnie o Conanie, barbarzyńcy z odległej Cimmerii, i wiedział, że chętnie usłyszałby jego krzyk. Choć zapewne nie tak łatwo byłoby go wyrwać z tej krtani. Ale Cimmeryjczyk był coraz bliżej, siedział na swoim statku w Khemijskim porcie i planował złodziejski wypad do świątyni. Nie wiedział jednak o niespodziankach jakie przyszykował mu Sartapis. O zdrajcy, który, gdy się już dowie gdzie jest kamień obezwładni Conana i zabije jego towarzyszy. Potem Cimmeryjczyk będzie długo koł arcykapłana swym krzykiem. Długo, bardzo długo. Miną lata zanim pozwoli mu się umrzeć. Odpokutuje za wszystkie przewiny wobec kapłanów, Stygii

i wielkiego Seta. A Sartapis będzie miał Czarny Kamień. I będzie miał władzę nad światem. Krzyki i jęki zza ściany przeszły w głucho, bolesne rżenie. Potem zaległa cisza.

— Co się stało? — krzyknął głośno, wybity z rozmyślań arcykapłan.

Zza drzwi wychylił się jeden z kapłanów skulony w pełnym oddania ukłonie.

— Umarł, panie mój.

— Bydło — warknął Sartapis — dawajcie następnego tylko niech starczy na dłużej!

— Tak panie mój, stanie się jak każesz — kapłan wycofał się za drzwi nadal zgięty w pokłonie.

Sartapis odepchnął łeb pytona i splótł dłonie na kolanach. Wreszcie będzie mógł bezkarnie korzystać z magicznej wiedzy. Okiełzna demony, nawet te najgroźniejsze. Zdawał sobie bowiem sprawę z tego, iż magia upadła w Khemi. Trzej ostatni kapłani, najbieglejsi i najmądrzejsi, umarli nie pozostawiając nikomu tajemnic swego kunsztu, czwarty zniknął gdzieś, nie wiadomo gdzie. Mówiono, że udał się do przerażających cmentarzysk Xuchotlu. Sartapis znał magię, ale bał się ceny jaką płaci się za jej używanie. Oczywiście mógł wykonywać pewne niewinne i proste sztuczki jak przekazywanie

na odległość wiadomości, zamawianie pogody czy wiatrów, tworzenie złud i miraży, wywoływanie przerażających nocnych koszmarów, sprowadzania choroby, ale prawdziwa wiedza magiczna była mu niedostępna. Bał się bowiem, przywołać któregoś z demonów wiedząc, że potem może nad nim nie zapanować i znajdzie się w jego władzy. A Sartapis nie zamierzał służyć nikomu. Czy to człowiekowi czy demonom. Dlatego też, by zdobyć i utrzymać wpływy w państwie, posługiwał się siatką szpiegów, armią, królewskimi doradcami, przywódcami kupieckich gildii i mistrzami cechów, a nie magią. Ale pewien był, że czas, gdy będzie mógł skorzystać z usług najstraszniejszych demonów jeszcze nadejdzie. I wtedy świat zostanie skazany na jego łaskę i niełaskę.

Obliznął wyschnięte wargi. Za ścianą kogoś wleczono po ziemi. Usłyszał metaliczny trzask, gdy zamykano żelazne obręcze. Potem potok wyzwisk i przekleństw. Sartapis uśmiechnął się. Wiedział, że każdy pokorniej przedziej czy później, że każdy zaczyna kiedyś błagać o litość, że z każdego można uczynić pokornego psa, co drży na każdy gwałtowniejszy ruch swego pana. Nawet z Conana Cimmeryjczyka. Uśmiechnął się do własnych myśli. Wiedział, że dał temu barbarzyńcy szansę, z której ten nie omieszka skorzystać.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Conan zmęczony leżał na łóżku leniwie popijając wino z kubka. Obok niego, przytulona, spoczywała nieodstępująca go od paru dni Sheila. Te właśnie ostatnie parę dni spędzali prawie bez przerwy w kajucie i prawie bez przerwy kochali się. Cimmeryjczyk w niepozornej, szczuplutkiej niewolnicy z Kordawy odnalazł wulkan namiętności i czułości. Oboje byli zachwyceni sobą, swoimi ciałami i swoimi doznaniem. Conan po tych kilku dniach czuł się jakby stoczył ciężką bitwę, ale było mu z tym wspaniale. W ramionach Sheili zapominał o Ylwie, Czarnym Kamieniu, Vanirach i kapłanach. Liczyły się tylko jej pocałunki, piersi o naprzężonych sutkach, szczupłe uda, które potrafiły nadspo-

dziewanie silnie obejmować i ścisnąć. Liczył się tylko jej jęk, przyspieszony oddech, gwałtowne bicie serca i gardłowy krzyk „kocham cię”, którym witała każde spełnienie. A zdarzało się to nader często.

Ktoś zastukał gwałtownie do drzwi. Conan wstał i przesunął skobel. Od czasu napadu Roldyga wołał zamykać kajutę.

— Czego? — spytał uchylając drzwi — a to ty, Ymirferdzie — wpuścił Vanira do środka — co się stało?

Ymirferd spojrział na dziewczynę, która nie przejmując się jego wejściem nadal leżała naga.

— Jakiś żebrak chce z tobą mówić — powiedział — myślę, że to może być ktoś od niej.

— Przyrowadź go więc — rozkazał Conan narzucając płaszcz na ramiona i kładąc miecz na podporędku — a ty ubieraj się — spojrział na Sheilę.

Ona przeciągnęła się z wyraźną satysfakcją obserwując zakłopotanie Vanira, który zaraz potem wyszedł. Wrócił po chwili prowadząc nędznie ubranego człowieka w za-

plamionym i podziurawionym płaszczu. Kaptur zasłaniał twarz przybysza i widać było tylko szopę siwych, skołtunionych włosów.

— Chciałeś mnie widzieć — rzekł Conan — mów więc z czym przychodzisz.

— Dobrze, Conanie — zgodził się żebrak i roześmiał się dźwięcznie.

Zrzucił płaszcz, cisnął siwą perukę i przed oczami Cimmeryjczyka pojawiła się Nemfale. Tym razem miała ściśle upięte włosy, ale nadal wyglądała zachwycająco.

— Witaj Nemfale — uśmiechnął się Conan i wskazał jej krzesło — napijesz się z nami wina? Siadaj i ty Ymirsferdzie — poprosił stojącego cały czas przy drzwiach Vanira.

— Kim jest ta kobieta? — spytała bez uśmiechu Nemfale.

— Ona może zostać — zdecydował Conan.

— Nie — sprzeciwiła się Nemfale — nikt prócz ciebie i wodza Vanirów nie może wysłuchać tego, co powiem.

— No dobrze — zgodził się Cimmeryjczyk — wyjdź, Sheilo.

Dziewczyna wściekła i upokorzona wyszła trzaskając drzwiami. Conan roześmiał się.

— Mów, proszę — zwrócił się do Nemfale.

— Za trzy dni — zaczęła kobieta — zjawi się w Khemi statek z Luxuru. Na jego pokładzie będzie trzech kapłanów przybywających na obrzędy ku czci Seta, dwie niewolnice, które mają zostać złożone w ofierze świętemu krokodylowi Seta i oczywiście załoga. Barka zatrzyma się w rzeczonym porcie, po czym kapłani, niewolnice i dwóch strażników dojdą do północnej bramy. Strażnicy będą musieli wrócić na statek, ale kapłani i niewolnice przejdą zmierzając w stronę głównej świątyni Seta.

Spojrzała na nich roziskrzonymi oczyma.

— Jak wam się to podoba? — spytała.

— A co ty chcesz z tego mieć? — zapytał nieufnie Ymirferd, któremu Conan nic nie powiedział, że Nemfale pragnie zniszczyć kamień.

— Nienawidzę Seta i jego kapłanów — powiedziała, zresztą całkowicie szczerze — i będę zachwycona mogąc im zaszkodzić.

Ymirferd skinął głową, ale słowa kobiety nie przekonały go.

— Kto pójdzie? — zapytał.

— Ty, ja i nasz dzielny przyjaciel Kandar. Czas, aby zarobił na swój wykup. A co do niewolnic, to wybierz dwóch najszczuplejszych i najniższych ludzi. Jak obleczemy ich w babskie szatki i zasłonimy twarze nikt nie pozna podstępu.

— Niewolnice mają być nagie — łagodnie zauważyła Nemfale.

Ymirferd i Conan spojrzeli po sobie.

— Crom i szatani — warknął Cimmeryjczyk — przecież nie mogę wziąć byle dziwek z ulicy.

— Ja pójdę z wami — rzekła kobieta — a wraz ze mną moja oddana niewolnica. Mogę być jej pewna jak samej siebie.

Conan uśmiechnął się i pokręcił głową, Nemfale była albo niezwykle odważna albo też wszystko zostało z góry ukartowane.

— Jesteś bardzo dzielna — powiedział — i mam nadzieję, że wyjdziemy z tych lochów.

— Ja też nie zamierzam umierać — odparła — jeszcze nie

— A ja chcę jeszcze zobaczyć śniegi Vanaheimu — wtrącił Ymirferd.

— Zaatakujemy statek dwadzieścia mil od Khemi — oznajmiła Nemfale — w środku nocy. Trzeba to zrobić cicho i niepostrzeżenie, gdyż wieści o walce dotarłyby do świątyni przed nami. Spotkamy się pojutrze wieczorem. Czterdzieści mil stąd na południe jest na wybrzeżu skała o kształcie ptasiej głowy. Nie sposób jej nie zauważyć. Tam zakotwiczą okręty. Będę czekała z niewolnicą i końmi. W wybranym przeze mnie miejscu będzie też wynajęta barka, z której napadniemy na kapłanów.

— Jesteś niezwykła, Nemfale — rzekł Cimmeryjczyk uważnie przyglądając się Stygijce.

Podziękowała mu skinieniem głowy i wstała. Narzuciła płaszcz na ramiona i założyła siwą perukę. Zgarbiła się i nakryła głowę kapturem.

— Żegnajcie dostojni panowie — powiedziała starczym, skrzypiącym głosem — i niech Asura wam sprzyja.

Conan i Ymirferd roześmieli się. Przebranie było znakomite i nie sposób było się domyślić, że pod brudnym, podartym płaszczem skryte są wdzięki jednej z najpiękniejszych kobiet Stygii. Gdy wyszła, obaj mężczyźni usiedli przy dzbanie wina.

— Pilnuj jej — powiedział Vanir — nie daj się zwieść sprytowi i piękności.

Conan skinął głową.

— Nie mam zamiaru nikomu ufać — rzekł — ani tobie, ani jej, ani Kandarowi.

— Mnie? — wzruszył ramionami Ymirferd — a cóż nas dzieli?

— Dzieli nas bardzo wiele — pomyślał Conan — na przykład to, że boisz się mnie, Vanirze, a ja nie wiem czemu.

— Może król Hrodwig, gdy zyska Kamień nie będzie już tak skory do rozdawania złota i pomocy w odzyskaniu Ylwy — napomknął Cimmeryjczyk — ale wiedz, że to nie byłby dobry pomysł.

— Wiem — skinął głową Vanir — bądźmy przyjaciółmi, Conanie. Do końca, jakkolwiek on by nie był — wyciągnął dłoń, a Conan uścisnął ją.

— Zgoda, Vanirze. Ale pamiętaj — spojrzął na Ymirferda, a jego oczy znów nabrały tego lodowatego, morderczego lśnienia — nie zdradź mnie.

— Nie zdradzę — obiecał Ymirferd i umknął wzrokiem nie wytrzymując spojrzenia Cimmeryjczyka.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Skały rzeczywiście nie sposób było ominąć. Wznosiła się na jakieś sto stóp nad lustrem wody i naprawdę przypominała ptasią głowę wyciągniętą w stronę morza. Były i oczy i ostry dziób i nawet czub na głowie. Dopłynęli w jej okolice o zachodzie słońca. Krwawy blask chował się nad pustynią, w głębi lądu. Conan wybrał sześciu ludzi, którzy mieli zamienić się na porwanej barce w stygijskich strażników i teraz wszyscy czekali na spuszczenie szalup radośnie podnieceni i wietrzący już bitwę. Reszta Vanirów stała ponuro i w milczeniu zazdrościła wybrańcom. Cimmeryjczyk przytulił na pożegnanie Sheilę i pocałował ją w usta.

— Niedługo wrócę — rzekł.

— Wiem — odparła uśmiechając się i obejmując go z całej siły.

Popłynęli do brzegu. Vanirowie wiosłowali co sił starając się nie dać zepchnąć na skały ostremu prądowi. Conan z przyjemnością wciągnął w płuca świeże, morskie powietrze, wystawił twarz na bryzgi wody. Wreszcie działał. Mimo towarzystwa Sheili to spokojne czekanie na statku zaczęło go nużyć. A teraz w końcu wszystko stało się już jasne i proste. Były tylko dwie możliwości: wróci albo jego ciało zgnije w stygijskim labiryncie. Przeciągnął się aż chrupnęły kości. Był gotów do walki, a jeśli będzie trzeba, to i na śmierć. Pieszczotliwym ruchem przeciągnął po klindze miecza. Już niedługo.

Nemfale czekała przy skałach. Obok niej siedziało na koniach trzech mężczyzn pilnując przygotowanych do drogi wierzchowców. Kobieta wyjechała naprzeciw Conanowi i jego drużynie. Była blada i zdenerwowana.

— Olina zachorowała — powiedziała na powitanie — nie mam nikogo, kto by ją zastąpił. To się stało tuż przed wyjazdem.

— Do stu tysięcy diabłów — zaklął Kandar — i co robimy?

— Co to za ludzie? — Conan ruchem głowy wskazał trzech jeźdźców.

— Słudzy kupców. Przyprawdzili nam konie. Trzeba ich zabić — Cimmeryjczyka uderzyła zimna obojętność w jej głosie.

— Nieźle jak na wyznawczynię Asury — zauważył — wystarczy zabrać im wierzchowce. Nim dowłoką się do Khemi będzie po wszystkim.

Skinęła głową.

— Wybacz Conanie — powiedziała — nie panuję nad sobą, nie wiem już co robić.

— Sheila — rzucił Ymirferd — ona pójdzie z nami.

— Nie! — Cimmeryjczyk obrócił się w stronę Vanira — nie zgadzam się.

Ymirferd nie odwrócił wzroku. Przez chwilę patrzyli na siebie.

— To jedyne, co możemy zrobić — powiedział Ymirferd — przecież wiesz o tym.

— Przywieździe Sheile — warknął rozkazująco Conan do dwóch Vanirów, którzy szykowali się już, aby odplynąć szalupą na statek — źle zaczyna się ta wyprawa.

Conan odszedł na bok i usiadł na przybrzeżnym głazie. Był zabobonny jak każdy barbarzyńca i teraz ten nieprzychylny zbieg wypadków wydawał mu się ostrzeżeniem. Ale wiedział, że nie może się wycofać. I nie chodziło tu o Vanirów czy Czarny Kamień, ale o Ylwę. Mimo nocy i dni spędzonych w ramionach Sheili miłość Cimmeryjczyka do

żony nie zgasła, ani nawet nie została naruszona. Zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby nie próbował jej ratować byłby przeklęty na zawsze. Przez siebie samego, a to przecież najstraszniejsze.

Poczuł czyjeś dłonie na ramionach, odwrócił się i ujrzał Nemfale.

— Wszystko będzie dobrze — powiedziała.

— Nie musisz pocieszać mnie jak dziecka — zaśmiał się mimo woli.

— Wszyscy barbarzyńcy po trosze są dziećmi — odparła głaszcząc delikatnie jego szyję.

— Czy jeśli powiedzie nam się zabierzesz mnie ze Stygii? — spytała — chciałabym zobaczyć Bosson, skryty w śniegu Vanaheim, daleki Asgard — zamyśliła się na chwilę — nie widziałam nigdy nic poza Luxurem, Khemi, rzeką Styx i kawałkiem wybrzeża. Zabierz mnie ze sobą, Conanie.

Cimmeryjczyk przypatrywał się jej ze zdziwieniem.

— Może — odparł wolno — ale po cóż snuć plany przyszłych podróży, gdy nasza może się zakończyć w lochach Khemi?

Rozmarzenie zniknęło z jej twarzy. Spowaźniała i zdjęła dłonie z karku Conana.

— Chciałam na chwilę o tym zapomnieć — westchnęła i odeszła wolnym krokiem. Po chwili do brzegu przybiła łódź wioząca Sheilę. Dziewczyna wyskoczyła na brzeg.

— Co się stało? — zapytała — czyżbyś już się za mną stęsknił? — podeszła do niego i wtuliła się. Conan poczuł jak krew zaczyna mu żywiej pulsować w żyłach. Odsunął Sheilę od siebie.

— Jedziesz z nami — rzekł — i razem z nami wejdiesz do Khemi.

Podniosła na niego oczy i uśmiechnęła się leciutko.

— Z tobą nic mi niestraszne, mój panie.

Byli już gotowi do drogi. Jeźdźcy, którzy przyprowadzili Nemfale z posępną wściekłością patrzyli jak Vanirowie zabierają im konie. Ale żaden nie śmiał dobyć broni wiedząc, że byłoby to równoznaczne z proszeniem się o śmierć. Conan dał im parę sztuk złota, sumę znacznie przekraczającą wartość wierzchowców. Rozpogodzili się nieco, choć nadal nie cieszyła ich wielomilowa piesza wycieczka do Khemi.

— Zapomnijcie o nas — rzucił im Cimmeryjczyk na pożegnanie — tak będzie dla was najlepiej.

Kierowali się w głąb ładu zmierzając w stronę, gdzie jak obiecała Nemfale, miała u brzegów Styxu czekać barka, z której pokładu przedostaną się na statek kapłanów. Na miejscu powinni być zaraz po północy, a wyznawcy Seta mieli się pojawić na dwie lub trzy godziny przed świtem. Jechali spokojnym kłusem, Vanirowie śmieli się i żartowali, a Conan pamiętał, że wojownicy Vanaheimu zawsze byli tacy. Szli na bitwę z uśmiechem, mordowali bez litości i ginęli nie prosząc zmiłowania. Wreszcie około północy znaleźli się na podmokłych łąkach. Wystarczyło tylko przedrzeć się przez pas przybrzeżnych zarośli, a tam w zatoczce kołysała się już wynajęta przez Nemfale barka. Pilnowało jej dwóch ludzi. Kobieta kazała im zabrać konie i odprowadzić je do Khemi. Wiedziała, że dzięki temu, nigdy więcej ich już nie ujrzą.

— Barka kapłanów będzie płynęła jasno oświetlona, a na dziobie stoi drewniany posąg Seta. Przez to mogą być pewni, że nie napadną ich piraci. Nawet Irfines nie śmiałby tego uczynić. Sartapis, arcykapłan Seta, znalazłby go nawet w piekle.

Conan skinął głową. Słowa Nemfale lekko go zaniepokoiły. Trzeba będzie bardzo ostrożnie wyróżnić ludzi na oświetlonej barce, tak aby nie dojrzał tego nikt z brzegu, bądź z innego statku.

— Wypłynmy już na środek — rozkazał Cimmeryjczyk.

Vanirowie chwycili wiosła i barka wypłynęła na wody Styxu. Rzeka w tym miejscu nie była zbyt szeroka, ale i tak koryto miało co najmniej trzysta stóp szerokości. Było to jednak nic w porównaniu z tym jak wyglądała w Khemi i wpadając do oceanu. Conan kazał zarzucić kotwicę i teraz pozostawało im tylko czekać. Wreszcie dojrzeli na horyzoncie iskierkę, która z biegiem czasu zmieniała się w małe światełko, a potem w jasno oświetloną łódź. Cimmeryjczyk kazał wciągnąć kotwicę. Vanirowie chwycili miecze w dłonie i czekali aż barka kapłanów zbliży się wystarczająco. Wreszcie nadeszła ta chwila, gdy nadpływający statek znajdował się niespełna pięćdziesiąt stóp od nich. Strażnik na dziobie dostrzegł niebezpieczeństwo, ale nawet przez myśl mu nie przeszło, że ktoś może chcieć zaatakować kapłanów Seta. Sądził, że to po prostu jakaś kupiecka barka ze spojona załogą na pokładzie, która dryfuje bezsilnie z nurtem. Dlatego też tylko bluznął przekleństwami i kazał sternikowi zrobić nagły zwrot. Conan manewrował tak, by statki przeszły obok siebie burta w burtę. Wreszcie, gdy twarz strażnika stojącego na dziobie stała się tak wyraźna, iż było widać nawet szramę na policzku, Cimmeryjczyk wyciągnął miecz z pochwy i sprężył się do skoku. Barki pra-

wie że ocierały się o siebie. Strażnik kłął tak, że aż jeden z kapłanów wychylił głowę na pokład. I wtedy skoczyli. Bezszelestnie jak atakujący drapieżnik. Ymirsferd jednym cięciem rozłupał głowę strażnika na pół, a ten już umierając miał jeszcze ogłupiały wyraz twarzy tak długo póki nie rozpadła się ona na dwie części. Conan uderzył zręcznie, a ostrze prawie że prześlizgnęło się po deskach pokładu i przerąbało nachylającego się kapłana na wysokości barków. Tułów wpadł pod pokład, a reszta ciała potoczyła się po deskach w fontannie krwi. Sternik dostał naraz trzy pchnięcia i skonał bez jęku, a na dwóch strażników z rufy wpadł Kandar. Jego miecz jak błyskawica ugodził w pierś pierwszego Stygijczyka. Po czym nim drugi zdołał wrzasnąć już leżał z rozchlastanym gardłem z prerażeniem w gasnących oczach patrząc na człowieka, który stał nad nim z okrwawionym mieczem w dłoni. Trzech pozostałych Vanirów zeskoczyło pod pokład i załatwili sprawę tak szybko, że na zewnątrz nie było słyhać ani jęku. Wynieśli też zaraz stamtąd ciała dwóch kapłanów i trzech pozostałych strażników. Potem wywlekli nagie dziewczęta przeznaczone na ofiarę Seta, które spały zmorzone narkotycznym snem.

— Co z nimi? — spytał jeden z Vanirów.

Conan niepewnie wzruszył ramionami i spojrział na młode, śliczne ciała dziewcząt.
— Na brzeg z nimi — rozkazał — gdy się obudzą niech sobie radzą same.

Własną barkę zostawili zakotwiczoną na brzegu. Vanirowie zaczęli szybko przebie-
rać się w szaty strażników, przypasywać stygijską broń, a swój własny ubiór i oręż z ża-
lem wyrzucili do rzeki. Narzekali, że nowe stroje są pokrwawione, ale więcej powodów
do zmartwienia mieli Ymirferd, Kandar i Conan, którzy przyglądali się trzem trupom
kapłanów. Kapłani ci byli niewysokimi, szczupłymi mężczyznami i już na pierwszy rzut
oka widać było, że rośli wojownicy za nic w świecie nie zmieszczą się w ich szatach.
Zwłaszcza, że ten z kapłanów, którego zabił Conan miał całkiem zniszczony ubiór, któ-
ry to tak jak i jego właściciel był w dwóch częściach. Nemfale roześmiała się widząc
ich zakłopotanie i wtedy dopiero otworzyła juki, które kazała wnieść na barkę jednemu
z Vanirów.

— Oto trzy kapłańskie stroje — obwieściła — szyte nie na miarę co prawda, ale tak
obszerne, że nawet Conan się zmieści. A to farba do włosów. Przecież wy Vanirowie
musicie mieć teraz ciemne włosy. Całe szczęście, że słońce południa mocno już was
opaliło.

— Jesteś równie piękna jak i mądra — rzekł Ymirferd z podziwem.

— Do stu tysięcy diabłów, pomyślałaś o wszystkim, o pani — mruknął Kandar.

Rychło stali już ubrani w długie, czerwone szaty ze złotymi lamowaniami, a na ramiona narzucili suto marszczone czerwone płaszcze. W jukach znalazły się też pierścienie w kształcie zwiniętego w kłębek pytona i drewniane laski z rzeźbioną głową węża na rękojeści.

— W drzewcu jest długi sztylet — wyjaśniła Nemfale — i to jedyna broń jaką możemy wziąć.

— Dawno Khemi nie widziało tak postawnych kapłanów — powiedziała po chwili obchodząc ich dookoła.

— Właśnie — mruknął Conan — to będzie trochę zastanawiające.

— W Luxurze jest tylu kapłanów, że nie znają się nawet pomiędzy sobą — wzruszyła ramionami Nemfale.

— Bardziej ciekaw jestem, przyjaciele moi, jak ta szlachetna pani będzie wyglądać w stroju niewolnicy — rzekł Kandar.

— Zobaczysz o świcie — zaśmiała się Nemfale i razem z Sheilą zniknęły pod pokładem.

Pierwsze różowe smugi świtu, wyłaniające się znad morza, odpędziły mrok. Płynęli środkiem rzeki mijając kupieckie barki, łodzie rybaków i promy. W tym miejscu na obu brzegach Styxu stało już wiele chat, ubogich lepierek z trzciny i gliny. Wszyscy i na innych łodziach i na brzegu pozdrawiali płynących kapłanów głębokim pokłonem, ale Conan wiedział, że wielu z tych ludzi oddałoby życie, aby tylko dostać w swe ręce znieawidzonych wyznawców Seta. Cimmeryjczyk siedział godnie na zdobionym fotelu i rozglądał się wokół. Zaczynały się już pokazywać pierwsze solidne budynki z drewna i cegły — znak, iż cel był coraz bliżej. Wreszcie barka przybiła do przystanku pełnej zbrojnych mężczyzn, miejsca, gdzie tylko statki kapłanów Seta miały prawo się zatrzymywać. Kandar, Ymirferd i Conan zeszli po przerzuconym pomoście na brzeg, a Stygijczycy widząc ich gięli się do ziemi. Za nimi szło dwóch Vanirów, teraz czarno-włosych i w stygijskich strojach, wiodąc między sobą nagie Nemfale i Sheilę. Conan co chwila zerkał nieznacznie do tyłu i cieszył oczy widokiem pięknej Stygijki. Sheila wyglądała przy niej jak szkiełko przy diamentach. Nemfale z rudymi włosami splewającymi

prawie do pasa, pełnymi piersiami, krągłymi biodrami i niewiarygodnie długimi, szczupłymi nogami była chyba najponętniejszą kobietą jaką Cimmeryjczyk widział w życiu. A widział ich przecież tak wiele. Nawet stygijscy żołnierze byli poruszeni. W milczeniu wgapiali się w nagie ciało Nemfale i wodzili za nią wzrokiem, kiedy szła kołysząc biodrami.

— Szkoda jej na ołtarz — dosłyszał Conan szept jednego z żołnierzy.

Odwrócił się raptownie.

— Niczego nie szkoda dla pana naszego, Seta — rzekł gromkim głosem — a ty psie nie strzęć nadaremno jęzora! Powiesić go! — rozkazał oficerowi.

— No, jednego Stygijczyka mniej — szepnął w ucho Ymirsferdowi.

— Na Ymira, co mam robić jak ktoś mnie o coś spyta? — odszepnął przerażony Vanir.

— Nikt nie ma prawa zadawać pytań kapłanowi Seta. A zresztą nie wszyscy gadają po stygijsku. Wielu pochodzi spoza granic Stygii.

Żołnierze przerażeni losem kolegi bili czołami o ziemię. Nareszcie po dość długim czasie, gdyż szli godnym i spokojnym krokiem, dotarli do północnej bramy. Wartowni-

cy czekali już z rozwartymi wierzejami i chyląc się w głębokich ukłonach, bez słowa wpuścili budzących strach kapłanów do środka. Obaj Vanirowie zawrócili na barkę. Conan, Ymirferd, Nemfale i Sheila pozostali sami w dzielnicy świątyń. Bezbronni, jeżeli nie liczyć sztyletów ukrytych w drewnianych laskach. Brama z łoskotem zamknęła się za nimi.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Sartapis z rosnącym podnieceniem oczekiwał przybycia Conana. Dowiedział się już, że Cimmeryjczyk przeszedł bramą i niedługo zjawi się w świątyni. A tam arcykapłan Seta miał dla niego przyszykowaną niespodziankę. Bardzo przykrą niespodziankę, która powinna sprawić temu barbarzyńcy wiele cierpienia.

Co prawda cały plan mógł przez to zawieść, ale Sartapis lubił ryzykować, a poza tym chciał dopiec zarówno królowi Amanhotepisowi, jak i ujrzyć mękę na twarzy Conana. Na razie jeszcze nie fizyczny ból — pomyślał — o nie, na to zbyt wcześnie. Miejmy tylko nadzieję, że Cimmeryjczyk nie będzie chciał zaprzepaścić całej wyprawy.

Wreszcie arcykapłan doczekał się. Trzech roślących kapłanów i dwie nagie kobiety weszły do świątyni. Znaleźli się w mroku, który ledwo, ledwo rozganiały płonące przy ołtarzu oliwne lampki. Nemfale dostrzegła Sartapisa.

— Pokłońcie się głęboko — przykazała szeptem — to arcykapłan.

Odurzeni mocnym zapachem kadzideł mężczyźni usłuchali dopiero po chwili. Przygięli się do ziemi.

— Bądź pozdrowiony, panie nasz, Sartapisie — rzekł Conan starając się nadać swemu tubalnemu głosowi przypochebne brzmienie.

Spojrzał dyskretnie na stojącego w świetle arcykapłana i zdziwił się, że jest to człowiek tak stary i wątły. Wyobrażał sobie, że spotka jakąś demoniczną postać, a zobaczył zasuszonego staruszka o zmęczonej twarzy.

— Bądźcie i wy pozdrowieni — odparł arcykapłan i odwrócił się w stronę ołtarza.

Przybysze dopiero teraz zauważyli, że na kamiennym ołtarzu leży naga dziewczyna. Jej nogi i ręce były przykute łańcuchami do żelaznych klamr. Cichutko jęczała, a jej pierś unosiła się w nierównym oddechu.

— Podejdźcie bliżej — rozkazał Sartapis, a oni posłusznie zbliżyli się.

— Nie waż się nic robić — szepnęła Nemfale ściskając niepostrzeżenie dłoń Conana — bo zaprzepaścisz wszystko. To i tak nieszczęście, że natknęliśmy się na Sartapisa.

Do arcykapłana podeszło dwóch akolitów w żółtych szatach. Jeden niósł nóż o kamiennym ostrzu, drugi żelazną misę, z której wydobywały się kłęby dymu o odurzającym narkotycznym zapachu. Sartapis wziął naczynie z jego rąk i obszedł dookoła ołtarz, mruczając pod nosem jakieś modlitwy czy zaklęcia. Potem położył misę za głową dziewczyny, która wodziła za nim przerażonym wzrokiem i wziął z ręki klęczącego u stóp ołtarza akolity nóż.

— Ta krew na chwałę twą panie mój Secie — rzekł głośno, a pogłos w świątyni nadał tym słowom złowrogie brzmienie.

Delikatnie naciał pierś dziewczyny i ciało zaperliło się krwią. Ofiara krzyknęła, a jej krzyk odbił się echem. Conan zacisnął zęby tak mocno, że poczuł jak trzeszczą mu szczęki. Ymirserd zacisnął pięści. . . Kandar stał blady jak śmierć.

To co się działo dalej nawet Conana przywykłego od dziecka do widoku krwi i śmierci przyprawiało o mdłości. Ymirserd z trudem łapał dech w piersi, Kandar machinalnie zacisnął palce na ramieniu Sheili aż wydawało się, że zgruchocze jej kości.

Tymczasem w świątyni rozbrzmiewał krzyk. Odbijał się echem od kamiennych ścian i wysokiego sufitu, świdrował w uszach, zdawał się wypełniać całe wnętrze. Arcykapłan miał schlapaną krwią szatę, ręce unurzane po łokcie w czerwieni. A dziewczyna wciąż żyła. Powoli zmieniała się w rozedrgany kłęb surowego mięsa. Tryskająca z niej krew, spływała na ołtarz, ale wciąż żyła! Conan nie mógł oderwać wzroku od jej wybaluszonych, pełnych nieopisanego bólu oczu. Wreszcie, gdy światło życia w nich zgasło, krzyk się urwał, a ciało przestało drgać, Cimmeryjczyk odważył się rozewrzeć zaciśnięte szczęki. Czuł jak pot perli mu czoło i ogromnymi kroplami spływa po plecach. Sartapis dał znak. Akolici odpięli kajdany i znieśli z ołtarza krwawiące ciało.

— Na chwałę Seta — westchnął zmęczony arcykapłan.

— Na chwałę pana naszego Seta, Sartapisie mój panie — Conan przemógł sztywność zaciśniętych szczęk.

— Idźcie teraz pomodlić się przed obliczem naszego pana i przygotujcie jego służki — wskazał palcem na obie kobiety.

— Jak rozkażesz, Sartapisie mój panie — rzekł kłaniając się nisko Cimmeryjczyk.

Wolno w głębokim pokłonie cofnęli się do małych drzwiczek skrytych w mroku. Conan znał na pamięć cały plan świątyni, więc wiedział, że tu nie popełni błędu. Ale nim zdążyli schronić się w sąsiednim pomieszczeniu, arcykapłan dał znak, aby się zatrzymali.

— Te niewolnice mają być oddane w ofierze dopiero jutro, ale. . . — zawiesił głos — chyba wezmę dziś tę — wskazał palcem Nemfale — marzę o tym, aby ołtarz pana naszego Seta był obmywany bez przerwy świeżą krwią.

Arcykapłan wiedział, że jest blisko śmierci jak nigdy w życiu. Miał przed sobą najstraszniejszego mordercę świata — Conana Cimmeryjczyka, jedną z wyszkolonych w zadawaniu śmierci tygrysic króla i potężnego Vanira, który tak dziwnie wyglądał z ufarbowanymi na czarno włosami. Ale Sartapis choć bał się, to ten strach sprawiał mu równocześnie rozkosz.

Conan szybko omiótł wzrokiem wnętrze świątyni. Nie było szansy cichego zabicia wszystkich obecnych. Kątem oka dojrzał, że Nemfale też się rozgląda. Ale nie mieli wyjścia. Mogli tylko wszcząć walkę i za chwilę mieć przeciw sobie całe Khemi. Conan już szykował się, by wyciągnąć sztylet z laski, gdy Nemfale szepnęła mu wprost w ucho.

— Pójdę. Nic nie rób, błagam. Zostawcie mnie.

Conan zmartwił słysząc te słowa.

— No co tam, wrośliście w ziemię, psy — warknął zniecierpliwiony arcykapłan.

— Idę już Sartapisie, mój panie — Cimmeryjczyk chwycił kobietę za ramię i poprowadził ją w stronę ołtarza.

— Pamiętaj — szepnęła gorączkowo w jego ucho korzystając z tego, że arcykapłan odwrócił się w stronę ołtarza — zniszcz Kamień, błagam. Błagam, Conanie. Moja śmierć tylko po to. Wśród twoich jest zdrajca, szpieg Sartapisa. On wie, kim jesteś. To wszystko było zaplanowane. Sartapis wpuści cię i odbierze potem Kamień. Jeżeli wyjdiesz zaufaj królowi, pamiętaj król ci sprzyja. To on mnie wysłał. Żegnaj, barbarzyńco.

— Nie pozwolę byś cierpiała — jęknął Cimmeryjczyk czując jak drżą mu dłonie. Usta miał wyschnięte na wiór.

— Nie będę cierpiała. Nie martw się. Niech bogowie ci sprzyjają.

Dwaj akolici odebrali Nemfale z rąk Conana i rozłożyli ją na ołtarzu. Cimmeryjczyk wycofał się w głębokim pokłonie, ale wszystkie ruchy i gesty były jakby nie jego. Jakby wykonywał je kto inny. Sam Conan był ogłuszony nieszczęściem i przerażony. Nie miał

nawet siły by nienawidzić. Stał się pusty w środku i wyprany ze wszelkich uczuć prócz dojmującej trwogi. Jego twarz zastygła w maskę cierpienia. Zniknął za drzwiami, gdzie czekali już przyjaciele.

Gdy zobaczyli jego twarz, zdrętwieli. Widzieli już gniew Conana, widzieli już jego bitewny szal, widzieli mordercze lśnienie w lodowatych oczach, ale to co zobaczyli teraz było stokroć straszniejsze. Conan minął ich, nie zauważając, jak ślepiec i padł na posadzkę tłukąc głową w kamienie. Zza drzwi rozległ się potworny, wibrujący, pełen bólu i przerażenia krzyk.

Ymirsferd podskoczył do Cimmeryjczyka.

— Chodźmy stąd — krzyknął — prowadź do lochów, na Ymira!

Widząc zastygłą w bólu twarz towarzysza i jego niewidzące, puste oczy, trzasnął go pięścią raz i drugi. Conan otrząsnął się i otarł krew z rozbitych warg. — Dobrze — rzekł — idźmy!

Doskonale wiedział co należy robić. Najpierw podejść do olbrzymiego, sięgającego głową pod sufit posągu Seta. Potem przekręcić pierścień w środkowym palcu lewej ręki bóstwa. I wtedy już otwierało się tajemne wejście do lochów, tuż za plecami postu-

mentu. Weszli do środka, w ciemność, zabierając ze sobą oliwne lampy. Schodzili po stromych, kamiennych schodach, nisko pochyleni, gdyż odległość od podłoża do stropu była niewielka. W podziemiu panował chłód i wszechobecny stęchły zapach.

— Na razie jest bezpiecznie — rzekł Conan — powiem wam kiedy zaczną się pułapki.

Idąc cały czas myślał o ostatnich słowach Nemfale. Stracił przewagę jaką dawało zaskoczenie i w dodatku miał zdrajcę w swoich szeregach. Kto? Ymirsferd? Kandar? Sheila? Dziewczyna z pewnością nie. Przecież brała udział w wyprawie przez przypadek. A Vanir? Czy zdradziłby swego władcę za złoto Stygii? Więc Kandar? Człowiek, o którym nic nie wiadomo, a który jest mistrzem walki. Kogóż lepszego mogliby wybrać kapłani? A może nikt? Może Nemfale się myliła? Cimmeryjczyk wiedział, że na pytanie czy wśród jego towarzyszy jest zdrajca, a jeśli tak to kto, musi odpowiedzieć prawie natychmiast. Później może już być za późno. Na szczęście, aby trafić do Sali, gdzie stał posąg Królowej Śmierci należało przebyć jeszcze długą i trudną drogę. Conan wiedział, że nie może się pomylić. Jeżeli zabije sprzymierzeńca tym sroższa będzie

przeprawa ze zdrajcą. A był pewien, że kapłani sprokurowali mu nie lada niespodziankę i wybrali kogoś lepszego od Eklostasa Pytona.

Schody skończyły się. Teraz do przodu prowadziły trzy korytarze. Cimmeryjczyk poszedł środkowym.

— Idźcie dokładnie po mych śladach — przykazał — bo jak nie. . . — zatrzymał się nagle, przepuścił ich i końcem laski mocno huknął w ominięty kamień. Błyskawicznie i bezszelestnie runęła z sufitu żelazna brona i ze zgrzytem trzasnęła o posadzkę.

— Na Ymira — westchnął Vanir.

— O do stu tysięcy diabłów — syknął Kandar — dużo tu tego? Przecież to by rozerwało na strzępy — z niedowierzaniem przyglądał się żelaznej broni. Czy znasz wszystkie pułapki, Conanie?

— O tym się dopiero przekonamy — odparł Cimmeryjczyk.

— A jak zginiesz? — zapytał Ymirserd — nikt z nas nie wie gdzie stoi posąg. . .

— I nikt się nie dowie — urwał szorstko Conan — jak zginę nic mnie nie będzie obchodzić co się z wami stanie.

— Przynajmniej szczerze — mruknął Kandar.

— Jesteśmy dopiero u wejścia do prawdziwego labiryntu — rzekł Cimmeryjczyk. — Rynherd mówił, że potem zaczną się hm — zastanowił się chwilę szukając słów — dziwne rzeczy.

— Co to znaczy? — spytał zaniepokojony Vanir.

— Magia — wyjaśnił krótko Conan.

Słowa Cimmeryjczyka nie natchnęły otuchą jego towarzyszy. Szli zważając na każdy krok, wolno, gdyż w migotliwym żółtym świetle oliwnych lamp wszystko wydawało się mało wyraźne. Conan prowadził ich, a korytarze wciąż się rozchodziły i trzeba było mieć wspaniałą pamięć, aby nie zapomnieć właściwej drogi. Ale Cimmeryjczyk długie dni prześlęczał nad mapą, wbijając sobie w głowę każdy szczegół planu. A i tak wiedział, że część pułapek mogła zostać zmieniona przez kapłanów, gdyż znali przecież oni niektóre fragmenty labiryntu. Nagle stanęli przed ścianą. Korytarz skończył się.

— Źle poszliśmy — powiedział zmartwiały Kandar — do stu tysięcy diabłów, pomyliłeś się Conanie!

Cimmeryjczyk wodził lampą wzdłuż ściany i uważnie przyglądał się murowi. Wreszcie podał lampę Ymirferdowi, a sam wyciągnął jeden z kamieni, który wysko-

czył ze ściany nadspodziewanie łatwo. Conan włożył dłoń w otwór i przesunął rączkę żelaznej dźwigni. Coś potwornie zgrzytnęło, huknęło i nad ich głowami rozwarło się przejście. Conan chwycił dłońmi za krawędzie i podciągnął się. Zniknął z oczu towarzyszy.

— Dajcie światło — usłyszeli z góry jego stłumiony głos.

Ymirserferd podał mu lampę. Kolejno przedostawali się na wyższy poziom. Korytarz wyglądał identycznie jak ten, który dopiero co opuścili tyle tylko, że zaduch i odór stęchlizny nasiliły się. Nagle usłyszeli jakieś chrobotanie. Tak jakby drapanie pazurów po kamieniu.

— Co to? — drgnął Vanir błyskawicznym ruchem wyciągając sztylet z laski.

— Nic — mruknął Conan — tu nic nie może być. Zaczyna się to o czym mówił Rynherd. Możemy słyszeć i widzieć dziwne rzeczy. Ale pamiętajcie, że żadna żywa istota nie przetrwa w tych lochach. Nawet szczury.

Ymirserferd nieprzekonany włożył sztylet z powrotem do laski, ale nadal czujnie nasłuchiwał. Hałasy jednak nie powtórzyły się. Teraz korytarz prowadził prosto, bez rozgałęzień, ale za to stawał się coraz niższy i węższy. Conan szedł już zgięty w pół, a ra-

mionami co chwila ocierał się o ściany. Nagle zatrzymał się tak raptownie, że idący za nim Ymisferd zderzył się z jego plecami.

— Uważaj! — warknął rozszłoszczony Cimmeryjczyk — patrz tutaj. Vanir nachylił się pod ramieniem Conana i spojrział. O krok od stóp Cimmeryjczyka ziała czeluść. Conan wyciągnął dłoń z lampą tak daleko jak mógł, ale nie dostrzegł drugiej krawędzi.

— Tego nie było na planie — mruknął.

— Źle poszliśmy? — zapytał Ymirsferd.

Cimmeryjczyk potrząsnął przecząco głową.

— Na pewno dobrze — rzekł.

Sięgnął pod szatę i zaczął rozplątywać linę, którą miał omotaną wokół pasa. Przywiązał do niej laskę i tak obciążoną linę cisnął przed siebie. Drewno stuknęło o kamienie.

— Dwanaście stóp — stwierdził Cimmeryjczyk, zwijając sznur z powrotem — nie będzie łatwo.

Rzeczywiście. Skoczyć na odległość dwunastu stóp, kiedy nie można się rozpędzić i kiedy tkwi się głęboko pochylonym w wąskim korytarzu, nie było prostym zadaniem.

Conan oddał lampę Vanirowi, przykucnął, wyciągnął dłonie daleko przed siebie i skoczył. Tak jak się spodziewał, stopy nie sięgnęły podłoża, ale uchwycił dłońmi krawędź. Palce ześlizgiwały się po gładkich kamieniach, ale Cimmeryjczyk łamiąc paznokcie i zdzierając skórę do krwi, zatrzymał dłonie na samym krańcu. Stopami, które wisiały nad otchłanią starał się namacać jakiś punkt oparcia, ale ściana szła ukośnie i nie był w stanie nogami nawet jej dotknąć. Wolno zaczął się podciągać samymi tylko końcami palców, trzymając się krawędzi. Wreszcie podparł się brodą, a wtedy starczyło tylko przerzucić na górę prawą nogę. Jeszcze jeden zryw i przetoczył się po kamieniach. Odetchnął z ulgą. Jego towarzysze mieli już ułatwione zadanie. Conan rzucał im tylko linę, a oni chwytając się jej opuszczali się w czeluść, po czym Cimmeryjczyk wyciągał ich na powierzchnię. Rychło wszyscy byli po drugiej stronie.

— Gdyby nie lina — pokręcił głową Ymirferd.

— Zrobilibyśmy ją z naszych płaszczy — odparł wzruszając ramionami Conan.

Nie podobała mu się ta dziura. Nie była zaznaczona na mapie, a więc albo powstała w ciągu ostatnich dwunastu lat przez zapadnięcie się korytarza albo też ktoś wykuł ją specjalnie. Jeśli tak, to można się było spodziewać wielu dużo bardziej nieprzyjemnych

niespodzianek. Znaleźli się w okrągłej Sali o niskim stropie. Dość obszernej, mającej co najmniej dziesięć stóp średnicy. Stamtąd gwiaździsście rozchodziło się pięć korytarzy.

— Gdzie teraz? — zapytał rozglądając się Kandar.

Conan stanął tak, aby mieć go po swej prawej ręce. Sheila i Ymirferd stali za jego plecami.

— Muszę wam o czymś powiedzieć — rzekł.

— No? — mruknął Ymirferd.

— Wśród nas jest zdrajca — wycedził Cimmeryjczyk — i Nemfale przed śmiercią powiedziała mi o tym. . .

Nie zdążył dokończyć, gdy ujrzał jak Kandar stara się wydobyć sztylet z laski. Zdołał pchnąć go w pierś i Poitaińczyk trzasnął plecami o ścianę. Krzyknął, gdy żelazne obręcze unieruchomiły mu nogi, pas i ramiona.

— To nie ja! — wrzasnął Kandar — do stu tysięcy diabłów, byłem ci wierny Conanie!

Cimmeryjczyk trzasnął go w twarz i męczyzna zalał się krwią.

— O, diabli — jęknął — to się zaciska — szepnął zmartwiały z przerażenia war-
gami.

— Zaciska — uśmiechnął się Conan i Kandar w żółtym świetle lampki zobaczył
jego szalone, lodowato-niebieskie oczy mordercy.

— Nie, bogowie, błagam Conanie, o diabli — zarzęził, gdy obręcz wycisnęła dech
z jego płuc — to... to... o... o... och — nie mógł już wymówić słowa. Oczy powoli
stawały się coraz większe i zdawały się pękać, twarz pokryła się szkarłatem, a usta
z trudem łapały powietrze. Usłyszeli przeraźliwy chrobot. To palce Kandara darły ścianę
zostawiając na kamieniu krwawe smugi.

— Oto śmierć zdrajcy — rzekł pogardliwie Conan i splunął — chodźmy.

Skierowali się w sąsiedni korytarz. Za sobą usłyszeli przedśmiertelny jęk i trzask
pękających kości.

— Jesteś pewien? — zapytał Ymirferd — wierzyć mi się nie chce. . .

— Nie byłem pewien póki nie sięgnął po broń — wyjaśnił Cimmeryjczyk — kapłani
wiedzieli, że nie oprę się by nie wziąć człowieka, co tak wspaniale włada mieczem

i zastawili w Kordavie pułapkę. Kto wie, kto wie — zastanawiał się chwilę — może był tak dobry jak ja.

— Nie mógł być tak dobry jak ty — stwierdził Vanir — bo on jest tam, a ty tutaj.

— No to zostaliśmy we troje — westchnął Conan.

— Chciałabym jeszcze kochać się z tobą przed śmiercią — szepnęła Sheila.

— Co ci chodzi po głowie dziewczyno! — Cimmeryjczyk obrócił się do niej — jaką śmiercią?

Sheila uśmiechnęła się gorzko.

— Przecież nie wyjdziemy stąd — powiedziała — a jeśli, to pod ostrza stygijskich mieczy.

Conan poklepał ją po ramieniu.

— Głowa do góry, mała — rzekł — nie z takich opresji już wychodziłem.

Tym razem szli korytarzem tak szerokim, że można było swobodnie rozłożyć ręce i dopiero wtedy końce palców sięgały ścian. Cimmeryjczyk nagle zatrzymał się.

— Patrzcie — powiedział wskazując pod nogi — widzicie, że ten kamień ma inny kolor? Zaraz zobaczycie co się stanie. To sprytna pułapka. Stańcie pod ścianami.

Posłusznie wykonali jego rozkaz. Conan też stanął z boku i nacisnął laską kamień. Z przeciwka bzyknęły w ciemność dwie żelazne strzały.

— Jedna w głowę, druga w brzuch — stwierdził Cimmeryjczyk.

— Na Ymira — westchnął Vanir.

Sheila przytuliła się do ramienia Conana.

— Chce mi się pić — szepnęła.

— Musisz wytrzymać. To już niedługo.

Korytarz prowadził ostrymi zakrętami, ale póki co nie rozdwajał się. Nagle stanęli na progu dużej, dwa razy większej od poprzedniej Sali. Ymirsfurd potknął się o coś i zobaczył pożółkłą czaszkę pod swoimi nogami.

— Komnata śmierci — rzekł głucho Conan.

— Co to znaczy?

Cimmeryjczyk rzucił lampę do środka. Oliwa rozlała się po ziemi i oświetliła wnętrze żółtym, migoczącym blaskiem. Podłoga komnaty była utworzona z dużych kamiennych płyt.

— Stapajcie dokładnie po moich śladach — przykazał Cimmeryjczyk — jeden błąd to śmierć dla wszystkich.

Wszedł na pierwszą płytę, po czym przeskoczył dopiero na czwartą. Rozglądał się przez chwilę i stanął na sąsiednią po prawej stronie, a potem przeskoczył przez dwie następne. Wyciągnął dłonie do góry. Ymirferd i Sheila ze zdziwieniem patrzyli jak wciąga się pod sufit i znika z ich oczu.

— Chodźcie — dobiegł ich uszu głos, który echem uderzył wśród ścian Sali.

Posłusznie poszli w jego ślady. Conan wyciągnął dłoń i pomógł wdrapać się Sheili. Kiedy stali już na górze wewnątrz korytarza, nagle usłyszeli kroki. Ciężkie kroki i dźwięk żelaza jakby szedł po kamieniach człowieka w płytowej zbroi.

— Ani kroku — przykazał ostro Cimmeryjczyk.

Z ciemności wyłoniła się potężna, okuta żelazem postać z długim pięciostopowym mieczem w dłoniach.

— Ani kroku — powtórzył Conan — choćby nie wiem co się działo.

Rycerz zbliżył się do nich. Miecz ze świstem przeciął powietrze.

— Przyszliście po własną śmierć — rozległ się głuchy, martwy głos.

Wolnym ruchem rycerz odsłonił przyłbicę, pod którą nie dostrzegli twarzy, tylko dwoje gorejących czerwono oczu.

— Śmierć — powtórzył i zamachnął się mieczem.

Ymirferd, w kierunku którego zmierzało ostrze całą siłą woli powstrzymał się, by nie odskoczyć. Ale pamiętał słowa Cimmeryjczyka i ufał mu. Zamknął oczy, a ostrze śmignęło w jego stronę. Oczekiwał uderzenia i bólu, ale gdy w nagłym przerażeniu uchylił powieki, dojrzał ostrze już za plecami. Potem miecz i rycerz powoli zniknęli.

— O, Ymirze — odetchnął Vanir — co to było?

— Widmo — odparł Conan — gdybyś się cofnął... każda płyta za plecami otwiera spadek do przepaści — spojrzał na Ymirferda — dobrze, że mi uwierzyłeś — rzekł.

— Ja też tak myślę — odparł Vanir przywołując uśmiech na usta.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

— A więc weszli, panie mój — powiedział Meltonokos — i z pewnością nie wyjdą. Król spokojnie upił łyk wina z kielicha i sięgnął do tacy. Wybrał sobie największego daktyla i powoli zaczął go żuć.

— Muszą wyjść — rzekł — ten pies Sartapis jest sprytny. Wiedział wszystko od początku i wprowadził Conana w pułapkę. Ale my... — urwał na chwilę i potarł usta dłonią — my możemy na tym skorzystać.

— Wiem, że światło twojej mądrości, panie mój — zaczął Meltonokos — przyćmiewa blask słońca, ale racz swemu niegodnemu słudze...

— Dość tego — przerwał mu Amanhotepis — wezwałeś generałów?

— Jak rozkazałeś, panie mój.

— Każ ich przywołać.

Meltonokos kłaniając się opuścił komnatę. Król skinął na siedzące w drugim końcu Sali dziewczęta.

— Usiądźcie koło mnie, moje słońca — poprosił.

Ze śmiechem podeszły do niego. Jedna położyła się u stóp króla, dwie po jego bokach, a dwie usiadły za plecami i zaczęły mu masować kark. Amanhotepis spoglądał na ich gibkie ciała, piękne, rozpromienione uśmiechami twarze i sam nie mógł uwierzyć, że te dziewczęta są najgroźniejszymi mordercami w Stygii. Pocałował jedną z nich w usta.

— Tylko nie zabijcie nikogo, dobrze? — poprosił.

Pocałowana roześmiała się perliście.

— Nie śmiałybyśmy bez twego rozkazu, panie mój — powiedziała.

Drzwi otworzyły się. Do środka weszli Meltonokos, a za nim zgięci w głębokich ukłonach czterej generałowie. Amanhotepis przyjrzał im się bacznie. Z prawej stro-

ny stał Valakos stary, siwy o twarzy pobrużdżonej zmarszczkami. Dowódca luksurskiej twierdzy. Najbardziej zaufany szpieg Sartapis w armii, potem młody Gertokos, wysoki i szczupły, czarnowłosy o śmiałym spojrzeniu. Odważny i oddany. Po jego prawej ręce malutki, pulchny Leoncias. Przypominał dobrodusznego kupca korzennego, w rzeczywistości był najokrutniejszymi żołnierzem Stygii. Fanatycznym wyznawcą Seta. Ostatni to Granwald z dalekiego Asgardu. Wpierw był najemnikiem i prostym żołnierzem, potem dosłużył się stopnia generała. Dowódca straży przybocznej króla. Okrutny i wierny. Amanhotepis, kiedy patrzył na niego, wyobrażał sobie, że podobnie musi wyglądać Conan Cimmeryjczyk. Lodowate, niebieskie oczy i kamienna twarz pozbawiona uczuć.

— Siadajcie — wskazał im wniesione przez niewolników poduchy. Usiedli z wahaniem, zaskoczeni tak niespodziewanym zaszczytem.

— Jutro rano wyruszymy na Khemi — obwieścił władca — wystarczy mi dziesięć tysięcy ludzi. Chcę, aby o świcie byli gotowi do wymarszu.

— Khemi, mój panie? — zapytał zaskoczony Leoncias.

— Tak — odparł sucho Amanhotepis — i szkoda, że nie zmieniłeś religii. Myślę, że już za parę dni Set nie będzie miał w Stygii wiele do powiedzenia.

Granwald roześmiał się głośno lekceważąc zasady etykiety. Leoncias spurpurowiał. Nie spodziewał się takiego obrotu rzeczy.

— A ty Valakosie opuścisz twierdzę razem ze swymi żołnierzami — rozkazał Amanhotepis.

— A jeśli nie, mój panie? — spytał zimno generał.

— Nie? — zdziwił się król.

— Wolę umierać z twoich rąk niż na ołtarzu Seta.

— A toby się jeszcze okazało — uśmiechnął się władca — która śmierć jest lżejsza. Daję ci łaskę generale. Będziesz mógł służyć Stygii jak dawniej. Tyle tylko, że mnie a nie Sartapisowi.

Stary wódz przez chwilę patrzył w milczeniu gdzieś za plecy króla.

— Słucham, panie mój — rzekł wreszcie — zrobię co rozkażesz.

Amanhotepis zwrócił zimny wzrok na Leonciasa.

— W sąsiedniej komnacie czeka miecz, generale — powiedział — mam nadzieję, że umiesz z niego skorzystać.

Twarz Leonciasa z purpurowej zrobiła się blada. Wolno wstał i głęboko się skłonił.

— Dzięki za łaskę, panie mój — przemówił wyschniętymi wargami — ale wiedz, że to jest bitwa, której nie wygrasz — pochylił się raz jeszcze i zdecydowanym krokiem wyszedł z komnaty.

— Tobie, generale — rzekł król znów kierując wzrok ku Valakosowi — będą towarzyszyć moje dwie tygrysice — uśmiechnął się lekko — a to w tym celu, abyś nie rozmyślił się w ostatniej chwili. Wiesz co one potrafią, prawda?

Generał w milczeniu skinął głową.

— Jeżeli zdradzisz — Amanhotepis zniżył głos do szeptu — nie zabiją cię od razu. Zadadzą ci najwolniejszą i najboleśniejszą śmierć jaką jesteś w stanie sobie wyobrazić. Wierzysz mi, prawda?

— Tak, panie mój — odparł krótko Valakos.

— To dobrze. Szczegóły ataku uzgodnicie z Meltonkosem. Ale jedna rzecz jest najważniejsza. Chcę mieć Conana Cimmeryjczyka. Żywego i nieokaleczonego. I mam nadzieję, że żaden z kapłanów Seta nie wyjdzie z tego żywy.

Granwald uśmiechnął się szeroko.

— Długo czekałem na ten dzień, panie mój — powiedział — wolnym ruchem wyjął z zanadru sztylet. Tygrysy króla sprężyły się do skoku, ale on spokojnie rozdarł kaftan na piersi i ciął głęboko aż ciało spłynęło purpurą. Zlizał krew z ostrza.

— Oto ostatnia rana — rzekł — ale moje ostrze utopi dziś się we krwi.

Amanhotepis uśmiechnął się.

— Khemi jest twoje — rzekł — zdobądź je dla mnie, a ja mianuję cię moim namiestnikiem.

Granwald zaśmiał się.

— Nie trzeba mi zaszczytów ani złota — powiedział — wolę widzieć jak runą świątynie Seta, jak młoty rozbiją jego posągi, a ulicami popłynie krew jego wyznawców.

— Więc idźcie — rozkazał Amanhotepis — jutro wyruszamy i zróbcie to!

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Na zewnątrz musiał już nadchodzić wieczór. Spędzili więc cały dzień zatrzymując się tylko raz na krótki odpoczynek. Conan wiedział, że zbliżają się do celu, ale nie mówił nic o tym Sheili i Ymirferdowi. Omijali zrećznie wszelkie zastawione pułapki, czasem widzieli na kamieniach resztki pożółkłych, rozsypujących się na proch przy dotknięciu kości. Stanęli przy rozgałęzieniu korytarza. Cimmeryjczyk zawahał się.

— Nie pamiętam — powiedział — Crom i szatani, w który to trzeba wejść?

Sheila i Ymirferd spojrzeli na niego z lękiem i oczekiwaniem.

— Czekajcie — mruknął Conan zagłębiając się w korytarz po lewej stronie — sprawdzę czy to tutaj.

Zagłębił się w ciemność i rychło światło jego lampki zniknęło. Ymirferd poczuł się nieswojo. Gdyby Cimmeryjczyk nie wrócił, czekałaby ich powolna śmierć w labiryncie z głodu i pragnienia. Stali w milczeniu dość długo.

— Gdzie on jest, na Ymira! — warknął w końcu Vanir nerwowo zaciskając palce na ręczce laski.

Ale Conan w końcu się zjawił.

Ślepy korytarz — wyjaśnił — więc to musi być tu.

— Weszli w sąsiedni i po chwili kluczenia nagle znaleźli się w wielkiej komnacie. Pośrodku stał olbrzymi złoty posąg emanujący ciepłą, żółtą poświatą. Zdziwieni zbliżyli się ostrożnie. Królowa Śmierć stała trzymając w prawej dłoni długi miecz, jej lewa dłoń była pusta.

— Gdzie Kamień? — krzyknęła Sheila.

Conan i Ymirferd ostrożnie obchodzili wokół posąg, który był od każdego z nich wyższy o dobre trzy głowy.

— Powinna trzymać go w ręku — mruknął Cimmeryjczyk.

— Ktoś tu był przed nami!

— Niemożliwe — potrząsnął głową Conan — czyżby Rynherdowi pomieszało się we łbie od tortur?

Ymirsferd uniósł lampę i oświetlił zastygłe w złocie rysy Królowej.

— Spójrz jaka ona piękna — szepnął.

Cimmeryjczyk uniósł głowę. Twarz uwiecznionej posągiem kobiety istotnie była cudownie piękna. Ale jednocześnie zimna i obca. A w oczach i delikatnym skrzywieniu warg czaiło się okrucieństwo. Coś pradawnego i krwiożerczego, coś co istniało, gdy na miejscu, gdzie stoi Khemi rozpościerały się piaski pustyni. Conan dopiero teraz zdał sobie sprawę jak stary musi być ten posąg.

— Tu jest wielka moc — zadrżał Vanir — chodźmy stąd.

— Ona drgnęła! — wrzasnęła przerażonym głosem Sheila.

— Bzdury — warknął Cimmeryjczyk — posągi się nie ruszają.

I w tym momencie zauważył, że dłoń trzymająca miecz lekko się poruszyła. Czubek ostrza zatoczył kółko w powietrzu. Palce lewej dłoni zacisnęły się w pięść, a potem wolno rozprostowały. Rysy twarzy ożywiły się. Oczy Królowej spojrzały w stronę Conana.

— Gdzie... gdzie... — usłyszeli zachrypnięty, powolny głos — gdzie jest mój kamień? — dokończyła już dźwięcznie i melodyjnie Królowa Śmierć.

Ymirsferd przyłgnął plecami do ściany. Sheila, cała drżąca, przycisnęła się do niego i kurczowo uchwyciła jego ramię.

Tylko Conan stał w miejscu, nie poruszył się nawet o krok i śmiało patrzył w twarz posągu. Królowa oparła miecz o kamienie.

— Kim jesteś? — zapytała.

— Nazywam się Conan Cimmeryjczyk.

— Cimmeria? Co to jest Cimmeria?

— Minęło chyba wiele lat od twego... — Conan wahał się jakiego słowa użyć — zaśnięcia.

— Lat? Minęły setki, a może tysiące wieków — spojrzała bacznie na stojącego tuż koło niej mężczyznę — a ty dlaczego się mnie nie boisz? Czyżby ludzie pozbyli się już strachu przed śmiercią?

Conan potrząsnął głową.

— Po cóż się bać tego co nadejdzie prędzej czy później z naszą wolą lub bez niej?

— Jesteś kapłanem?

— Jestem złodziejem.

Roześmiała się, a ten dźwięczny śmiech rozległ się echem po komnacie.

— Podobasz mi się człowieku, Conanie, czy jak tam cię zwą. Gdzie jest mój kamień?

— Przyszliśmy go ukraść, ale twoja dłoń była już pusta — rzekł Cimmeryjczyk.

Królowa skinęła głową.

— A więc czas wyjść — rzekła i uśmiechnęła się tak, że Conana przeszedł dreszcz — ludzie chyba o mnie zapomnieli? — spytała.

Cimmeryjczyk bez słowa skinął głową.

— Przypomną sobie — leniwie odparła Królowa — ty pójdziesz ze mną, człowieku — wyciągnęła dłoń i oparła ją na jego ramieniu, a on o mało co nie ugiął się pod tym ciężarem.

— Co chcesz uczynić? — zapytał Conan.

— Odzyskać mój Kamień, a potem zostać na tym nowym świecie. Zbyt długo spałam i trwoga chyba opuściła już ziemię — znów uśmiech wykrzywił jej wargi — czas, aby Królowa Śmierć znów ukazała się ludziom. Ten labirynt zbudowano po to, by mnie zatrzymać nawet gdybym się zbudziła. Ale ty Conanie, skoro trafiłeś tutaj, to trafisz i do wyjścia — zdjęła dłoń z jego ramienia — uczynię cię królem całego świata, Cimmeryjczyku.

Powiedziała kilka słów w jakimś dziwnym, chropawym języku i nagle ogarnął ją żółty wir, po czym gdy rozwiął się przed Conanem stała wysoka, ale znacznie niższa od niego, kobieta w złotej szacie i z mieczem w dłoni.

— Jak to miło znowu mieć ciało — westchnęła — czy jestem piękna? — zwróciła twarz w stronę Cimmeryjczyka.

— Jesteś piękna — odparł szczerze Conan. Przesunęła dłonią po jego twarzy. Miała lodowato zimne palce.

— Więc prowadź, Conanie — powiedziała odgarniając opadający na oczy kosmyk włosów — zobaczysz, że potrafię być szczodra dla tych, co wiernie mi służą.

— Nie sądzę, aby świat potrzebował więcej trwogi niż ma jej dotychczas — zauważył ostrożnie Cimmeryjczyk.

Odwróciła się ku niemu.

— Boisz się o ludzi? — zapytała — a jak wielu ty zabiłeś? Nie jesteś zwykłym złodziejem. Masz oczy mordercy — zbliżyła się do niego, tak że prawie zetknęli się ustami — byłeś kiedyś królem, widzę to w twoich oczach. Nie chcesz zostać nim znowu? — delikatnie objęła go ramionami — nie chcę cię zabijać Conanie. Wolałabym abyś żył i pokazał mi ten świat.

Cimmeryjczyk próbował się wyrwać, ale Królowa była tak silna, że nie mógł nawet drgnąć. Roześmiała się i puściła go.

— Zastanów się, Conanie, daję ci chwilę. Potem zabiję twoich przyjaciół — obróciła znów oczy na niego i zobaczył w nich zimne okrucieństwo — a przysięgam ci, że będą umierać bardzo wolno. Bardzo, bardzo wolno.

Cimmeryjczyk westchnął i uniósł dłoń.

— Nie rób nic, proszę — rzekł — wyprowadzę cię. Roześmiała się i pocałowała go w usta.

— I po co się opierałeś? — zapytała słodkim głosem — nie wiesz, że ostatnie słowo zawsze należy do kobiety? A jeśli jest ona w dodatku Królową? I to Królową Śmierci?

— Nie wyjdiesz — rozległ się mocny głos.

Królowa Śmierć obejrzała się raptownie. Sheila krzyknęła. Obok nich stał Kandar, w zbroi i z mieczem w dłoni. Na jego ciele nie było nawet śladu po strasznych ranach.

— Kim jesteś? — twarz Królowej zmieniła się w złym grymasie — jak śmiesz stawać na mej drodze, nędzna ludzka istoto?

Kandar postąpił krok narzód i spojrzał na nią pustymi bladymi oczyma.

— Nie masz władzy nad tymi, co zesli w mrok — wyrzekł głuchym głosem.

— Wracaj więc do swego piekła! — wrzasnęła Królowa.

Kandar stanął pomiędzy nią a Conanem.

— Uciekajcie — rozkazał — ja ją zatrzymam.

Miecz Królowej jak złota błyskawica runął w stronę Kandara, ale zaraz wybiegło mu na spotkanie srebrne ostrze. Klingi zwały się, zadźwięczały i pod sufit trysnął snop iskier. Królowa cofnęła się o krok. Jej ręka drżała.

— Idź precz, upiorze — sapnęła, a jej głos stracił dźwięczne i melodyjne brzmienie.

— Dlaczego, Kandarze? — spytał Conan — dlaczego wróciłeś?

Upiór odwrócił głowę w jego stronę, odbijając od niechcenia drugi cios Królowej.

— Zabiłeś mnie niesłusznie — rzekł — gdyż nie byłem zdrajcą. Ale kazano mi wrócić z mrocznych otchłani i ochronić was przed nią.

Królowa Śmierć znów rzuciła się do przodu, ale jej sztychy i cięcia wciąż trafiały na zasłonę Kandara, który walczył jedną ręką, nie odwracając nawet głowy. Jego puste, martwe oczy wciąż utkwione były w Cimmeryjczyku.

— Życzę ci szczęścia, barbarzyńco, mimo wszystko, choć wątpię, abys zaznał go w nadmiarze. A teraz idź już i zostaw mnie z nią — odwrócił głowę — czas zasnąć, Królowo. Na eony eonów.

Królowa Śmierć wrzasnęła wściekle i jej miecz znów zakreślił złote smugi w powietrzu. Zadźwięczały ostrza. Conan pchnął osłupiałego Ymirferda do wyjścia i objął Sheilę.

— Wybacz, Kandarze. Wybacz mi jeśli możesz. Upiór znów odwrócił martwą twarz w jego stronę.

— Idźcie — rozkazał powtórnie.

Wybiegli z komnaty, a Cimmeryjczycy zdawało się, że usłyszeli jeszcze za plecami słowa wypowiedziane głuchym, beznamiętym głosem „do stu tysięcy diabłów, przyjaciele moi”. Biegli, ale Conan nieomylnie odnajdował właściwą drogę. Wreszcie po długiej chwili przystanęli.

— Tu już nas nie znajdzie — odetchnął Cimmeryjczyk.

— O, Ymirze — potrząsnął głową Vanir — co za zła siła wywołała go z radosnej Valhalli.

— Nie wyglądał jakby wracał z radosnej Valhalli — mruknął Conan — ale żal, że zabiłem go niesłusznie. Czyżby Nemfale się myliła?

— A może nie — odparł wolno Ymirferd i zwrócił twarz w stronę Sheili — ona też była w Kordavie.

Wtedy pięści dziewczyny wystrzeliły do przodu. Ymirferd trafiony jednocześnie w pierś i nasadę nosa zwałił się na ziemię jak kłoda. Conan odskoczył i dobył sztyletu.

— A więc to ty, suko! Teraz módl się jeśli potrafisz. Piekło już blisko.

Roześmiała się i wyjęła z włosów długą, srebrną szpilę. Włosy opadły na jej czoło i ramiona. Odgarnęła je niedbałym ruchem.

— Nie zwyciężysz mnie Cimmeryjczyku — powiedziała wciąż śmiejąc się — czy widziałeś jak ten potężny Vanir zwałił się niczym spróchniały pień? Jestem niepokonana.

Conan stał w miejscu pochylony i gotów do walki. Zaciskał mocno dłoń na rękojeści sztyletu.

— Od dziecka uczono mnie walczyć i zabijać — mówiła dalej spokojnie, patrząc na czujnie śledzącego każdy jej gest Cimmeryjczyka — nikt nie jest się w stanie mi oprzeć. Nawet ty, Conanie. Ale nie zamierzam cię zabić. Pan mój Sartapis, chce cię mieć żywego. Było mi ciebie żal. Chciałam zabić cię i oszczędzić ci męczarni, ale zbyt

czule patrzyłeś na tę dziwkę z królewskiego haremu. Będiesz więc cierpieć, mój silny, wspaniały barbarzyńco. Za miesiąc będziesz już tylko błagającym o litość, połamanym i ślepym strzępem człowieka. Jak Rynherd. Będę cię codziennie odwiedzać — znów zaśmiała się radośnie.

Conan słuchał jej słów, ale milczał gotów w każdej chwili do obrony. Wiedział, że w końcu zaatakuje i chciał poznać, co naprawdę umie. Chociaż sądząc po ciosie jaki zadała Ymirferdowi umiała bardzo wiele.

— Zobacz Conanie.

Podeszła do niego wolnym, kołyszącym się krokiem z opuszczonymi rękoma. Cimmeryjczyk wypuścił pchnięcie tak błyskawicznie, że zwiodłoby każdego. Ale Sheila uchyliła się jeszcze szybciej i sztylet Conana dźgnał powietrze. Zrobiła nieznaczny ruch. Ostrze wypadło z dłoni Cimmeryjczyka i brzęknęło o kamienie.

— Spróbuj jeszcze raz.

Skoczył w jej stronę cały czas uważając na dłoń trzymającą szpilę. Nawet nie zauważył jak przemknęła mu pod ramieniem. Usłyszał tylko za plecami śmiech. Momentalnie obrócił się w miejscu, znów przyczajony i gotów do ataku. Ale czuł już, że tej

walki nie może wygrać. Skoczył jednak raz jeszcze, tym razem udało mu się pochwycić dziewczynę. Prawą rękę zacisnął wokół jej kibici, unieruchamiając dłoń trzymającą szpilę. Chciał pchnąć ją w brodę, by złamać kark, ale nie zdążył. Jej lewa dłoń z palcami ułożonymi na kształt ostrza włóczni trafiła go w gardło. Zrobiło mu się ciemno przed oczyma i stracił oddech. Wyślizgnęła się z jego objęcia i poczuł dwa, prawie jednoczesne uderzenia w krocze. Jęknął i opadł na kolana. Chrapliwie łapał dech próbując wstać. Przez czarną zasłonę słyszał jej śmiech. I wtedy zrobił coś czego się nie spodziewała. Nie myślała chyba, że po tych uderzeniach będzie jeszcze mógł walczyć. A on drapieżnym, niespodziewanym ruchem podciął jej nogi i zwałił się na nią cały czas pamiętając o tym, aby złapać rękę trzymającą szpilę. Ścisnął dłoń i chrupnęły kostki łamanego nadgarstka. Nogami unieruchomił jej nogi, ale lewą rękę miała nadal wolną. Dostał cios w ucho, który go otumanił i ogłuszył, potem błyskawiczny następny złamał mu nos. Wtedy uderzył głową, aby zmiażdżyć jej twarz, ale zdołała umknąć. Trzasnął czołem w kamienie. Był głuchy, ślepy i półprzytomny. Czuł, że rusza się wolno jak w sennym koszmarze. I wtedy poczuł jak ostrze szpilki zagłębia się w jego ramieniu. Ból ustał,

mięśnie zwiotczały i Conan bezwładnie opadł na ziemię. Jak z oddali usłyszał jeszcze tylko głos.

— Witaj w piekle, Conanie.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

— Witaj w piekle, Conanie — powiedział ktoś.

Ale nie był to głos Sheili. To mówił mężczyzna. Stary mężczyzna. Cimmeryjczyk z trudem podniósł opuchnięte powieki. Zobaczył tuż przed sobą twarz, którą widział już w świątyni Seta.

— Sartapis — wydobył z suchego gardła jedno słowo. Próbował się podnieść, ale nie mógł. Siedział w żelaznym fotelu i grube obręcze unieruchomiły jego nogi, ręce, szyję i pas. Próbował splunąć, ale nawet tego nie mógł.

— Spałeś trzy dni, barbarzyńco — mruknął arcykapłan — ale wreszcie jesteś wśród nas. Szkoda tylko, że bez kamienia.

— Zabiję cię, psie Seta — wychrypiał Conan.

Sartapis roześmiał się sucho.

— Na szczęście to ty siedzisz na tym krześle, a nie ja. Trzeba było mieszkać spokojnie w Bossonie. Jesteś już za stary, przyjacielu.

— W piekle szukaj przyjaciół — warknął Cimmeryjczyk.

— Sam zobaczysz barbarzyńco, jak długa i ciężka droga prowadzi do piekła — powiedział łagodnie Sartapis — każdy krok na niej okupisz niewiarygodnym cierpieniem.

Conan zobaczył zbliżającą się Sheilę. Uśmiechnęła się na jego widok.

— Złamałeś mi nadgarstek i trzy żebra — powiedziała i pogłaskała go delikatnie po policzku.

— Kiedy patrzę na jego ciało, panie mój — powiedziała — aż żal, że niedługo tak się zmieni.

— Poszukamy ci jakiegoś dobrego ogiera, moja mała — zaśmiał się arcykapłan — zdaje się, że ten Cimmeryjczyk obudził w tobie nowe potrzeby.

— Och, tak — westchnęła słodko — i nie wiem czy ktoś mu dorówna.

Jeszcze raz pogłaskała Conana i odeszła kołyszącym się krokiem.

— Jak ona się wydostała? — zapytał Cimmeryjczyk.

— Pamiętała drogę — odparł Sartapis. — Stworzyłem istotę doskonałą i cieszę się Conanie, że będziesz ojcem jej dziecka.

— Co? — żelazne obręcze wpiły się w ciało.

Arcykapłan nachylił się nad nim. Conan zobaczył jego bladą twarz z łuszczącą się skórą i szare oczy bez wyrazu.

— Stworzę potwora — szepnął Sartapis — na chwałę pana naszego, Seta — poklepał Cimmeryjczyka po ramieniu — wróć niedługo — obiecał — a wtedy oddasz swój ból mojemu bogu.

— Niech diabli porwą ciebie i twego boga — warknął Conan.

Sartapis uśmiechnął się i oddalił bez słowa. Więzień rozejrzał się po komnacie. Była mała, pusta, jeśliby nie liczyć paleniska, teraz wygaszonego, dwóch zydli i stołu. Nie było żadnego strażnika, ale po co skoro Conan swobodnie mógł poruszać tylko palcami dłoni i stóp.

A obręcze wyglądały nadzwyczaj solidnie.

— Crom i szatani — mruknął do siebie — to się chyba nazywa koniec. Choć póki serce bije, poty trwa nadzieja.

Zwłaszcza, że miał jeszcze w zanadru pewien atut. Ale musiał rozegrać go bardzo ostrożnie. Nadzwyczaj ostrożnie. Nagle usłyszał cichutkie kroki. To Sheila podeszła do niego. Przymknął oczy.

— Nie udawaj, że śpisz — szepnęła — posłuchaj mnie, Conanie. Ty wtedy nie sprawdzałeś korytarza, prawda? Dostałeś się z drugiej strony do komnaty i zabrałeś Kamień. Gdzie go ukryłeś? Cimmeryjczyk chciał wzruszyć ramionami, ale obręcze trzymały zbyt mocno.

— Uwolnię cię — szepnęła dziewczyna — ja chcę mieć ten Kamień. Pomyśl o tym. Tylko ty i ja? To stare próchno Sartapis nie może dostać Kamienia. Poza tym nie podoba mi się, co chce zrobić z moim dzieckiem — dotknęła policzka Conana — z naszym dzieckiem.

— Z mocy Kamienia może korzystać tylko mag — rzekł Cimmeryjczyk — czy myślisz, że wahałbym się choć chwilę, kiedy obiecujesz mi wolność? A może — spojrzał na nią — zrobisz to mimo wszystko?

Uśmiechnęła się odsłaniając równe, białe zęby.

— Przykro mi, Conanie — powiedziała i odwróciła się — ale gdyby przypomniało ci się, że jednak zabrałeś Kamień, to powiedz mi. Przyjdę jeszcze raz przed wieczorem. Potem nie będę mogła już ci pomóc.

— A to czemu?

— Sartapis wie z ilu więzień uciekłeś i boi się o ciebie. Na początku każe ci uciąć stopy i dłonie — wyjaśniła z miłym uśmiechem — ależ będziesz zabawnie wyglądał — parsknęła. Zastanów się, więc. Do wieczora, mój miły.

— Sheila!

— Tak?

— Ja naprawdę nie wiem, gdzie jest ten przeklęty Kamień!

— To twój pech, kochanie — odparła i zniknęła Conanowi z oczu.

Cimmeryjczyk zaklął pod nosem. Miał czas do wieczora. Ile to mogło być? Może już było popołudnie? Co można zrobić, kiedy jest się przykutym do żelaznego fotela obręczami, których nie ruszyłby nawet słoń? Nic, dokładnie nic. Conan zastanawiał się czy Sheila rzeczywiście spiskowała przeciw kapłanowi, czy też przyszła właśnie z jego polecenia. Nie, chyba nie. Sartapis nie odmówiłby sobie przyjemności, aby tę wiadomość wydobyć torturami. A więc spiskowała. Byleby się wydostać z tego przeklętego fotela! Ale ona oczywiście zechce pójść sama, zna w tej chwili labirynt tak samo dobrze. I na pewno nie będzie pamiętała o tym, aby uwolnić więźnia Sartapisa. Z pewnością. Nie ma się co łudzić. Kiedy dostanie Kamień, losy Conana będą ją obchodzić tyle co — jak to się mówiło u Vanirów? — aha, tyle co zeszłoroczny śnieg. Conan nawet nie spostrzegł jak szybko umknął czas. Poczul na ramieniu dotknięcie.

— I jak, mój miły? — usłyszał cichy głos Sheili.

— Rozkuj mnie, a zaprowadzę cię do Kamienia — powiedział nie wierząc, aby przyniosło to jakikolwiek skutek.

Roześmiała się.

— Kpisz Conanie? — zapytała — powiedz, gdzie go schowałeś, a ja wrócę cię uwolnić.

— Kiedy? — mruknął Cimmeryjczyk — jutro? Kiedy będę już bez stóp i dłoni? Sama wiesz jak długo trzeba iść. Schowałem go zaraz przed spotkaniem z Królową, ale nigdy go nie znajdziesz.

— Taak — przeciągnęła przyglądając się bystro Conanowi — ty go rzeczywiście schowałeś chytry barbarzyńco — zastanawiała się przez chwilę — a co byś powiedział na bezbolesną śmierć?

A więc tak jak się spodziewał, nigdy nie zamierzała go uwolnić, ale ominięcie tortur zawsze byłoby pewnym zyskiem.

— Jak? — zapytał.

— Zostawię ci zatrutą szpilę — odpowiedziała szybko — masz wolne palce, więc wkłujesz ją sobie w dłoń kiedy zechcesz. Śmierć przyjdzie natychmiast.

— Aha, a dlaczego mam ci wierzyć ty mała diabolic? Znając twoje poczucie humoru, możesz zostawić mi zwykłą szpilkę i będę się kłuł tak długo, póki mi ręka nie spuchnie.

— A jaką mam pewność, że ty powiesz prawdę? — zapytała.

— To co, ufamy sobie, tak? — spojrzał na nią ponuro.

— Ufamy — odparła z miłym uśmiechem i wyjęła zza pasa cieniutką jak włos szpilkę — dam ci ją jak powiesz.

Conan rozczapierzył palce.

— Daj dłonie — rozkazał — zawsze zdążę zmiażdżyć ci ręce jak oszukasz i nie dasz szpilki.

— Zgoda — włożyła ręce w jego szerokie dłonie — mów.

Wyjaśnił wszystko dokładnie, krok po kroku. Zostawiła szpilkę w jego palcach, a on puścił jej nadgarstki. Odeszła na parę kroków i roześmiała się złośliwie.

— Miłego klucia, Conanie! — krzyknęła wybiegając.

Cimmeryjczyk schował szpilkę pod szeroki rękaw płaszcza. Wczepił ją tam w materiał.

— Miłego szukania — mruknął pod nosem.

Niedługo potem zjawił się Sartapis. Tym razem nie sam, razem z nim wszedł inny człowiek w stroju kapłana, niski, zażywny, wyglądem przypominający kupca oraz bar-

czysty mężczyzna w czerni i dwóch młodych chłopców. Conan kątem oka dostrzegł, że rozpalają ogień na palenisku.

— Jeszcze mamy trochę czasu — rzekł arcykapłan — nim nagrzeją się narzędzia minie chwila.

Drugi kapłan z podziwem oglądał Cimmeryjczyka.

— Ależ bary — mruzczał — Eklostas przy nim wyglądał jak dziecko. Co za mięśnie — zaczął obmacywać bicepsy więźnia.

Conan starał się plunąć mu w twarz, ale nie trafił. Plwocina przeleciała obok. — Ty nędzny psie — warknął — wyrwę ci flaki i rozwieszę je nad ogniem.

— Warcz, warcz skoro gryźć nie możesz — powiedział spokojnie kapłan. — Kto by uwierzył? Niepokonany Conan Cimmeryjczyk tutaj. No, no ugościmy cię tak jak tylko damy radę.

— Obyś zdechł parszywy wieprzu!

Na buzującym ogniu chłopcy zaczęli układać żelazne narzędzia. Szczypce, kleszcze, szpile, dłuta. Co chwila zerkali przez ramię na potężnego więźnia. Conan dostrzegł

też piłę do cięcia kości i wzdrygnął się. Oblizął wysuszone wargi i nabrał w płuca powietrza. Wypuścił je z głośnym sykiem.

— Może dobijemy targu, kapłanie? — zapytał.

— Nie masz czym handlować — odparł obojętnie Sartapis.

— A Kamień? Arcykapłan drgnął i uniósł głowę.

— A więc znalazłeś go? — spytał cicho — zaraz więc powiesz, gdzie on jest. No i co, Conanie? Nadal twoja szala jest pusta.

— Nieprawda — uśmiechnął się Cimmeryjczyk — Sheila go ma. Oszukaliśmy was, ale potem ona oszukała mnie. Jest w labiryncie, a wiesz, że tylko ona i ja znamy podziemia.

Arcykapłan spokojnie przypatrywał się więźniowi.

— Znajdź Sheilę — rzucił krótki rozkaz Narbonowi. Ten natychmiast wybiegł z pokoju.

— Kiedyś będzie musiała wyjść — zauważył Sartapis — i jeśli to co mówisz jest prawdą, prędzej czy później dostanę i ją i Kamień.

— Może tak, może nie — odparł Conan — a ja mogę ją znaleźć. Wiesz o tym.

— Czasem żałuję, że nie poznaliśmy się wcześniej — rzekł wolno arcykapłan — szkoda, że nie pokochałeś Seta. Razem dokonalibyśmy wielu rzeczy.

Do komnaty wbiegł Narbon.

— Nie ma jej, panie mój — wydyszał — a z pewnością nie opuściła świątyni.

— A więc mówiłeś prawdę, Conanie — rzekł Sartapis — ale nie łudź się, że cię puszczę, abyś jej szukał. Wolę mieć na wolności jednego mordercę niż dwoje. Zwłaszcza teraz.

— Zwłaszcza teraz? — powtórzył Cimmeryjczyk.

Arcykapłan uśmiechnął się lekko.

— Wojska króla stoją pod Khemi. Odważył się wystąpić przeciw Setowi i Set go ukarze. Już niedługo.

Zauważył błysk nadziei w oczach Cimmeryjczyka i odwrócił się do kata i jego pomocników.

— Wszystko gotowe? — spytał.

— Tak, panie mój — odparł kłaniając się kat.

— No to zaczynajcie w imię Seta — rozkazał arcykapłan — jak myślisz barbarzyńco, co na początek? Darcie skóry ze stóp? A może przebijanie jąder? A może po prostu zwykłe ordynarne zdzieranie paznokci? Hm? — patrzył uważnie na Conana jakby rzeczywiście oczekiwał od niego decyzji. Kat słuchał tego głęboko pochylony. Sartapis zmarszczył brwi.

— Zacznij od jąder — rozkazał w końcu — tylko bardzo ostrożnie. Ten człowiek ma długo żyć. Bardzo długo. Jeśli zabijesz go zbyt szybko, twoi uczniowie będą się uczyć fachu na tobie.

— Będzie trochę niewygodnie — odważył się zauważyć kat — czy nie można by go podwiesić, panie mój?

— A chcesz zdjąć mu kajdany?

Kat spojrział na Cimmeryjczyka i potrząsnął głową.

— Nie, panie mój.

— Więc rób swoje i nie miel ozorem, bo ci go każę wyciąć.

Kat pochylił się, aby rozedrzeć kapłańskie szaty, w które nadal odziany był Conan. Więzień napiął z całych sił mięśnie. Jego twarz nabiegła szkarłatem, usta łapczywie

chwytaly powietrze, ręce i nogi pokryły się pękającymi ranami od wpijających się obręczy. W końcu jęknął i zwiotczał. Kat rozdarł już szaty Conana odsłaniając przyrodzenie i cofnął się by wybrać odpowiedni pręt ze szpicem. Wreszcie znalazł taki, który go zadowolili. Cimmeryjczyk wciągnął głęboko powietrze. Ostre, rozpalone do czerwoności żelazo zniżyło się. I nagle zadźwięczało rzucone o kamienie. A kat z ogłupiałym wyrazem twarzy wolno opuścił głowę na kolana więźnia. Conan dostrzegł, że w jego czaszce tkwi do połowy wbita żelazna gwiazdka o ostrych jak brzytwa brzegach. Z rany wolno sączyła się krew.

— Co u licha... — urwał, gdy zobaczył stojące w progu dwie prześliczne, uśmiechnięte dziewczęta.

Sartapis oparł się plecami o ścianę, która nagle uchyliła się. Arcykapłan zniknął w tajemnym przejściu. Dziewczęta wolno zbliżyły się do Conana, a jedna z nich jakby mimochodem ruszyła dłonią i dwaj uczniowie kata zwalili się martwi z żelaznymi strzałami w oczach.

Narbon patrzył przerażony i jęczał nie wiedząc co robić. Pierwsza z dziewcząt podeszła do niego i ze spokojnym uśmiechem wbiła mu w pierś upierścienioną dłoń. Kapłan

wrzasnął i osunął się na ziemię. Dziewczyna wrzuciła w palenisko okrwawione serce. Zaskwierczało i w Sali rozszedł się odór palonego mięsa. Stały nad Conanem i z uśmiechem popatrzyły na jego nagość.

— Może byście mnie uwolniły? — zapytał.

— Ale musisz nam coś obiecać — powiedziała jedna i z wyraźnym żalem okryła Cimmeryjczyka strzępami kapłańskiej szaty.

— Wszystko czego tylko zechcecie, moje słońca.

— Patrz, mówi jak król.

— On przecież był królem — odparła druga i poszła szukać kluczy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Sartapis biegł tajemnym korytarzem. Została mu tylko jedyna szansa. Coś przed czym wzdrażał się od samego początku i czego zawsze się bał. Ale teraz, gdy Conan był już na wolności, Sheila zbuntowała się, w świątyni grasowały tygrysy króla, a wrogie wojska oblegały Khemi, musiał uciec się do magii. I to do magii wymagającej najwyższego kunsztu, do magii groźnej i niebezpiecznej, mogącej sprowadzić nieszczęście na samego maga.

Wpadł do maleńkiego pomieszczenia o ścianach obitych purpurową materią. W olbrzymim trzynastoramiennym świeczniku płonęło wiecznym ogniem trzynaście czar-

nych świec. Jedna ze ścian była utworzona z kryształowego lustra, w którym, o dziwo nie odbijało się wnętrze pokoju, a tylko jakiś zamglony splątany obraz jakby narodzony w koszmarnym śnie. Pod lustrem, na trójnogim stole, leżała kryształowa kula tak przejrzysta jak gdyby uczyniona z bryły lodu. Tylko w jej środku gorzał szkarłatny płomień. Sartapis usiadł przed lustrem i położył dłonie na kuli. Śpiewnym głosem rozpoczął wypowiadać zaklęcie. Zaklęcie, które otwierało drogę ze świata demonów do świata ludzi. Zaklęcie, które przyzywało najgroźniejsze i najstraszniejsze siły. Arcykapłan drżał. Wiedział jak bardzo niebezpieczne jest to co robi, wiedział jak łatwo człowiek, co nie zdoła opanować demona stanie się jego niewolnikiem po wiek wieków. Śpiew stawał się coraz szybszy. Powierzchnia lustra zmętniała, a potem nagle rozjarzyła się purpurowym blaskiem. Buchnęły płomienie, ale natychmiast z powrotem zapadły w kryształ. Kula pulsowała pod dłońmi Sartapisa, teraz już cała czerwona i światło zdawało się przenikać przez wątle palce arcykapłana, malowało cienie na jego bladej, spoconej twarzy. Sartapis przymknął oczy. Chłonał moc z całych sił wypowiadając zaklęcia, które miały go uczynić bezpiecznym i nie poddać sile demona. Wreszcie wykrzyczał jego imię.

— Asthorgos! Asthorgos! Asthorgos! — powtórzył trzykrotnie kreśląc lewą dłonią znaki w powietrzu.

Lustro stało się nagle czarne i głębokie, tak jakby prowadziła z niego droga w bezdenną otchłań.

— Kim jesteś ty co śmiesz przerywać mój sen? — dobiegł Sartapisa grzmiący, powolny głos.

— Jestem, który żądam wołając — odparł arcykapłan.

— Czego żądasz ode mnie sługo Seta? — w lustrze zabłyśły dwa czerwone światła, tak jakby dwoje gorejących oczu.

— Abyś wyszedł z otchłani i służył — odparł Sartapis — aby twa moc stała się moją mocą.

— Rozkazałeś — rzekł demon — otwórz mi drogę, a ja spełnię twą wolę.

Teraz nadchodził najgorszy moment. Arcykapłan wiedział, że będzie musiał wypowiedzieć zaklęcie pozwalające na to by demon wychynął z otchłani i wtargnął do rzeczywistego świata. I wiedział też, że wywołany demon zawsze próbuje zabić człowieka, który go wezwał. Jeśli mu się to nie uda musi służyć. Oczywiście za taką służbę

należało płacić. Czasem bardzo wysoko płacić. Ale bardzo często zdarzało się, że demon zabijał od razu maga i szalał na świecie póki jakaś potężniejsza od niego moc nie wepchnęła go z powrotem w otchłań.

— Elger Asthorgos harden a yrdev — wykrzyknął zaklęcie otwierające drogę i natychmiast bez chwili zastanowienia dodał — merea Asthorgos er ywarri.

Kula rozjarzyła się potężnym blaskiem i rozgrzała tak bardzo, że Sartapis prawie jęczał z bólu. Ale nie cofnął dłoni. Gdyby to zrobił, demon zabiłby go w tej samej chwili. Cztery ostatnie słowa zatrzymały go ale nie spętały. Był jeszcze silny i gotowy do walki.

— Mere a Asthorgos er ywarri, hapoena melinoe Asthorgos, ywarri y Asthorgos behrande — szeptał gorączkowo Sartapis cierpiąc strasznie, gdyż jego dłoń była palona żywym ogniem, a nie miał siły ani czasu odpędzić bólu.

Z lustra wyskoczyła mała, czerwona postać. Rycerz wysoki, ledwie na pół łokcia, z obnażonym mieczem w prawej dłoni i prostokątną tarczą w lewej. Buchał od niego żar i nawet kamienny blat stołu ciemniał pod jego stopami. Demon próbował przedrzeć

się w stronę kryształowej kuli, ale zaklęcia krępowały go i nie pozwalały uczynić ani kroku.

— Beharda Ywarri y Asthorgos behrande! — demon zatoczył się do tyłu. Sartapis czuł, że długo już nie wytrzyma. Jeszcze straszniejszy od bólu palonej dłoni zdawał się być wzrok Asthorgosa. Wyraz jego czerwono — płonących oczu, pełen nienawiści tak pierwotnej i okrutnej, że nawet w Sartapisie budziła przerażenie.

— Beherda ywarri y Asthorgos behrande — powtórzył słabym głosem drżąc z bólu i wyczerpania.

Demon zaśmiał się suchym, spokojnym śmiechem. Jego oczy płonęły coraz silniej.

— Nie wytrzymasz — rzekł, a jego głos poraził uszy arcykapłana — jesteś mój nędzny człowieku. Na zawsze mój.

Sartapis dyszał ciężko jak wyrzucona na brzeg ryba. Nie mógł już oderwać wzroku od oczu demona i z każdą chwilą uciekały z niego siły. Szeptał jeszcze coś, jakieś rozpaczliwe zaklęcia i modły, mruzczał ledwo poruszając wyschniętymi ustami i językiem. Zacinał się, urywał w pół słowa, jęczał, gdyż ból stawał się nie do wytrzymania. A demon tymczasem rósł. Miał już łokieć wzrostu, po chwili doszło mu jeszcze pół łokcia,

a potem następne i następne. Patrzył okrutnym, rozbawionym wzrokiem na wijącego się pod nim arcykapłana. Nie był jeszcze gotów na ostateczny atak. Sartapis kurczowo zaciskał palce na kryształowej kuli, jeszcze zatrzymywał Asthorgosa zaklęciami. Ale koniec był już blisko. I obaj o tym wiedzieli. Lecz arcykapłan był zbyt mądry, aby nie przygotować się na klęskę. Jeżeli umrze z rąk demona będzie mu służył przez wieczność, zepchnięty w otchłań niewiarygodnego cierpienia. Dlatego też nagle chwycił lewą dłoń ręką sztyletu i mocnym, szybkim ruchem wbił go sobie w gardło. Krew bluznęła na ziemię i demon znów urósł. Miał już teraz prawie siedem stóp wzrostu. Jego oczy pałały wściekłością. Pochylił się nad Sartapisem i zatopił palce w jego ranie. W komnacie rozszedł się odór palonego mięsa, a ciało arcykapłana pod wpływem bijącego żaru zaczęło czernieć. Kiedy demon wyprostował się, na posadzce leżały już tylko spopielone szczątki. Rycerz zbliżył się do drzwi, a one zapłonęły, i padły pod jego dotknięciem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

A więc udało się — rzekł Conan przeciągając się z lubością i masując obolałe od kajdan miejsca — nie nadszedł jeszcze mój czas.

— Gdzie Kamień? Gdzie Nemfale? — spytała jedna z dziewcząt.

Cimmeryjczyk zachmurzył się na wspomnienie pięknej kobiety, która zginęła na ołtarzu Seta.

— Nie żyje — odparł krótko — a Kamienia nie było.

— Kłamiesz — rzuciła ostro druga „tygrysica” — ukryłeś go.

Conan wzruszył ramionami.

— Możesz mi wierzyć lub nie — powiedział — to twoja rzecz. Czy król zdobył już Khemi?

— Nie — mruknęła po chwili — tylko my dwie przedarłyśmy się do świątyń. Wojska jeszcze szturmują mury, ale to długo nie potrwa. Nasz pan chce z tobą mówić, barbarzyńco. I myślę, że będzie lepiej, jeżeli Kamień się znajdzie.

Conan pomyślał, że być może nie nacieszy się wolnością tak długo jak myślał. Ale teraz przynajmniej był wolny i zaraz miał zamiar poszukać sobie jakiejś broni.

— Idźcie więc zająć się resztą kapłanów — rzekł — ja mam jeszcze pewne rachunki do wyrównania.

Nie oglądając się opuścił komnatę. Rychło znalazł leżącego w przejściu trupa strażnika, który trzymał jeszcze miecz w martwej dłoni. Wziął broń rozginając kurczowo zaciśnięte palce i machnął nią parę razy w powietrzu.

— Trochę lekki — mruknął do siebie — ale nada się i to.

Nie cieszyła go myśl o zejściu z powrotem do labiryntu, ale wiedział, że musi to zrobić. Sheila pokonała go, upokorzyła, oszukała i musiał jej za to zapłacić. Musiał

zobaczyć strach w jej oczach i musiał ujrzeć jak będą one gasnąć. Będzie litościwy i pozwoli jej umrzeć szybko, ale niech wie, że ginie i niech wie z czyjej ręki ginie.

Wszedł do komnaty, gdzie stał olbrzymi posąg Seta. U jego stóp leżało dwóch kapłanów. Jeden z poderżniętym gardłem, drugi leżał na brzuchu, ale głowę miał przekreśloną tak, że jego wybałuszone, pełne śmiertelnego przerażenia oczy zastygły patrząc w sufit. Conan przekreślił pierścień w środkowym palcu bóstwa i tajemne wejście otworzyło się. Cimmeryjczyk z lampą w lewej dłoni i mieczem w prawej ostrożnie wstąpił na kamienne schody. Drzwi cicho zamknęły się. Nie zamierzał szukać Sheili po podziemiach. Chciał tylko wybrać dogodne miejsce, z którego zaatakuje, kiedy ona będzie już wracać. I znalazł takie miejsce. Schował się w jednym ze ślepych korytarzy i zgasił płomień lampy. Wiedział, że zobaczy już z dala nadchodzącą Sheilę. Chyba, żeby szła bez światła. Z pewnością nie usłyszy jej kroków, gdyż umiała poruszać się bezszelestnie jak kot, nie poczuje też jej zapachu, gdyż nos miał cały w skrzepłej krwi. Wtedy być może ona go zabije. Cicho, bezszelestnie i niespodziewanie. Po prostu z mroku nadbiegnie ostrze. Ale Conan liczył jednak na to, że dziewczyna nie odważy się w ciemności przemierzać labiryntu. I wtedy to ona umrze. Czekał cicho, skupiony i przygotowany, aż wreszcie

w mroku pojawiło się światło. Sprężył się do skoku i kiedy była tuż obok zaatakował. Sheila była jednak niezwykła. Żaden człowiek nie uniknąłby tego błyskawicznego, kociego ataku. A jej się udało. Odskoczyła mijając się o cal z mieczem Cimmeryjczyka i już stała kilka kroków dalej. Spokojnie odstawiła lampkę i zniżyła ostrze. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Tu miała mniej miejsca niż kiedy walczyli poprzednio. A więc nie szybkość i zręczność mogły decydować w tym pojedynku, a mordercza siła Conana.

— Wyrwałeś się więc — powiedziała jakby z podziwem — może jednak zawrzemy sojusz, Conanie?

— Prędzej bym wołał przyjaźnić się ze żmiją czy rekinem niż z tobą — rzekł zimno Cimmeryjczyk. Roześmiała się. Dźwięcznie i pogodnie.

— Pochlebiasz mi Conanie — odparła — ale lepiej zapomnijmy o przeszłości. Możemy rządzić światem, mój barbarzyńco. Tylko ty i ja. A potem nasze dziecko. Zabicie cię nie sprawi mi przyjemności. O wiele bardziej użyteczny jesteś żywy niż martwy.

Cimmeryjczyk pokręcił głową.

— Za chwilę umrzesz, kobieto — rzekł — i lepiej też, żeby zdechł ten, którego nosisz w łonie niż miałyby być taki jak matka.

— Chciałeś — westchnęła i skoczyła na Conana z oszalamiającą szybkością. Ale on ciął na czas i ostrze choć tylko huknęło w stal miecza Sheili to jednak zatrzymało ją. Próbowała zamarkować cios w głowę i uderzyć półobrotom w brzuch, ale Cimmetryczyk znów odbił jej miecz i sam ciął dwukrotnie z taką siłą, że oręż zadrzał w jej dłoniach. Była wściekła, bo nie miała miejsca na zwody i uniki. Wąski korytarz ledwo co pozwalał na fechtunek, gdyby walczyli na otwartej przestrzeni dawno zabiłaby Conana. Tutaj nie mogła sobie poradzić, a bała się jego siły, gdyż z trudem odbijała potężne cięcia miecza. Znów zaatakowała i przez chwilę tylko głośny dźwięk bijącego o siebie żelaza, przecinał ciszę podziemi. Odskoczyli o krok. Conan krwawił z rany na ramieniu i udzie, ona nie zdołała na czas uskoczyć i koniuszek miecza rozorał jej twarz od czoła po podbródek.

— Nie będziesz już nigdy piękna — zaśmiał się szyderczo Cimmetryczyk.

Wolną dłonią otarła krew z twarzy i dokładnie oblizała palce.

— Ale będę żywa — powiedziała cichym, pełnym nienawiści głosem — w przeciwieństwie do ciebie, Conanie.

I nagle kończąc te słowa uskoczyła w bok i zniknęła w ciemnościach ślepego korytarza.

Cimmeryjczyk wiedział, że idąc za nią będzie przez moment widoczny w świetle lampy. Dlatego też zdusił knot palcami. Nastąpiła ciemność. Conan stał wstrzymując oddech i wsłuchiwał się w najlżejszy szmer. Ale w korytarzu panowała cisza. Słyszał tylko łomot własnego serca.

I nagle poczuł ostrze szturchające go między łopatki.

— Ani kroku — nakazała ostro — rzuć miecz i do ściany.

Usłuchał. Potem stał bez ruchu wiedząc, że ona pchnie, gdy tylko tego zechce. Musiała przemknąć między nim a ścianą korytarza i tak właśnie znalazła się za jego plecami. Conan mimo klęski nie mógł powstrzymać się od myśli, że nigdy nie spotkał tak niezwykłego i biegłego przeciwnika.

— Kamień — rzekła — gdzie jest Kamień?

— Czy sądzisz, że skoro nie powiedziałem Sartapisowi, powiem tobie? — zapytał drwiąco — niech cię piekło pochłonie, suko. Możesz mnie zabić, ale nigdy nie dostaniesz Kamienia. Uczuł jak ostrze boleśnie wbija się w ciało. Przyłgął mocniej piersiami

do ściany. Ona wierciła dziurę w jego plecach. Ostrze zgrzytnęło o kość. Conan mocno wciągnął powietrze w płuca.

— Boli, mój miły? — zapytała słodkim głosem nie przerywając ani na chwilę.

— Idź do diabła — warknął — możesz nawet przebić mnie na wylot i tak niczego się nie dowiesz.

Ostrze odsunęło się na cal od pleców Cimmeryjczyka. Sheila najwyraźniej zastanawiała się co zrobić. Wiedziała, że tak mało wyrafinowaną torturą nie zmusi Conana do mówienia. Cimmeryjczyk przypuszczał, że właśnie teraz go zabije. Postanowił wykorzystać ostatnią szansę. Obrócił się chwytając ostrze miecza i czując jak rozcina ono dłonie do kości, po czym kopnął ją prosto w brzuch. Jęknęła, ale nie zdołał trafić drugi raz. Znów była gdzieś o dwa, trzy kroki. Cicha i niezauważalna. Wolno cofał się do wylotu korytarza. Postanowił uciec z podziemi i zaczekać na nią w komnacie, u stóp posągu Seta. Wiedział, że tutaj czeka go tylko śmierć i że przeliczył się z siłami. Oślepił go nagły błysk. Zasłonił z jękiem porażone oczy, a gdy odjął dłonie od twarzy, ujrzał jak Sheila stoi z płonąca jaskrawym blaskiem kulą w dłoni.

— Oto jeszcze jedna sztuczka kapłanów — zaśmiała się i uderzyła płazem.

Dwa ciosy rzuciły Cimmeryjczyka na kolana. Z nosa znów połała się krew. Chwiał się, szumiało mu w głowie, a przed oczyma wirowały kolorowe plamy. Podparł się o ziemię i nagle jęknął. Ostrze miecza przebiło mu prawą dłoń. A zaraz potem lewą. Z trudem uniósł głowę i poprzez kolorowy wir dojrzał jak stała nad nim z okrwawionym mieczem w dłoni, okrutnie uśmiechnięta i zimna. Kopnęła go w twarz i upadł na plecy dławiąc się krwią, i kiedy czekał na ostatni cios, nagle usłyszał krzyk. Pełen przerażenia i bólu. Pokonując słabość podniósł się. Najpierw na czworaki, potem na klęczki, potem chwiejnie stanął. Mrugał, aby odpędzić kolorowe plamy i w końcu ją dojrzał. Stała przyciśnięta do ściany, a żelazna obręcz opasywała jej piersi. Nadal trzymała błyszczącą kulę, ale miecz leżał u stóp. Conan wolno pochylił się i przemagając ból poranionych dłoni uchwycił rękojęść. Z wysiłkiem uniósł broń zaciskając szczęki tak, że aż zazgrzytały zęby. Ale obręcz, która uchwyciła Sheilę nie była tak mocna jak ta, która zabiła Kandara. Dziewczyna szarpnęła się raz i drugi i żelazo drgnęło wychodząc z muru. Widząc, że Conan ścisną już miecz w dłoni, błyskawicznym kopnięciem trafiła go pod kolano. Cimmeryjczyk cofnął się opierając na mieczu, ale nie wypuścił go z dłoni. Sheila szarpnęła raz, drugi i trzeci. Już tylko drobny wysiłek, a będzie wolna. Conan uniósł ostrze.

— Kocham cię — krzyknęła nagle. Tym samym wibrującym pełnym czułości i pożądania głosem, którym witała każde spełnienie.

Cimmeryjczyk zawahał się przez moment. Obręcz opadła głośno stukając o kamienie, a Sheila skoczyła widząc, że Conan nie zdąży zadać ciosu. I kiedy chwyciła wroga za szyję chcąc krótkim, strasznym uchwytem pozbawić go przytomności, nagle dłonie jej opadły i wolno osunęła się na ziemię, do stóp Cimmeryjczyka. Spojrzała w górę gasnącymi oczyma.

— Jak... jak... jak? — wyszeptwała.

Przekręciła się wolno na bok i spojrzała na swój brzuch. Zaczęła się śmiać. Przerazającym, pełnym jakiegoś obłąkanego szyderstwa śmiechem. I z tym śmiechem na ustach skonała. Z jej ciała sterczała główka złotej szpilki.

Conan powlókł się przez ciemność korytarzem. Z trudem wstąpił na schody i zrobił jeszcze kilka kroków. Na piątym stopniu zemdlął.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

PIERWSZY

Obudził się i wolno, z trudem otworzył oczy.

Pierwsze co zobaczył to leżące na kołdrze swoje dokładnie obandażowane dłonie. Podniósł wzrok i dojrzał pochylonego człowieka o wąskiej pobrużdżonej zmarszczkami twarzy i przenikliwych oczach.

— No, wreszcie się ocknąłeś — dobiegł go starczy, skrzypiący głos — dość już mam siedzenia tu przy tobie. Masz, pij.

Przytknął mu do ust kubek i Conan łapczywie wychłęptał napój, który choć obrzydliwie gorzki to przynajmniej pokonał suchość języka i gardła. — Żebyś ja się musiał zajmować jakimś barbarzyńskim zabójcą — zrzędził starzec odstawiając kubek na stół — ja, królewski lekarz — pokręcił głową z niezadowoleniem — a ty jeszcze długo poleżysz, człowieku. A miecz w ręce też nieprędko chwycisz.

Cimmeryjczyk uniósł dłonie i z wysiłkiem, pokonując ból i zagryzając wargi zaciśnął je w pięści, a potem rozprostował.

— Na Mitrę! — krzyknął lekarz. — Co robisz? Otworzysz rany!

— To silny człowiek — dobiegł od drzwi cichy głos.

Starzec skłonił się głęboko.

— Bądź pozdrowiony Amanhotepisie, mój panie — powiedział z szacunkiem, a cała zrzędlivość uleciała z jego głosu.

Król zbliżył się do łoża. Obaj z Conanem przyjrzeni się sobie uważnie.

— A więc tak wygląda najszlachetniejszy wojownik świata — rzekł w końcu Amanhotepis.

Cimmeryjczyk utkwiał wzrok w młodzieńczej twarzy władcy.

— Nie spodziewałem się, że jesteś tak młody — powiedział — ale nie możesz być byle kim, skoroś pogłębił te przeklęte psy Seta.

Stary lekarz zdrętwiał słysząc, że ktoś przemawia takim tonem do króla. Ale on roześmiał się.

— Pochwała z twoich ust, to zaszczyt Conanie Cimmeryjczyku — odparł — za pięćset czy tysiąc lat, gdy królestwa upadną, gdy zmienią się granice, twoja legenda przetrwa. Może i ja znajdę w niej miejsce u twego boku.

— Ty zasłyniesz jako ten, co zniszczył wiarę Seta — odparł uprzejmie Conan — i nikt nie odbierze ci chwały

Amanhotepis dał znak lekarzowi, by się oddalił i on posłusznie, zgięty w pokłonie opuścił komnatę.

— Teraz skoro już nacieszyliśmy uszy uprzejmymi słowami — zaczął władca — powiedz mi gdzie jest Kamień.

Conan spodziewał się tego pytania.

— Nie wiem — westchnął ciężko — myślisz, że nie zdradziłbym tego Sartapisowi, gdybym wiedział?

— Myślę, że nie — odparł z powagą Amanhotepis i przysiadł na skraju łoża — ja go chcę zniszczyć, Conanie, a raczej — zastanawiał się przez chwilę — zniszczyć, gdy tylko będę mógł. Teraz bowiem jest potrzebny. Sartapis wyzwolił z otchłani Asthorgosa, Czerwonego Demona zwanego czasem Rycerzem Ognia. Nikt i nic go nie pokona, jeśli nie będziemy mieli Kamienia. A Asthorgos z dnia na dzień rośnie w siłę. Im więcej zabija ofiar tym bardziej wzrasta jego moc. Być może niedługo w ogóle nie zdołamy go pokonać.

— Czy złapaliście któregoś z kapłanów? Żywego? — spytał Conan.

— Tak kilku, a dlaczego pytasz?

— Porwali moją żonę — wyjaśnił Cimmeryjczyk — każ im powiedzieć gdzie ona jest.

Amanhotepis zmarszczył brwi.

— Nic o czymś takim nie słyszałem — rzekł — opowiedz o tym.

Conan krótko opowiedział całą historię. O przybyciu Ymirferda, o spalonym grodzie i o pozostawionym liście. Gdy skończył Amanhotepis przez chwilę przyglądał mu się w zdumieniu.

— Na Mitrę, Conanie — powiedział kręcąc głową — przecież to nie stygijscy kapłani porwali twoją żonę. To Vanirowie.

— Crom i szatani! — wybuchnął Cimmeryjczyk — o czym ty mówisz?

— Chcieli cię zmusić abyś wyruszył do Stygii. Nie mogę uwierzyć, że dałeś się zwieść. To było szyte grubymi nićmi. Skąd śludzy kapłanów wzięliby się tak szybko? — znowu pokręcił głową. — To robota Vanirów, uwierz mi.

Conan spojrział na niego i król zamarł, gdy ujrzał jego oczy. Wściekłe, lodowato niebieskie oczy mordercy. Mimowolnie przełknął ślinę. Ten człowiek, mimo że leżał w łożu, ranny i bezbronny potrafił budzić strach.

— Na Croma — rzekł cichym głosem — ktoś zapłaci mi za to. Gdzie jest Ymirferd?

— Uwolniłem go z rąk kapłanów — odparł Amanhotepis — żyje i ma się dobrze.

— A to już niedługo — powiedział Cimmeryjczyk i zacisnął pięści do bólu nie zważając na to, że rany się mogą otworzyć — na Croma się klnę, że wyduszę z niego parszywe życie.

— A Kamień? — napomknął władca.

Conan pomyślał, że tylko ofiarowanie Czarnego Kamienia Seta Hrodwigowi może przywrócić mu Ylwę.

— Uwierz mi, że go nie mam — powiedział rozkładając dłonie — nigdy nie dałbym go psom Seta, ale dlaczego nie miałbym dać tobie skoro chcesz zniszczyć tkwiące w nim zło?

— Bo to może być cena za życie twojej żony — rzekł spokojnie Amanhotepis odgadując myśli Conana. Wstał z łoża i przez chwilę bacznie przyglądał się Cimmeryjczykowi.

— Nie zmuszaj mnie bym się stał twoim wrogiem — odezwał się w końcu — ale wierz mi, że zrobię wszystko, aby mieć Kamień. Jeśli będzie trzeba każę cię torturować, a nie myśl, że moi kaci są mniej biegli od khemijskich. Ale bardzo bym nad tym bolał, Conanie. Wiedz jednak — dodał po chwili — że nawet jeśli dojdzie do najgorszego zawsze zachowam cię w mojej pamięci jako największego wojownika świata. Będę cię czcił i szanował.

Obrócił się i ruszył w stronę drzwi. Obejrzał się jeszcze na progu.

— Zastanów się, Conanie nad moimi słowami — poprosił — i oddaj Kamień. Nie chcę cię torturować ani zabijać. Pragnę byś był moim przyjacielem, lecz nie cofnę się przed niczym, jeżeli pomoże to tylko w uwolnieniu Stygii od Czerwonego Demona.

Postał jeszcze chwilę w progu, po czym wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi.

Conan odetchnął ciężko i zmrużył oczy. Zdradzono go. Po raz kolejny. Wygasła przez lata nienawiść do Vanirów zapłonęła nowym ogniem.

— Zapłacisz mi za to Hrodwigu — pomyślał Cimmeryjczyk — a i ty Ymirferdzie rychło oddasz duszę bogom. Odzyskam Ylwę i zemszczę się. Nikt bezkarnie nie zdradził jeszcze Conana Cimmeryjczyka.

Przetarł dłonią zroszone potem czoło. Czas aby myśleć o zemście, jeszcze nadejdzie. Teraz trzeba zdecydować czy oddać Czarny Kamień Seta Królowi Stygii. Conan wiedział, że za drzwiami stoi straż i to zapewne straż nie byle jaka. Ale nawet, gdyby byli to tylko zwykli żołnierze, jakże dałby im radę ranny i bezbronny. Poruszył ostrożnie nogami i poczuł przenikliwy ból w udzie i pod kolanem. Nie da rady stygijskim strażnikom człowiek kulawy o poranionych dłoniach. Cimmeryjczyk wiedział, że Amanhotepis nie cofnie się przed wypełnieniem swoich gróźb. I nie miał do niego o to żalu. To była

gra. Gra o przetrwanie dla jego władzy i dla całej Stygii. Trudno się dziwić, aby życie jednego człowieka, choćby najślawniejszego, znaczyło cokolwiek na tej szali. A więc trzeba będzie oddać Kamień. Amanhotepis zechce go potem zniszczyć i zniszczy w ten sposób szansę na ocalenie życia Ylwie. Conan zacisnął zęby. Przed oczyma stanął mu znowu obraz spalonego zamku i martwych ciał żołnierzy, którym bezbronnym, we śnie, popodrzynano gardła. Przeklęci Yanirowie!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

— Co zdecydowałeś, Conanie? — zapytał Amanhotepis.

Obok niego stali dwaj doradcy, sędziwy Meltonokos i dużo młodszy Sedranafal oraz stary, zgrzybiały kapłan Mitry Torkratos.

— Oddam ci Kamień — rzekł Cimmeryjczyk i dojrzał ulgę na twarzy władcy — ale nie za darmo.

— Mów.

— Vanirowie porwali moją żonę. Jeżeli zniszczysz Kamień nie odzyskam jej. Daj mi więc statek z załogą, który zawiezie mnie na Bossońskie Wybrzeże. Daj mi złoto,

abym miał za co kupić najemników. Wtedy napadnę na Vanaheim. Ale trzeba będzie dużo złota.

Amanhotepis bez wahania skinął głową.

— Przysięgam na Mitrę, że tak się stanie. Nie ma ceny, której bym nie zapłacił, aby zniszczyć Asthorgosa.

— A cóż to za demon? — zapytał Conan.

— Kiedyś dawno temu Asthorgos był człowiekiem — wtrącił cichym głosem kapłan Mitry — bardzo złym i okrutnym człowiekiem. Kapłani Seta to przy nim ludzie miłośni i uczciwi, choć wiem, że ciężko to sobie wyobrazić — dodał widząc zdumione spojrzenie Conana — jego zbrodnie były tak straszne, że nie znam słów właściwych by o nich opowiedzieć. Kiedy Asthorgos zmarł, po bardzo długim życiu, gdyż przedłużył je sobie posługując się czarną magią, został zepchnięty w otchłań. Tam cierpi niewyobrażalne męki, marząc tylko o tym, aby wydostać się do świata ludzi. Bowiem jedyną ulgę w cierpieniu przynosi mu przelana krew, a dusze tych, których zabija, dodają mu siły. Nie odważył się opuścić dzielnicy świątyń. Ale niedługo to uczyni i nie wiem czy ktokolwiek będzie zdolny zepchnąć go z powrotem w otchłań. Kiedyś żyli

magowie, którzy potrafiliby to uczynić, lecz teraz — kapłan rozłożył dłonie — tylko Czarny Kamień może wesprzeć naszą moc.

— A jeśli i on zawiedzie? — spytał ponuro Conan.

— Módl się, aby tak się nie stało — odparł Torkratos — gdyż czekałyby nas cierpienia, których nie możemy sobie nawet wyobrazić.

— Nie sądzę, aby rzecz stworzona przez Seta mogła uczynić jakiegokolwiek dobro — mruknął Cimmeryjczyk — ale nie mam wyboru. Zaprowadzę was do podziemi. A potem chcę dostać Ymirferda.

— Będziesz go miał — obiecał władca — i statek i złoto i moją dozgonną wdzięczność.

— Krucha i krótka jest wdzięczność królów — mruknął Conan — ale nie mam wyboru — powtórzył — i pomogę wam.

— Zrób więc to zaraz — rzekł Amanhotepis i klasnął w dłonie.

Do komnaty weszli niewolnicy niosąc przygotowane dla Cimmeryjczyka szaty. Conan spojrział ponuro.

— A broń? — zapytał.

Władca uśmiechnął się tylko lekko w odpowiedzi i pokręcił głową. Cimmeryjczyk odepchnął niewolników, którzy chcieli go podtrzymać, gdy wstawał z łoża i zaczął się ubierać. Strój był luźny i wygodny, ale Conanowi brakowało zwykłego żołnierskiego rynsztunku. Najchętniej przywdziałyby skórzany kaftan i kolczugę, założył gruby pas z mieczem u boku i naciągnął na dłonie grube rękawice z żelaznymi guzami. Choć zapewne taki strój nie sprzyjałby poranionemu ciału. Do komnaty weszły dwie tygrysice, te same, które uratowały Cimmeryjczyka z rąk Sartapisa.

— Oto Amina i Selene — powiedział władca — znasz je już, Conanie. Będą ci towarzyszyć w wyprawie do labiryntu.

— Nie potrzebuję strażników — warknął Cimmeryjczyk.

Amina, śniadoskóra i czarnowłosa, roześmiała się.

— Strażników na pewno nie, ale obrony. Nie zapominaj, że w Khemi grasuje Czerwony Demon.

Conan spojrział na nią gniewnym wzrokiem, ale nic nie odpowiedział.

Podeszli pod mury dzielnicy świątyni. Roilo się tam od żołnierzy, w większości z trudem tłumiących przerażenie, gdyż z blanków widać było od czasu do czasu ognistą

postać przemykającą pomiędzy budynkami. Rycerz nie próbował jeszcze wydostać się z Khemi. Nie mógł co prawda być zabity zwykłą ludzką bronią, ale wiedział, że mogą go uwięzić. Czekał, aż nabierze mocy, a wtedy szybki jak wiatr i silny, poradzi sobie z wszelkimi pułapkami. Przyniesie śmierć i ból, a płynąca z ran wrogów krew ostudzi choć trochę żar i ukoji ból, co dręczył go od setek lat. Na razie chłonał moc, która panowała w świątyniach Seta i innych okrutnych bóstw. Wspomnienie krzyków torturowanych i obraz ich cierpienia, który zachowały ściany budowli, dodawał mu sił. Od czasu do czasu znajdował jeszcze jakiś bląkających się, przerażonych ludzi i wtedy sycił się ich strachem, bólem i krwią. Ale trzeba mu było o wiele więcej. Nieporównanie więcej. Gdy wyjdzie zza murów nie zabraknie już ofiar. I może wreszcie trwający od lat ból zniknie, może wreszcie zapomni o dojmującym cierpieniu i zazna rozkoszy. Kapłan Mitry Torkratos też wiedział, że nadszedł już najwyższy czas. Pobłogosławił przekraczających wrota Khemi Conana, Aminę i Selenę mamrocząc nad nimi jakieś zaklęcia. Amanhotepis i jego dowódcy patrzyli z blanków jak Cimmeryjczyk z dwiema tygrysi-cami u boku znikają w labiryncie uliczek wśród świątyń.

— Niech Mitra im sprzyja — szepnął władca.

Oni tymczasem zmierzali wprost do głównej świątyni Seta. Przemykali wzdłuż ścian, kryli się w podcieniach, znikali w zaułkach. Czujni, gotowi w każdej chwili do ucieczki, wsłuchani w najlżejszy szmer. Nie wiedzieli czy demon dostrzegł już ich obecność. Na szczęście Rycerz Ognia dręczony bólem chłonał cierpienie zastygłe w ołtarzach krwawej bogini Iramlis i myślał tylko o tym jak odpędzić cierpienie. Dlatego też bezpiecznie wkroczyli do labiryntu. Conan już trzeci raz pokonywał tę drogę i miał nadzieję, że ostatni. Nie chciał nigdy więcej wchodzić do tego strasznego labiryntu — świadka okrutnego zgonu Nemfale, zdrady Sheili, nieszczęsnej śmierci Kandara. Labiryntu, gdzie, kto wie, czy nie szukała drogi wśród setek korytarzy sama Królowa Śmierć. Ale dotarli szczęśliwie, choć zajęło im to wiele czasu, do celu. Conan schował do sakwy Czarny Kamień Seta, ukryty w ślepych korytarzu i spieszenie podążyli w stronę wyjścia. Zdawało im się, że goni ich jakiś rumor obsuwających się ścian, ciężkie kroki stąpające po kamieniach, wściekły, rozpaczliwy krzyk kobiety. W końcu jednak wydostali się. Na zewnątrz panowała noc, co mogło im tylko sprzyjać, gdyż byli w stanie z daleka dostrzec postać Rycerza, nad którym unosiła się czerwona łuna. Lecz nie

wiedzieli, że nie tylko on zagraża im w Khemi. Zatrzymali się, gdy dostrzegli ciemne, chwiejne postacie, które falując w powietrzu zbliżały się ku nim.

— Cóż to na Croma? — warknął Conan cofając się o krok.

Postacie nadchodziły zewsząd, otaczały ich roztańczonym kołem, a wionął od nich przeraźliwy, zatykający dech w piersiach odór spalenizny.

— Upiory Asthorgosa — szepnęła Selene.

Istotnie były to upiory Czerwonego Demona. Ci, których zabił i zabrał im dusze, ci których uczynił swoimi niewolnikami po wiek wieków.

— Szybko — rozkazał Conan i ruszył w stronę chwiejących się postaci.

Tygrysyce poszły w jego ślady. Otoczył ich smród, zdawało się jakby przebijali się przez lepka, cuchnącą maź. Asthorgos był jeszcze słaby, a więc i jego upiory nie mogły na razie walczyć z ludźmi. Próbowwały ich powstrzymać, ale potrafiły tylko opóźnić ucieczkę. Conan wymiotował już i osłaniając twarz dłonią, drugą ręką odpychał napierające postacie. Jego ciało i ubranie całe były w gęstej, śmierdzącej sadzy. Tygrysyce chwyciły go mocno i wyciągnęły z kręgu upiorów. Z przestrawieniem dojrzeliby, że czerwona łuna kieruje się w ich stronę.

— Do murów! — wrzasnęła Amina i pobiegli z ulgą wdychając świeże powietrze. Fala upiorów zakolysała się i popłynęła za nimi.

Dopadli bramy tuż przed Asthorgosem i żołnierze zdołali zamknąć żelazne wierzeje nim uderzyła w nie pięść upiora. Z murów posypały się na niego głazy i demon z wściekłym rykiem odskoczył.

— Kamień! — zawołał Torkratos. — Czy macie Kamień?

— Conan dysząc ciężko wyjął Kamień z sakwy i podał kapłanowi. Torkratos zdziwiony przyjrzał się mu uważnie.

— Wygląda jak bryła bazaltu. I nawet nie jest czarny. Ale to on, czuję jego moc.

Skoczył dziwnie żwawo jak na starca, w stronę prowadzących na szczyty murów schodów. Selene i Amina pobiegły za nim. Cimmeryjczyk ciężko, charcząc i spluwając, ruszył w ich ślady. Kiedy doszedł na górę, kapłan Mitry stał już na samej krawędzi muru i trzymając Kamień w wyciągniętych rękach, wyśpiewywał cichym głosem jakieś zaklęcia. Miał zamknięte oczy, a wokół jego dłoni unosiła się ciemna poświata. Asthorgos ryczał coś na dole, walił w mury i wierzeje rozpaloną pięścią. Żołnierze ciskali w niego

kamieniami, ale te nawet, gdy trafiły nie wyrządzały mu krzywdy. Wszystko wokół nich spowite było czerwoną luną, bijącą od płonącego ciała demona.

— I oto zobaczymy władcę Czarnego Kamienia — usłyszał Conan cichy głos za sobą i gdy odwrócił głowę zobaczył, że to przemawia Amanhotepis — najwierniejszego sługę Seta.

— Nie wiem czy nie ściągamy na własne głowy większego nieszczęścia — mruknął Cimmeryjczyk.

Głos Torkratosa nabrał siły. Czarna poświata wirowała wokół jego dłoni, które здаwały się rozpływać w niej. Wreszcie słup dymu otoczył kapłana, a gdy równie prędko zniknął jak się pojawił, ujrzeni, że obok Torkratosa stoi jakaś postać w smolistoczarnym płaszczu o twarzy zasłoniętej kapturem. Starzec wyrzekł głośno niezrozumiałe słowa i wskazał dłonią Rycerza Ognia, a władca Czarnego Kamienia skłonił głowę i spłynął powoli z murów. Demon ujrzał go i stanął w miejscu. Krwawy blask bijący od niego nabrał mocy. Zmęczony kapłan Mitry zachwiał się i upadłby, gdyby nie podtrzymały go silne ręce tygrysic.

— Teraz już tylko czekać — wyszeptał słabym głosem.

Władca Czarnego Kamienia skoczył w stronę Rycerza Ognia. Czarna i czerwona postać zwały się w śmiertelnym uścisku. Rozległ się ogłuszający łoskot i krzyk tak przeraźliwy, że żołnierze padali na ziemię zasłaniając sobie uszy dłońmi. Pod niebo uderzył słup dymu. Łuna zdawała się blednąć. Wszyscy widzieli tylko czerń i czerwień zmagające się ze sobą, okryte całunem dymów, słyszeli tylko huk i wrzask. Kapłan Mi-try widział więcej. On jeden zobaczył pojedynek, jego uszu dobiegł brzęk ścinających się mieczy, on jeden czuł jak oba demony biją w siebie wściekłymi falami nienawiści, jak zmagają się w potwornej męce. Aż w końcu Rycerz Ognia zniknął. Po prostu zniknął tak, jakby nigdy nie istniał. Wraz z nim zbladły i rozwiały się postacie upiorów. I tylko odurzający smród spalenizny i wypalone ślady na ziemi w miejscu, gdzie stanęły stopy Czerwonego Demona świadczyły o tym, że jeszcze przed chwilą tu był.

— Przywołaj go z powrotem — rozkazał Amanhotepis.

Wyczerpany Torkratos skinął posłusznie głową i rozpoczął wypowiadać zaklęcia przywołania. Władca Czarnego Kamienia jakby wahał się chwilę i opierał, ale w końcu z niechęcią, wolno podpłynął w ich stronę i stanął obok kapłana. Ten spojrzął na niego i urwał w pół słowa. Sługa Seta odrzucił kaptur. Ujrzeni bladą, wyschniętą twarz.

W głęboko osadzonych oczodołach płonęły czarne źrenice nie odbijające światła. Władca Czarnego Kamienia wyciągnął obleczone rękawicami dłonie.

— Przysługa wymaga zapłaty — usłyszeli wibrujący głos — ja chcę żyć, kapłanie. Pomyśl, co możemy zrobić razem. Władza nad światem Torkratosie, wieczna młodość dla ciebie — musiał dojrzeć coś w twarzy kapłana — bo powtórzył — tak, młodość i bogactwo i władza i kobiety. Wszystko dla ciebie Torkratosie. Wszystko.

Głos władcy Czarnego Kamienia łagodny i stanowczy zdawał się paraliżować kapłana. Przez chwilę poruszał on samymi wargami nie wypowiadając żadnego słowa.

— Powiedz to — nalegał sługa Seta — uwolnij mnie. Powiedz to, Torkratosie.

I gdy kapłan otworzył już usta, Amanhotepis dał znak dłonią. Amina stojąca tuż przy kapłanie jednym, niewyobrażalnie szybkim ruchem, skrzyła mu kark. Kamień nie wypadł z martwej dłoni starca. Pochwyciła go ręka mężczyzny w szatach kapłana Mitry i znów, tym razem z jego ust, popłynęły słowa przywołania. Dokładnie od tego momentu, w którym urwał Torkratos. Władca Czarnego Kamienia opierał się przez chwilę, zmagając z tym zaklęciem, ale nie potrafił pokonać jego mocy i w końcu zmieniony

w smugę dymu posłusznie wpelził do Kamienia. Kapłan Mitry oparł się o mur. Jego twarz cała była pokryta kroplami potu.

— Już koniec — szepnął Amanhotepis i pogładził po włosach Aminę — dzielnie się spisalaś, moje słońce. Znasz już groźbę Kamienia — król obrócił twarz w stronę Conana — gdyby Torkratos wyzwolił sługę Seta miałby nad nim jeszcze jakiś czas władzę. Ale w końcu stałby się tylko niewolnikiem, posłusznie spełniającym rozkazy władcy Kamienia. Dostałby wszystko, co miał obiecane, bo sługa Seta nie mógłby istnieć bez niego, ale byłby w końcu już tylko straszliwym upiorem, poddanym Seta. Wiesz już dlaczego muszę go zniszczyć? Cimmeryjczyk skinał głową.

— Jak? — zapytał.

— Każę go wrzucić w najgłębszą otchłań oceanu — powiedział Amanhotepis — w środku ciężkiej żelaznej kuli. Przemina wieki, a może i eony nim znów pojawi się na świecie.

— Ale pojawi się? — raczej stwierdził niż spytał Conan.

— Zło zawsze wraca — odparł sentencjonalnie władca i wyjął Kamień z dłoni kapłana Mitry — zawsze — powtórzył i odszedł wolnym krokiem mając obie tygrysyce u boku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

— Ofiarowałeś mi gościnę i przyjaźń — mówił blady Ymirferd — nie możesz teraz pozwolić, aby on mnie zabił.

Amanhotepis spojrział z pogardą na Vanira.

— Spróbuj przynajmniej godnie umrzeć — rzeki cedząc słowa — łatwiej mordować bezbronnych niż stawiać czoła Cimmeryjczykowi, nieprawdaż? Dziś wieczór będzie co ma być. Jeden z was pozostanie przy życiu. Jeżeli to będziesz ty, ofiaruję ci wolność.

Kiedy Vanir został sam w komnacie, opadł na zydel i nerwowo splótł dłonie. A więc stało się, to czego obawiał się najbardziej w życiu. Będzie musiał walczyć z Conanem

Cimmeryjczykiem. Z nieubłagany zabójcą o lodowatych, okrutnych oczach. Ymirferd nigdy nie lękał się śmierci, gdyż zbyt często ocierał się o nią w boju. Ale lękał się Conana. Nie miał już odwrotu. Nie było ucieczki ze Stygii. Wolność mogła nadejść tylko po trupie Cimmeryjczyka. I Vanir wiedział, że nie sprzeda tanio swej skóry. Lecz wspomnienie Conana, jego twardej, jakby ciosanej w kamieniu twarzy morderczego błysku w oczach, kocich, zwinnych ruchów i paraliżującej siły obezwładniały strachem. I przypomniał sobie słowa, które tak niedawno wypowiedział Cimmeryjczyk: Pamiętaj, nie zdradź mnie. A on przecież zdradzał od samego początku.

Wychylił jednym tchem wysoki kubek pełen słodkiego wina o korzennym zapachu i zaczął się ubierać. Skórzany kaftan, kolczuga o misternie ułożonych, twardych kółkach, grube rękawice nabijane ćwiekami o spiczastych łbach. Machnął w powietrzu raz i drugi pięciostopowym mieczem, sztych, cięcie, jeszcze raz sztych. Obejrzał dokładnie tarczę, solidną, dębową z żelaznym bukiem w środku i krawędziach obwiedzionych żelazem. Wziął do rąk hełm z szerokim nosalem i spływającą aż do ramion stalową siatką. Teraz pozostawało już tylko czekać. Kto wie, może bogowie okażą swą łaskę. Może Thor i Odyn zechcą wspomóc jego dłoń. Conan wszak był ranny. Kulał na lewą

nogę, dłonie miał nie dość, że rozcięte do kości to później przebite jeszcze ostrzem miecza. Ymirferd znów napełnił sobie kubek i znów opróżnił jednym tchem. Uśmiechnął się. Tak. Bogowie dadzą mu zwycięstwo. Cimmeryjczyk jest słaby. Jego dłoń z trudem utrzyma miecz w garści. Jego ruchy nie będą już tak szybkie i kocio zwinne. A jeżeli Ymirferd wygra, któż będzie pamiętał o ranach Conana? W legendzie i pieśni przetrwa tylko imię tego, co zabił niezwycięzonego barbarzyńcę. Wróci do Vanaheimu opromieniony sławą, spłyną na niego zaszczyty i łaska króla. Tylko trzeba zabić. Zabić Cimmeryjczyka. Zgasić na wiek wieków lodowate lśnienie jego oczu. Ymirferd zakręcił młyńca mieczem. Dokona tego! Zwycięży! Przeniesie swe imię w nieśmiertelność. Z niecierpliwością czekał wieczora, aż wreszcie skrzypnęły drzwi i do komnaty wszedł Conan. Też przygotowany do boju, w kolczudze, hełmie na głowie, długim mieczem w prawej dłoni i prostokątną żelazną tarczą w lewej. Blask bijący od płonących na palenisku polan krwawo oświetlił twarz Cimmeryjczyka. Trzasnęły zamykane drzwi. Ymirferd wzdrygnął się. Nadchodziła decydująca chwila. Z ulgą zauważył, że Conan porusza się ostrożnie, próbując cały ciężar ciała opierać na zdrowej prawej nodze. Dostrzegł też, coś dziwnego w trzymaniu tarczy przez jego przeciwnika i dopiero po chwili

domyślił się, że Cimmeryjczyk musiał po prostu kazać przywiązać ją sobie do przedramienia, aby nie nadwyręzać poranionej dłoni. Vanir uśmiechnął się z satysfakcją. Oto nadszedł koniec niepokonanego barbarzyńcy. Za chwilę jego skrwawione zwłoki legną na posadzce komnaty jak szmaciana kukła. Ruszyli naprzeciw siebie bez słowa i pierwszym dźwiękiem jakim zabrzmiał w komnacie był huk zderzających się ostrzy. Dłoń Conana zadrżała. Ból sparaliżował rękę do ramienia. Odskoczył ciężko i zasłonił się tarczą przed trzema potężnymi ciosami Ymirferda. Każdy z nich poruszył nową lawinę bólu w zranionej dłoni. Cimmeryjczyk cofał się już tylko, a Vanir wciąż atakował. Huk ostrza walącego w żelazną tarczę grzmiał w komnacie. W końcu Conan odwinął się, uderzył raz i drugi, ale Vanir zręcznie sparował uderzenia i pchnął tarczą tak, że Cimmeryjczyk zatoczył się na ścianę. Wtedy ostrze miecza minęło zasłonę i głęboko zraniło. Krew popłynęła spod kolczugi Conana.

— Jesteś trupem — warknął Ymirferd.

I w tej samej chwili Cimmeryjczyk odepchnął się od ściany i odtrącając broń przeciwnika, pokonując ból, runął na niego całym ciężarem. Wsparli się na sobie, klinga przy klindze, twarz przy twarzy i słychać było tylko ciężkie chrapliwe oddechy. Ymir-

ferd próbował oderwać się od Conana, ale nie mógł. Z przodu przygwaźdżał go ciężar barbarzyńcy, trzymała jego niedźwiedzia siła, za plecami miał ścianę. Cimmeryjczyk nagle pochylił głowę i grzmotnął swoim hełmem w hełm Vanira. Ymirferdowi zaćmiło się w oczach. Wtedy Conan odskoczył wspierając się na zdrowej nodze i wypuścił z całej siły ostrze. Vanir zdołał sparować cios, ale wtedy spadła na niego żelazna tarcza Cimmeryjczyka. Zachwiał się, a kiedy próbował odzyskać równowagę, poczuł jak nagły ból przenika jego ramię. Spod kolczugi trysnął strumień krwi. Wypuścił tarczę. Następny cios żelazną krawędzią rozhuczał mu się w głowie. Opadł na kolana. Jego miecz zadźwięczał na kamieniach posadzki. Conan zwałił się ciężko na wroga i okutą pięścią trzasnął go raz i drugi mimo, że za każdym razem aż chwyciły go mdłości z bólu. Usiadł na piersiach Vanira i wyciągnął zza pasa wąski sztylet. Dojrzał przerażone oczy błyszczące spod hełmu. Ymirferd szarpnął się jeszcze, ale nie miał tyle sił, aby rzucić Conana.

— Nie — jęknął — błagam, nie. Mieliśmy być przyjaciółmi, Conanie. Przyjaciółmi do samego końca.

Gdy ostrze nie spadło, zaświtała mu nagle jakaś szalona nadzieja, ale kiedy uniósł wzrok, zobaczył tylko wpatrzone w siebie zimne oczy Cimmeryjczyka.

— To jest właśnie koniec, przyjacielu — usłyszał jeszcze nim ostrze żgnęło go pod brodę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

CZWARTY

Conanem opiekował się osobisty lekarz Amanhotepisa. Rana na boku okazała się dość ciężka. Cimmeryjczyk długo nie mógł dojść do siebie i zmuszony był pozostać w łóżu. Dopiero po jakimś miesiącu zaczął wychodzić z komnaty, próbował trochę jeździć konno, a nawet fechtować się, ale nadal szło mu to niesporo. W międzyczasie wojska króla Stygii opanowały cały kraj wyrzynając w pień zwolenników Seta, zburzono świątynie krwawego bóstwa, uwolniono przetrzymywanych w lochach więźniów.

Stygia pierwszy raz od wieków zdawała się być wolna od wszechwładnego panowania kapłanów. Amanhotepis znajdował czas na to, aby odwiedzać Conana i Cimmeryjczyk nawet polubił tego młodego, odważnego władcę. Ale ciągle myślał tylko o zemście na królu Vanaheimu i wyzwoleniu z niewoli Ylwy. W końcu nadszedł czas, gdy prawie że powrócił do dawnej siły i tylko czerwone blizny na dłoniach oraz paskudna szrama koło ust, świadczyły o tym, jak wiele niedawno przeszedł.

— Twój statek jest gotów do drogi — rzekł pewnego dnia Amanhotepis — popłyną z tobą Sedranafal, Selene i Amina. Na pełnym morzu pogrzebicie w falach Czarny Kamień. Potem płyn do Bossonu jak chciałeś. Za to co kazałem wladować na pokład kupisz sobie całą armię — uśmiechnął się lekko — i niech bogowie ci sprzyjają.

— Tobie też, Amanhotepisie. Kto wie może jeszcze kiedyś nasze drogi się zejdą.

— Będiesz zawsze najmilszym gościem — powiedział król, podając rękę Conanowi — nigdy nie zapomnę tego co dla mnie uczyniłeś. Powiedz mi jeszcze — zająknął się nagle i odwrócił wzrok — nigdy nie pytałem o to, ale ... ale czy wiesz jak ona zginęła?

Cimmeryjczyk przymknął oczy i znów zobaczył zbryzgany krwią ołtarz Seta, znów usłyszał krzyk pełen rozpacz i bólu. Znów ujrzał drwiącą twarz Sartapisa.

— Bardzo szybko — odparł wiedząc, że musi skłamać — śmierć była łaskawa i Nemfale nie musiała czekać na nią długo.

— To dobrze — odetchnął z ulgą Amanhotepis — nie wybaczyłbym sobie, gdyby musiała cierpieć z mojej winy — milczał chwilę — nie spotkamy się już. Muszę opuścić Khemi i wracać do Luxuru. Pamiętaj Conanie, gdybyś potrzebował pomocy, że od tej pory w Stygii masz przyjaciół.

Następnego dnia, w khemijskim porcie, Conan płynął już łodzią w stronę kołyszącego się na falach statku. Był to, jak większość stygijskich okrętów, smukły trój masztowiec o dwóch pokładach i wysokich burtach. Załoga składała się z sześćdziesięciu doświadczonych żeglarzy, dobrze uzbrojonych i mających doświadczenie we władaniu mieczem czy łukiem. Kiedy Cimmeryjczyk zszedł pod pokład do małej, okutej żelazem kabiny, jego oczom ukazało się szereg kufrów, a każdy wyładowany był złotem. Za to rzeczywiście można było kupić całą armię.

Wyłynęli z Khemi przy sprzyjającym wietrze i dobrej pogodzie. Pod pełnymi żaglami pomknęli w morze. Sedranafala wyjaśnił kapitanowi, gdzie ma kierować okręt i obaj zaznaczali coś na mapach. Selene i Amina obnażone do połowy grzały się w promieniach słońca, ściągając na siebie pełne pożądania i zachwyty spojrzenia załogi. Bardzo je to bawiło. Conan podszedł i usiadł obok nich.

— Nie podziękowałem wam jeszcze — rzekł z szerokim uśmiechem — więc czynię to teraz. Gdyby nie wy, zatłukli by mnie na tym fotelu.

— Och, chcieli ci zrobić coś znacznie gorszego — zachichotała Amina.

Selena położyła dłoń na kolanie Cimmeryjczyka.

— Wiem, jak możesz się nam odwdzińczyć — szepnęła kusząco.

— Nie wiem, czy król byłby tym zachwycony — odparł Conan.

— Ależ tak — wtrąciła Amina — kazał nam spełniać i odgadywać każde twoje żądanie — pochyliła się muskając ustami usta mężczyzny — właśnie zamierzamy to robić.

— Właśnie — dodała Selene podciągając dłoń wyżej.

— Jest tu tak gorąco, że należałoby schować się w kajucie — mruknął Conan i objął za ramiona obie dziewczęta — co powiecie na szklaneczkę wina, moje słońca?

Przytuliły się do niego i razem zeszli pod pokład. Po dniu spędzonym w ich towarzystwie Cimmeryjczyk, który do tej pory sądził, iż poznał wszelkie arkana miłości, czuł się jak dziecko, któremu nareszcie wyjawiono ważne tajemnice. Nigdy nie przypuszczał, że można kogoś aż tak bardzo pragnąć i znajdować tak wielką rozkosz w czyichś ramionach. Sheila była niebywale zręczną kochanką, ale Selene i Amina biły ją na głowę. Niespożyte w miłości, w odgadywaniu i uprzedzaniu jego żądań, w wynajdowaniu coraz to nowych zabaw sprawiły, że Conan marzył już tylko o tym, aby nie opuszczać łóża. W jednej z chwil odpoczynku, kiedy miał czas pomyśleć uznał, że Amanhotepis jest niezwykle szczęśliwym władcą.

Przez trzy dni nie wychodzili nawet na pokład. Przynoszono im tylko wino i jedzenie, ale i tak mieli niewiele czasu na biesiady, gdyż prawie wyłącznie poświęcali się uciechom łóża. Czwartego dnia rano Conan otworzył oczy i zobaczył sługę układającego na stole jedzenie.

— Wina — warknął.

Dostał pełen kubek. Wypił go jednym tchem. Selene zbudziła się, leniwym gestem odgarnęła opadający na czoło kosmyk włosów i ziewnęła.

— Ja też — poprosiła.

Cimmeryjczyk podał naczynie i znów zachwycił się pięknnością jej piersi, które odsłoniły się gdy wstawiała. Umoczyła usta w napoju, posmakowała i nagle gwałtownym ruchem odrzuciła kubek. Zerwała się z łoża. Stała z nie wiadomo skąd wyjętym sztyletem w dłoni. Za drzwiami usłyszeli trzask zapadających rygli. Amina zbudzona hałasem, zobaczywszy przygotowaną do walki przyjaciółkę, stanęła u jej boku.

— Crom i szatani! — krzyknął Conan. — Co się stało?

— To wino jest zatrute — powiedziała powoli Selene i nagłym ruchem przyłożyła ostrze do szyi niewolnika — mów, psie! — rozkazała.

Ten rozplakał się i upadł na kolana.

— Nic nie wiem, o pani. Kazali przynieść... ja nic nie wiem.

Dziewczyna odepchnęła go. Potoczył się pod ścianę.

— Zatrute — szepnął Conan błyskawicznie wsadzając sobie palce w gardło. Zaczął wymiotować ochlapując pościel i podłogę czerwonymi rzygowinami.

— To tylko cię uśpi — wyjaśniła spokojnie Selene — to dwuróżdzka, nie zrobi krzywdy.

Cimmeryjczyk poczuł nagle zawroty głowy, robiło mu się na przemian ciepło i zimno. Aż wreszcie przy płynęło ukojenie i uspokojenie. Przymknął oczy. Śpiąc już zwałił się na podłogę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Ocknął się i poczuł, że nie może ruszyć ręką ani nogą. Otworzył oczy i ujrzał czerwien zachodzącego słońca rozlaną na niebie. Rozejrzał się. Był przywiązany do masztu mocną, grubo spletaną liną. Stygijczycy gdzieś zniknęli. Zamiast nich na pokładzie krzżeli się czarni piraci odziani zaledwie w biodrowe przepaski, ze złotymi kolczykami w nosach i uszach, łańcuchami z zębów na piersiach i ostrymi, szerokimi kindzałami za pasem.

— Witaj wśród żywych, Conanie — dobiegł go głos. Spojrzał i zobaczył siedzącego wygodnie na krześle Sedranafala. Stygijczyk popijał wino i przyglądał się z uśmiechem związanemu Cimmeryjczykowi. Conan zmełł w ustach przekleństwo.

— Ha — powiedział Sedranafal — taki był mądry król i taki dzielny barbarzyńca. A obaj nie docenili biednego, cichego Sedranafala.

Conan zorientował się, że doradca Amanhotepisa jest pijany. Mówił bełkotliwie i słowa plątały mu się.

— A dlaczego to Czarny Kamień ma być wyrzucony? A może znajdzie się mag, który potrafi nad nim panować? A może Sedranafal znalazł takiego maga? A może ja też — rzucił nagle ostrym tonem i wstał — bym chciał panować? Co — czknął — barbarzyńco?

Zbliżył się. Zaczął bić Conana na odlew otwartą dłonią po twarzy. Cimmeryjczyk zacisnął usta i przymknął oczy. W końcu Sedranafal zmęczył się.

— Nie zabiję cię — obiecał pijackim głosem — tych dwóch dziwek też nie. Muszą być dobre skoro Amanhotepis je trzymał. Ha, nie pomyśleliście o Sedranafalu — łyknął z kielicha — nie pomyśleliście. Też mam łeb na karku, tak, też mam i powiem ci głupcze

kto będzie rządził światem. Wiesz kto? No, wiesz? Sedranafal będzie rządził światem, ty głupcze, ty. No, powtórz. Powtórz! — wrzasnął — kto będzie rządził światem?

— Sedranafal — powtórzył Cimmeryjczyk.

— I mam maga, co zapanuje nad władcą Kamienia. Za-pa-nu-je, rozumiesz to ty barbarzyńska świnię? Za-pa-nu-je. No i wtedy ten — Stygijczyk zamachnął się szeroko aż naczynie wypadło mu z dłoni — będę władcą świata. Będę władcą świata — powtórzył dobitnie.

— Gdzie Selene i Amina? — zapytał Conan — zabiłeś je?

Sedranafal roześmiał się.

— Przecież mówiłem ci ty głupku, że żyją. I będą żyć tak długo póki mi się nie znudzą. Co, tęskno ci za nimi, co? Nic z tego. Kazałbym ci wykastrować, zabić bym cię kazał, gdybym tylko mógł.

Conana uderzyły jego słowa. Czyżby nad Sedranafalem stał ktoś jeszcze? Czyżby ten ktoś zażądał, aby Cimmeryjczyk pozostał nietknięty? To budziło pewnie nadzieję. Zawsze lepiej być żywym, choć w niewoli niż wolnym i martwym. Sedranafal tymczasem zasnął. Przechylił głowę na ramię i głośno chrapnął. Conan naprężył mięśnie.

Głupcy. Jak można było tak lichy związać Conana Cimmeryjczyka? Czuł, że wystarczy tylko trochę wysiłku, a liny pękną. Ale musiał czekać. Do nocy. Aż zrobi się ciemno. A wtedy śmierć zbierze żniwo na tym statku. Czarni zabrali śpiącego Sedranafala pod pokład, jeden z nich sprawdził więzy Conana i zobaczywszy, że liny są nienaruszone, obnażył śnieżnobiałe zęby w szerokim uśmiechu i poklepał Cimmeryjczyka po policzku.

— Jutro ty dostać pić i mniam — rzekł w łamanym stygijskim — być spokojny noc, bo rżnąć, rozumieć?

Conan skinał głową i czarny odszedł. Cimmeryjczyk wiedział, że musi uciec, a przedtem zabrać obie dziewczyny. Ciekaw był jak piratom udało się je pokonać. Jeżeli doszło do walki, to załoga czarnych musiała się mocno przeredzić. Ale nie, to niemożliwe. Tygrysy króla umarłyby z bronią w ręku, a nie dały wziąć do niewoli. Pokonano je więc podstępem. Tak czy inaczej, nawet po uwolnieniu Aminy i Selene, nie ma co marzyć o opanowaniu statku. Zwłaszcza, że niedaleko Conan dostrzegł następną piracką galerę i był pewien, że nie ona jedna towarzyszy stygijskiemu okrętowi. Trzeba więc będzie zrzucić na wodę szalupę i próbować przez noc odpłynąć jak najdalej. Marny był

to plan, ale Cimmeryjczyk wiedział, że nie znajdzie lepszego. Najważniejsze jednak, to wkraść się do kajuty Sedranafala i zabrać Kamień. A wtedy pewne, iż statki piratów dokładnie będą przeszukiwać morze. Ale noc jest długa. Jeżeli tylko nie zmieni się pogoda, nie zacznie wiać wiatr, będą mieli duże szansę odwiosłować daleko stąd. A flauta utrudni pościg pirackim okrętom.

Zrobiło się już ciemno. Na niebie pojawiła się srebrna tarcza księżyca, ale szybko zasłoniła ją chmura. Nadszedł czas. Conan napiął z całych sił mięśnie. Liny wżarły mu się w ciało. Zacisnął zęby i naparł jeszcze mocniej. Już wydawało się, że będzie musiał ulec, gdy nagle usłyszał trzask. To pękła pierwsza lina. Potem drugi i trzeci. Cimmeryjczyk oswobodził ręce i spokojnie pozrywał więzy oplątujące uda i łydki. Przez chwilę stał spokojnie wsłuchując się uważnie póki nie usłyszał kroków strażników. Dwóch. Szli w milczeniu o paręnaście stóp dalej. Conan skoczył za nadbudówkę, schronił się za nią i gdy zobaczył czarnych tuż przed sobą, jego ręce wyprysnęły z przerażającą szybkością. Czarni nie zdążyli nawet jęknąć, gdy trzasnęły gruchotane kręgi. Cimmeryjczyk spokojnie odciągnął ciała na bok i wyrzucił za burtę. Głośny plusk i woda zawarła się nad trupami. Conan znów zniknął za nadbudówką i zaczął się zastanawiać,

gdzie piraci mogli trzymać Aminę i Seline. Przypomniała mu się obita żelazem kajuta. Tam stały kufry ze złotem. Tak, skarbiec byłby świetnym, bezpiecznym miejscem, aby więzić obie kobiety. Przy wejściu pod pokład stało dwóch piratów. Niefrasobliwie zatknęli noże za pas, odłożyli na bok włócznie i popijali wino z glinianego dzbana podając go z rąk do rąk. Conan przyczał się na daszku tuż nad nimi. Zeskoczył, jeszcze w powietrzu tnąc kindżalem gardło jednego z czarnych, a drugiego zdusił nim ten zdołał choć krzyknąć. Tym razem nie chciał już marnować czasu i wrzucać ciał do wody. Przeniósł tylko trupy kawałek dalej, przyrzucił stosem lin oraz brudnym kawałkiem żaglowego płótna. Ostrożnie, cicho zszedł po schodach. Na końcu korytarza zobaczył płomień oliwnej lampki, a w jego blasku dwóch piratów stojących przy okutych żelazem drzwiach. Korytarz był długi i wąski, niepodobieństwem było przejść nie dając się zauważyć. Zwłaszcza, że ci dwaj strażnicy mieli broń na podorędziu i nie zabawiali się dzbanem wina. Cimmeryjczyk nie mógł sobie pozwolić na najmniejszy hałas. Jeżeli któryś z czarnych krzyknie pokład zaroi się od wojowników. Conan zaczął zastanawiać się, z którego plemienia mogą pochodzić ci dwaj. Nieco jaśniejsza skóra wskazywałaby na Zingalezów, ale za to naszyjnik z kości na piersiach i przekłute nosy z zawieszony-

mi złotymi kołami upodabniały ich do Busztunów. Musiał zaryzykować, że to jednak Zingalezi. Ruszył szybkim krokiem w ich stronę.

— Przysyła mnie Sedranafal — mówił w ich narzeczu, które znał jeszcze z dawnych czasów — każe, żebyście przywieźli mu te kobiety — już był blisko. Strażnicy zdziwieni milczeli, a gdy zobaczyli go było za późno. Potężne dłonie zmiażdżyły im twarze, głowy huknęły o żelazne drzwi. Umarli nim poczuli ból i osunęli się lekko na ziemię, a z uszu płynęła im szara maź mózgu. Conan z wściekłością dostrzegł, że nie mają kluczy do skarbcza. Zresztą jak mógł się łudzić, że Sedranafal komukolwiek zawierzy.

Stygijczyk musiał je mieć przy sobie. Conan naparł na drzwi barkiem, ale wiedział, że nie da rady. Kute w żelazie, wsparte grubymi sztabami, wytrzymałyby chyba nawet napór słonia. Zdmuchnął płomień lampki i ze złością uderzył pięścią w otwartą dłoń. Trzeba iść do kajuty Sedranafala. W ogóle należało od tego zacząć. Ale to oznaczało, iż trzeba przejść wzdłuż całej pokład, bowiem pomieszczenia Stygijczyka znajdowały się na samej rufie.

— Crom i szatani! — warknął do siebie Cimmeryjczyk — jak tak dalej pójdzie, to nocy nie starczy.

Udało mu się jednak niepostrzeżenie przemknąć na rufę mijając jeszcze kilku piratów siedzących na pokładzie. Drzwi do kajuty Sedranafala były niestrzeżone, ale za to zaryglowane od środka. Nie mogłyby jednak sprawić trudności człowiekowi o sile Conana. Jednak hałas byłby z pewnością spory i nie wiadomo czy zaalarmowani czar-ni nie zdołaliby odciąć drogi powrotu. O uwolnieniu Aminy i Selene nie można było wtedy nawet marzyć. Cimmeryjczyk wiedział, że Stygijczyk z pewnością śpi twardym, pijackim snem i hałas go nie zbudzi. Co jednak z piratami siedzącymi niedaleko na pokładzie? Musiał zaryzykować. Oparł się plecami o przeciwległą ścianę i naparł stopami na drzwi. Wpierw ostrożnie, potem mocniej. Słyszał jak drewno i rygle trzeszcza. Mocował się tak długą chwilę, spocony, z twarzą nabiegłą szkarłatem, aż wreszcie rozległ się huk pękających zastaw, który Conanowi wydał się niewiarygodnie głośny. Drzwi runęły z łoskotem. Cimmeryjczyk wbiegł do wnętrza i skoczył w stronę łoża Sedranafala. Z boku płonęła nikłym blaskiem mała lampka. Stygijczyk spał nadal ciężko pochrapując. Z góry nie było słychać żadnych odgłosów, piraci więc chyba nic nie słyszeli. Conan wyciągnął kindżał i zrzucił z Sedranafala kołdrę. Tak jak się spodziewał, Sty-

gijczyk spał z kluczami, a Czarny Kamień Seta spoczywał w sakwie uwiązanej u pasa. Potrząsnął z całych sił królewskim doradcą. Raz, drugi i trzeci.

— Zbudź się — warknął ściskając mocno jego ramię. Ten nagle otworzył oczy. Przez chwilę zdumiony, mrugał nie mogąc dojść co się dzieje, aż wreszcie, gdy wzrok przyzwyczaił się do ciemności, dostrzegł pochylającego się Cimmeryjczyka. Zaczerpnął ze świstem powietrza, ale nie zdążył krzyknąć.

— Czas umierać — szepnął Conan wbijając ostrze prosto w jego serce.

Stygijczyk znieruchomiał z przerażeniem zastygłym w martwych źrenicach.

Cimmeryjczyk szybko zabrał klucze i sakiewkę, sprawdzając wpierw czy jest w niej naprawdę Czarny Kamień. Wybiegł na korytarz. Ruszył schodami prowadzącymi na pokład, gdy ujrzał na górze pirata pochylającego się ciekawie w głąb zejścia.

— A kto tu? — zapytał spokojnie czarny nie podejrzewając nic złego.

Conan zgarnął go błyskawicznie. Ale jednak nie dość szybko. Nim pękły gruchotane potężnym uściskiem kości, pirat zdołał wrzasnąć. Głośno, przenikliwie, wrzaskiem pełnym bólu, strachu i rozpacz. To musiała już usłyszeć reszta załogi. I usłyszała. Na pokładzie wszczął się rwetes, uszu Conana doszły krzyki i nawoływania, statek roz-

świetlił się ognikami pochodni. Cimmeryjczyk wiedział, że pozostaje mu tylko jedno. Długim skokiem z burty runął do wody. Zostawił Aminę i Selenę, lecz Kamień był ważniejszy. Na pokładzie usłyszano plusk, ale w ciemnościach nocy nikt nie mógł dojrzeć sylwetki poruszającej się na morzu. Conan wiedział, jak niewielkie ma szansę przeżycia. Mógł co prawda rankiem spotkać jakiś okręt, gdyż na tych wodach często pływały kupieckie statki, ale równie dobrze mógł natknąć się na rekiny. Albo po prostu umrzeć z wyczerpania. A jeśli zmieni się pogoda, jeżeli przyjdzie burza, a z nią fale, to nie będzie już ratunku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Wyspa była maleńka. W ciągu jednego popołudnia można ją było obejść, a i to nie wysilając się zbytnio. Groźnie sterczące z morza grzebienie raf, skutecznie zniechęcały kogokolwiek do przybijania ku jej brzegom. Ismail nie pamiętał już jak długo na niej mieszkał. Mógł to chyba tylko rozpoznać po starzeniu się własnej twarzy, po tym, że z biegiem lat jego smolistoczarne włosy pokryły się srebrem aż wreszcie całkiem posiwiały. Na wyspie nie zbywało mu na niczym. W lesie znajdował owoce, na plaży kraby, żółwie i mięczaki, hodował małe stado kóz, które dawały mu mleko i mięso. Nie potrzebował od świata niczego więcej. Czasem tylko wypływał na własnoręcznie skleco-

nej tratwie w pobliże raf i łowił ryby. Bał się jedynie zniedołężnienia i starości, chwili, kiedy nie będzie potrafił zdobyć jedzenia. Ale wiedział też, że jeżeli nie wydarzy się nic nadzwyczajnego, to ma przed sobą ładnych parę lat życia. Należał wszak do długowiecznego rodu. Tego ranka potruchał na plażę i korzystając z niedawnego przypływu, zbierał do kosza wyrzucone na brzeg rzeki raki i małże. Szedł spokojnie z trudem już co prawda pochylając plecy, gdy nagle zamarł. Na piasku leżał człowiek. Ismail przestraszył się. Nie tego rozbitka, który przecież nieprzytomny lub nawet martwy nie mógłby mu uczynić żadnej krzywdy. Przestraszył się samego widoku człowieka. Minęło tyle lat, że chyba już po prostu zapomniał jak wyglądają ludzie. Powoli zbliżył się. Przykucnął obok leżącego. Był to potężny mężczyzna, który nawet nieprzytomny i bezbronny wydawał się niezwykle groźny i silny. Twarde węzły mięśni uwypuklały się pod skórą, a liczne blizny pokrywające ciało świadczyły o burzliwej przeszłości rozbitka. Ismail dotknął jego piersi. Serce biło. Słabiutko, ale biło. Zamyślił się. Nie da rady przecież odciągnąć tego olbrzyma w głąb łądu. Musi go więc ocucić i zmusić do wstania. Zaczął klepać mężczyznę po twarzy, szarpać za ramiona. W końcu po długim czasie zmęczył się. A rozbitek nagle jęknął i odwrócił się na plecy. Zamrugał oczami, ale zamknął je

zaraz, bo słońce padało wprost na jego twarz. Zaczął macać wokół siebie lewą dłoń, natknął się na stopę Ismaila. Wolno obrócił się na bok i znów otworzył oczy. Ismail zdumiał się jak czujne było spojrzenie tego wyczerpanego, słabego człowieka.

— Kim jesteś? — zachrypiał rozbitek oblizując spękane wargi.

— To chyba ja o to powinienem zapytać — odparł łagodnie Ismail.

— Gdzie jestem? — spytał znów mężczyzna nie zwracając uwagi na słowa starca.

— Na mojej wyspie.

— Cóż to za wyspa? Kto tu rządzi? — rozbitek pokonał już chrypę. Jego lodowato-niebieskie oczy bacznie przypatrywały się starcowi. „Jak drapieżnik i zdobywcę” — pomyślał Ismail.

— To bezludna wyspa — odparł — mieszkam na niej od wielu lat.

Olbrzym próbował się podnieść, ale jęknął tylko i opadł z powrotem na plecy. Kiedy Ismail próbował mu pomóc, strzepnął gniewnie jego dłoń ze swego ramienia.

— Przynies mi coś jeść, człowieku — rozkazał — i wody, dużo słodkiej wody. Ruszaj!

Starzec zdziwiony pokręcił głową ale posłusznie wstał. Podreptał w głąb lądu i sam nie wiedział czy cieszyć się czy martwić z tego niespodziewanego towarzystwa. A ponieważ był mądry, wiedział, że nic nie dzieje się przez przypadek, nic nie jest spowodowane ślepym trafem i poddane bezmyślnemu losowi, a wszystko zawsze ma przyczynę i skutek, więc zastanawiał się jakie dalsze niespodzianki go spotkają i ręka, którego z bogów pchnęła na wyspę tego dziwnego rozbitka.

Conan tymczasem rozkurczył zaciśnięte dotąd palce prawej dłoni. Sakiewka z Czarnym Kamieniem w środku nie zniknęła. Całe szczęście. Odetchnął głęboko. Znow spróbował się podnieść, ale przerosło to jego siły.

— Bezludna wyspa — szepnął — Crom i szatani, nie mogło być gorzej.

Rzucił okiem na postrzępione grzebienie raf i zrozumiał, że nie dopłynie tu nigdy żaden statek. Nagle rozpaczliwy strach chwycił go za gardło. Zostać tutaj do końca życia byłoby nieszczęściem, przekleństwem bogów. Otrząsnął się. Z pewnością znajdzie jakiś sposób ratunku. Jeśli będzie trzeba popłynie nawet w morze na byle tratwie, na byle pniu, aby tylko wydostać się stąd. Miał jeszcze tak wiele do zrobienia. Zobaczył, że starzec powoli wraca, niosąc glinianą miskę i dzbanek z wodą. Chwycił naczynie

i łapczywie opróżnił je do dna. Odetchnął z ulgą i zaczął jeść. Nie było tego dużo. Jakieś jarzyny rozgotowane w mleku, trochę twardego mięsa. Pożarł wszystko w oka mgnieniu. Czknął głośno i otarł usta wierzchem dłoni.

— Uratowałeś mi życie, człowieku — powiedział.

— Też mi się tak wydaje — odparł uśmiechając się Ismail.

— Nazywam się Conan — rzekł po chwili — mój statek napadli piraci. Muszę się stąd wydostać.

— Nie uda ci się to — wzruszył ramionami starzec — cała wyspa otoczona jest rafami. Aby się przedostać przez przybój trzeba mieć dobrą łódź i wiele ramion do wiosłowania. Samotnie, nawet człowiek tak silny jak ty nic nie osiągnie.

Cimmeryjczyk zaklął. Udało mu się usiąść. Spojrzał w morze.

— Muszę się stąd wydostać — powtórzył z wściekłą rozpaczą.

— No, cóż, musiałbyś mieć skrzydła — uśmiechnął się Ismail — obawiam się, że jesteśmy skazani na siebie, na długi, długi czas. Żyję tu już wiele lat. I ty się przyzwyczaisz.

— Drwisz, czy co? — warknął Conan — ani mi to w głowie. Wolałbym zdechnąć niż zostać tutaj.

— A to już twoja rzecz — odparł rozkładając dłonie starzec.

Cimmeryjczyk spojrział na niego nieco łagodniejszym wzrokiem.

— Wiem, że uratowałeś mi życie — powiedział — i jestem ci wdzięczny, ale muszę wracać. Wybacz więc moją złość.

— Spróbuj wstać.

Conan podniósł się chwiejnie i wsparł na ramieniu Ismaila. Starzec aż jęknął pod jego ciężarem.

— To tylko parę kroków — sapnął z trudem łapiąc oddech — dobrze, że cię znalazłem. Gdybyś poleżał tu cały dzień, słońce mogłoby cię zabić. No, chodźmy.

Dotarli w końcu, po długim czasie oraz wielu postojach, bo i Conan i Ismail musieli odpoczywać, do chaty starca. Była ona obszerna, nad podziw wygodna i zadbana. Musiała dobrze chronić od deszczu czy wiatru, a przed palącymi promieniami słońca zasłaniały ją szerokie liście potężnego bananowca. Cimmeryjczyk zwałił się na posłanie. Odetchnął chrapliwie.

— Crom i szatani. Słabym jak dziecko.

Ismail już wcześniej dostrzegł, że jego gość kurczowo ściska coś w prawej dłoni.

Zaciekawiło go to.

— A cóż to za skarb udało ci się ocalić? — zapytał.

— Szczęśliwy talizman — burknął Conan niechętnie.

— Możesz mi go pokazać?

Cimmeryjczyk zastanowił się przez chwilę. W końcu jednak pomyślał, że przecież nic się nie stanie jak pokaże Kamień starcowi. A odmowa mogłaby zabrzmieć dość dziwnie. Otworzył więc sakiewkę i wyjął Kamień.

— Nic takiego — mruknął — po prostu szczęśliwy talizman.

Nagle zobaczył jak twarz starca ściągnęła się, a oczy zapłonęły dziwnym blaskiem.

— O, Mitro — szepnął Ismail — Czarny Kamień Seta. Czułem to. Czułem, że coś się dzieje.

Conan zacisnął błyskawicznie dłoń i schował ją za plecami.

— Kim jesteś — spytał ostro — kimże, na Croma, jesteś?

— Jestem Ismail, samotny starzec na samotnej wyspie — odparł Ismail, a jego twarz znów złagodniała — lecz kiedyś nazywałem się Tolnotos i byłem kapłanem Mitry w Kordavie. Byłem czarnoksiężnikiem. Bardzo potężnym, dufnym we własną siłę.

— Więc co? Co się stało?

Ismail dał znak Conanowi, by mu nie przerywał.

— Wyruszyłem na południe i tam na przerażających cmentarzyskach Kushu, w nieskończonych labiryntach Xuchotlu utraciłem moc. Nie pamiętam w jaki sposób wróciłem do Zingary, ale błagałem tylko o jedno. Abym mógł samotnie żyć do końca swych dni na jakiejś bezludnej wyspie, gdzie nigdy już nie ujrzę człowieka. A teraz po latach zjawileś się ty. I to z Czarnym Kamieniem. Dziwnie bogowie przędą ludzkie losy. Będziesz mi musiał chyba wiele opowiedzieć Conanie. Świat nigdy nie był wesoły, ale teraz, gdy twór Seta wreszcie się odnalazł, może stać się jeszcze gorszy — pokręcił wolno głową — nigdy bym nie pomyślał, że coś takiego jeszcze mnie spotka. No, no.

Cimmeryjczyk opowiedział mu wszystko co go spotkało od kiedy spotkał Ymirferda. Ismail słuchał uważnie, nie przerywając. W końcu Conan skończył mówić.

— I tak znalazłem się tutaj — dodał — a teraz powiedz jako człowiek mądry, ty który byłeś magiem, co mam robić?

— Cóż mogę poradzić? — odparł sztywno Ismail — skoro nie wiem nawet jak ci pomóc w wydostaniu się z wyspy. Gdybym miał dawną moc — potrząsnął głową — pamiętam zaklęcia, formuły, gesty, wszystko czego się nauczyłem, ale to już tylko puste słowa. Słowa pozbawione mocy tworzenia, zlepek nie oznaczających nic wyrazów. Niestety, Conanie, jestem tylko starym człowiekiem i nie mogę nic dla ciebie zrobić.

Cimmeryjczyk spojrział na niego nieprzekonany.

— Moc odchodzi i moc przychodzi — rzekł — skoro ją straciłeś równie dobrze możesz zyskać.

— Chyba tak — odparł po długim milczeniu Ismail — wiele razy zdawało mi się, że mógłbym na nowo stać się magiem. Lecz, widzisz Conanie, ja nie pamiętam co się stało, gdy byłem na cmentarzyskach Xuchotlu. A stało się tam coś tak strasznego, że nawet niejasna myśl o tym wzbudza moje przerażenie. Gdybym odzyskał moc, odzyskałbym również pamięć. A ja nie chcę pamiętać. Pomogę ci ukryć Kamień na tej wyspie. Miną wieki nim ktokolwiek go znajdzie. A ty będziesz musiał pogodzić się z losem. Wybacz,

ale nie mogę ci nic więcej ofiarować — umilkł i przez chwilę bacznie przyglądał się Cimmeryjczykowi — tak — rzekł w końcu — zwłaszcza, że ty przecież teraz nie chcesz wcale ukryć Kamienia. Chcesz oddać go za życie żony, prawda? Więc dobrze się stało iż morze wyrzuciło cię na ten brzeg. Nigdy się stąd nie wydostaniesz i nikt nie użyje mocy Seta. Nawet ja, za lat swej największej siły, nie mógłbym się mierzyć z Władcą Kamienia — wstał z miejsca — idę skończyć zbieranie na plaży — rzekł — a ty leż i odpoczywaj. Jak dojdiesz trochę do siebie, popłyniemy na ryby.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Conan przez następne dni usilnie pracował nad zrobieniem tratwy. Miał tylko stary topór Ismaila i jego stępiały, nadżarty przez rdzę nóż, ale w końcu udało mu się sklecić tratwę o wiele solidniejszą od tej, na której starzec wypływał po ryby. Lecz pasmo raf było rzeczywiście nie do przebycia. Przybój rzucił Cimmeryjczyka na skały, rozbił drewno w drzazgi, a sam Conan ledwo żywy i poraniony z trudem dotarł z powrotem do brzegu. Wiedział już, że jest skazany na tę wyspę. Nie da się z niej odpłynąć, a nikt z pewnością się nie zjawi skoro nie zjawił się przez wszystkie poprzednie lata. Cimmeryjczyk popadł w ponure odrętwienie. Czas spędzał głównie na wrzynającej się w morze

wysokiej skale i stamtąd tęsknym wzrokiem wpatrywał się w bezkres morza. Minał miesiąc, a może nawet półtora (Conan dawno zatracił rachubę), kiedy pewnego wieczoru, gdy słońce schowało się już za morzem pozostawiając jedynie niknący pas czerwieni, Ismail wdrapał się na skałę, gdzie przesiadywał Cimmeryjczyk. Conan słyszał kroki, ale nawet nie odwrócił głowy. Starzec ciężko sapiąc przysiadł obok niego.

— Spróbuję — rzekł cicho — od kiedy przybyłeś nie znałem spokoju. Muszę zmierzyć się ze swoim strachem. Muszę przypomnieć sobie, co zaszło na cmentarzyskach Xuchotlu.

Cimmeryjczyk spojrział na niego z nagle, na nowo obudzoną nadzieją.

— Odzyskasz moc? — zapytał.

— Być może — odparł Ismail — ale kto wie czy nie doprowadzi mnie to do śmierci lub szaleństwa. Pójdę teraz, Conanie. Pójdę w głąb wyspy. Nie powinieneś oglądać tego co się stanie. Jeżeli nie wrócę, cóż, poszukaj mojego ciała i pogrzeb je. I niech ci bogowie sprzyjają, choć wiem, że te słowa tutaj brzmią jak drwina.

Podniósł się ciężko, opierając na ramieniu Cimmeryjczyka. Powoli zaczął schodzić ze skały. Conan patrzył za nim póki Ismail nie zniknął w mroku. Starzec tymczasem

wszedł w las, aż w końcu, gdzieś już po drugiej stronie wyspy, przysiadł na kamieniu. Odetchnął głęboko. Słyszał jak mocno bije mu serce, czuł pot spływający zimną strużką wzdłuż kręgosłupa. Bał się. Potwornie. Wspomnienie koszmaru z Xuchotlu było wystarczająco przerażające. Co się stanie, gdy wróci pamięć o nim? Przypomniał sobie jak ocknął się w łodzi dryfującej na pełnym morzu. Wiedział tylko, że musi wracać do Kordavy. Nic poza tym. Nie pamiętał kim był ani jak się nazywa, ostatnim wspomnieniem był tylko paraliżujący, zatykający dech w piersiach strach. Miał olbrzymie szczęście, gdy po wielu dniach, na spragnionego i spalonego słońcem, natknął się zingaryjski statek. Kapitan poznał maga i natychmiast zmienił kurs kierując się z powrotem do Kordavy. Tam pod troskliwą opieką kapłanów Tolnotos odzyskał pamięć o wszystkim prócz tego, co się stało w Xuchotlu. No i nie odzyskał już mocy. Myślał, że spokojnie dokona dni na tej bezpiecznej, cichej wyspie, ale widać bogowie postanowili inaczej. Widać zdecydowali, aby podjął walkę. Z własnym przerażeniem i z Czarnym Kamieniem Seta, którego szaleńcy chcieli użyć nie znając nawet jak wielką posiada moc niszczenia i nie wiedząc, iż nikt nie jest w stanie użyć go, aby czynić dobro.

Splótł palce na kolanach, aby uspokoić drżenie dłoni. Przymknął oczy i zaczął równo, miarowo oddychać. Z ust popłynął potok słów. Moc była tuż obok, wiedział o tym, była w nim, gotowa powrócić. Wystarczyło tylko otworzyć bramę. Wreszcie po długiej chwili, z nowo obudzoną nadzieją, z nowo obudzoną siłą, otworzył tę bramę. Krzyknął głośno i przerażająco, a jego krzyk wzniósł się w powietrze. Huragan uderzył w drzewa i przygiął je do ziemi. Krzyk trwał. Conan daleko, prawie że na przeciwległym brzegu wyspy upadł na ziemię i zasłonił uszy dłońmi. Krzyk trwał. Do stóp Ismaila spadł martwy ptak. Drzewo obok zważyło się z hukiem obnażając wyrwane z ziemi korzenie. I w końcu krzyk ucichł. Mag przypomniał sobie wszystko. Odzyskał moc, ale nawet ona, nie potrafiła odpędzić pamięci o koszmarze i wszechogarniającego strachu. Wiedział, że będzie mógł nad nim panować, okiełznać go, ale nigdy do końca życia się go nie pozbędzie.

Podniósł się z kamienia i ruszył w stronę domu. Spokojnym, twardym krokiem młodego człowieka. Minęło gdzieś znużenie i zmęczenie, starość uciekła. Mimo, że siwy, o pomarszczonej twarzy miał w sobie siłę i rzeźkość młodzieńca. Świat stał przed nim otworem. Dość tego dobrowolnego wygnania.

Kiedy Conan zobaczył powracającego starca wyskoczył mu naprzeciw.

— Jesteś Ismailu — rzekł — to dobrze, bo już. . .

— Nazywam się Tolnotos — odparł mag — nie ma już Ismaila.

Cimeryjczyk ze zdumieniem usłyszał jak zmienił się głos kapłana. Z cichego stał się twardy i wyniosły, nasycony władczym dostojeństwem. I oczy też się zmieniły. Teraz były zimne jak dwa kryształy lodu, a spoglądały z badawczą przenikliwością.

— A więc jednak. . .

— Tak — nie dał mu dokończyć mag — lecz pamiętaj, nigdy o nic nie pytaj. Czas zająć się przyszłością. Teraz możemy już uciec z wyspy.

— Jak?

— Zbuduj tratwę.

— Ale po co, skoro wiesz. . .

— Zbuduj tratwę — powtórzył lodowatym głosem Tolnotos i odwróciwszy się plecami do Conana poszedł w stronę morza.

Cimeryjczyk zrobił tratwę, jeszcze solidniejszą od poprzedniej. Długo pracował przy niej dumając nad zmianą jaka zaszła w starcu. Teraz był to milczący człowiek,

szukający samotności i wydawało się, że każda rozmowa z Conanem sprawia mu przykrość. Wreszcie, kiedy Cimmeryjczyk skończył budować tratwę i spuścił ją na wodę, mag zszedł na brzeg.

— Maszt — rozkazał krótko.

Conan nie pytał już po co maszt skoro nie było z czego uszyć żagla. Ale Tolnotos, gdy wrócił niósł w dłoniach kłęb czegoś szarego, na wpół przeźroczystego i niezwykle lekkiego. Rozwiesił to na maszcie.

— Nie waż się dotknąć żagla — przykazał — w żadnym wypadku, pamiętaj, a teraz odbijamy.

— Nie chcesz nic stąd zabrać? Mag roześmiał się sucho.

— A co? — zapytał. — Chatę? Stado kóz?

Cimmeryjczyk wzruszył ramionami i wypchnął tratwę na głębszą wodę. Przybój szalał. Pieniste bryzgi rozbijały się na rafach, huk fal stawał się coraz silniejszy.

— I co teraz?

Tolnotos nie odpowiedział tylko stanął twarzą do morza, uniósł dłoń i wyrzekł głośno kilka słów w dziwnym, chropawym języku. Fale opadły. Po chwili już tylko ma-

leńkie języki wody lizały rafy. Morze było spokojne jak jezioro. Wtedy mag znów wypowiedział parę słów, znów wykonał gest w powietrzu i dmuchnął w dziwny żagiel. Tratwa pomknęła niczym popchnięta mocnym, sprzyjającym wiatrem. Tolnotos odwrócił w stronę Conana ściągniętą w uśmiechu twarz.

— Moc powróciła — rzekł gromkim głosem — potężniejsza niż dawniej. A jakże byłbym potężny, gdybym miał Czarny Kamień.

Zauważył zmianę jaka zaszła w twarzy Conana i roześmiał się.

— Nie bój się Cimmeryjczyku. Zbyt jestem mądry, aby mierzyć się ze sługą Seta.

— Dokąd płyniemy?

— Na wybrzeże Zingary. Wszak nie dopłyniemy do Vanaheimu na tej tratwie.

— A więc płyniesz ze mną.

— Czyż mówiłem kiedyś inaczej, człowieku? Pomogę odzyskać ci żonę, choć wierz mi, że nikt z ludzi nie jest wart takiego zachodu. Ale tylko to. Przysługa za przysługę. A potem zniszczymy Czarny Kamień.

— Cóż chcesz uczynić po wszystkim? — zapytał Cimmeryjczyk.

Twarz maga ściągnęła się jakby pod wpływem nagłego bólu.

— Powrócę tam, gdzie moje miejsce — rzekł cichym głosem — powrócę, by znów stanąć twarzą w twarz ze strachem.

Conan wzruszył ramionami i odwrócił się.

— Jak można się dziwić, że ginie magia skoro magowie nie uczą się na błędach — mruknął sam do siebie, tak aby Tolnotos nie usłyszał jego słów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Dotarli do brzegów Kamdu — małego zingaryjskiego portu na samym południu. Nim znaleźli się w pobliżu ludzi, Tolnotos jednym gestem pozbył się żagla, a ten odpłynął nad morze jako tuman siwej mgły. W porcie nie dziwiono się im zbyt, bo spotykano tam często większych dziwaków od ludzi, co podróżują tratwą. Tolnotos zszedł na brzeg i rozejrzał się wokół nagle rozjaśnionym wzrokiem.

— Stały ład — westchnął — ech, jak dawno nie miałem go pod stopami. Idź — zwrócił się do Conana — kupić jakieś ubrania dla nas obu, no i spraw sobie broń — wysypał w dłoń Cimmeryjczyka garść złota. — A skąd to? — zdziwił się Conan.

— To tylko złudzenie. Zniknie, gdy odpłyniemy.

— Nie będą nas tu mile wspominać — mruknął Cimmeryjczyk i poszedł w stronę targu.

Targ był oczywiście nieporównanie mniejszy niż w Kordavie, a i znacznie uboższy. Głównie handlowano rybami, lecz gdy człowiek się rozejrzył mógł kupić dobry przyodziewek i niezłą, choć nie mistrzowskiej roboty, broń. Conan sprawił sobie krótki, szeroki miecz z dobrej stali i wąski, ostry jak brzytwa pugińał. Kupił też ubranie dla siebie i maga, w tym dwa ciepłe, wełniane płaszcze podbite futrem, gdyż wiedział, że im bliżej będą Vanaheimu, tym dni i noce staną się zimniejsze. Płacąc złotem Tolnotosa wciąż bał się, że nagle rozplynie się ono w powietrzu, ale złoto jak złoto nie budziło niczyich podejrzeń mimo, że kupcy czujnie sprawdzali je zębami. Kiedy wrócił na wybrzeże, kapłan dobijał właśnie targu z kapitanem niedużego dwumasztowego okrętu. Kapitan, był to stary Shemita, o pociągłej, spalonej wiatrem i słońcem twarzy, z wielkim orlim nosem. Nie był zachwycony podróżą do Vanaheimu, ale brzęk złota przekonał go do tej podróży. Załoga składała się z dwunastu tęgich osiłeków, którzy sprawiali wrażenie, że nieobce jest im nie tylko żeglowanie, ale również walka.

— Odpływamy jutro — obwieścił Tolnotos — kapitan kupi tylko żywność, napelni beczki wodą i ruszamy.

Dostali wspólną kajutę, małe zatechłe pomieszczenie bez okien, rojące się od szczurów i pluskiew.

— Jak za dawnych czasów — mruknął Conan kładąc się na rozciągniętej na podłodze słomie. Ziewnął szeroko — spać, spać — westchnął przewracając się na drugi bok.

— Będą próbowali nas zabić — rzekł Tolnotos.

— Och, na pewno — odparł sennie Cimmeryjczyk — ale to dopiero na morzu.

I rzeczywiście tak się stało. Trzeciej nocy do kajuty wpadło czterech ludzi z nożami w dłoniach. Ale Conan i Tolnotos czuwali. Potem kapitan musiał rozkazać reszcie załogi, by wynosiła trupy i rzucała za burtę oraz własnoręcznie myć zakrwawioną podłogę. Cimmeryjczyk leniwie żgał ostrzem pugiuału jego pochylone plecy.

— Nie wolno napadać podróżnych — mówił przy każdym pchnięciu, a Shemita zabawnie podskakiwał i kwiczał jak świnia.

W każdym razie napad już się więcej nie powtórzył i obaj mogli spać spokojnie. Groziło im jednak jak zwykle, inne niebezpieczeństwo. Piraci. Gdyby spotkali Vanirów Conan zapewne zostałby przez któregoś poznany zwłaszcza, że jego sława w Vanaheimie, po zabiciu Eklostasa i otrzymaniu od Hrodwiga statku z załogą, znacznie wzrosła. Gorzej by było, gdyby natknęli się na kogo innego, ale okręt Shemity był zwrotny i szybki, a załoga choć teraz nieco uszczuplona, to przecież dobrze wyszkolona. Zagroźą im też burze, które o tej porze roku lubiły szaleć nad oceanem i w tym wypadku nie pomogłaby nawet magia Tolnotosa. Dotarli jednak szczęśliwie do kraju Vanirów. Oszczędziła ich i pogoda i piraci. Dopłynęli gdy zaczęły wiać mocne wiatry ze wschodu niosące śnieg i mróz, gdy skały Vanaheimu pokrył już srebrny szron znamionujący zbliżającą się zimę. Kapitan odpłynął znów w morze nie wiedząc, że uwozi złoto, które za parę czy paręnaście dni zniknie, a Conan i Tolnotos zatrzymali się w gospodzie na obrzeżach miasta. Tam też uzgodnili plan, dzięki któremu mieli się dostać do zamczyska Hrodwiga.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

DZIEWIĄTY

Hrodwig miał czujny sen. I dlatego nagle w nocy otworzył oczy przekonany, że coś się stało. Dostrzegł pochylającą się nad łóżem potężną postać.

— Kto tu? — chciał krzyknąć, ale z jego ust wydobył się tylko szept.

Ciężka dłoń spoczęła na jego twarzy.

— Nie wołaj o pomoc, jeśli ci życie mile — usłyszał groźny głos, po czym dłoń uniosła się.

Hrodwig przymrużył oczy.

— Conan — powiedział — to ty, prawda?

Cimmeryczyk spojrział na zakopanego w pierzynach władcę. Pomyślał, że Hrodwig bardzo postarzał się od czasu, gdy widział go ostatni raz. Ileż to już miesięcy minęło? Dwanaście? Piętnaście?

— Przyszedłem po moją żonę, zdrajco — rzekł Conan pochylając się tak nisko, że władca poczuł na twarzy jego gorący oddech.

Przełknął nerwowo ślinę.

— Wysłuchaj mnie, błagam — powiedział szybko — była zaraza, to nie moja wina. Mnóstwo ludzi umarło, ale to los, ja dbałem o nią, żyła jak królowa, na Ymira, przy. . .

Conan jęknął głucho i jego palce zacisnęły się na starczej szyi. Hrodwig zacharzał.

— Puść! — rozkazał silny głos i Cimmeryczyk powoli jakby wbrew sobie rozluźnił uchwyt.

Z cienia wyszedł Tolnotos.

— On mówi prawdę — powiedział spoglądając na Hrodwiga, który siedział na łożu dławiąc się i próbując złapać dech — to rzeczywiście była zaraza i dosięgła twoją żonę.

Conan roześmiał się jakimś złym, rozpaczliwym śmiechem.

— Więc wszystko na nic. Ylwa nie żyje.

— Tak. Chodźmy stąd. Zabij go jeśli chcesz i zapomnij o wszystkim. Chodźmy.

Nagle pchnięte potężnym uderzeniem drzwi rozwarły się na oścież i do środka sypnęły się zbrojni. Pochodnie rozjaśniły mrok. Conan i Tolnotos dostrzegli kilku kuszników z przygotowaną do strzału bronią.

— Nie tak prędko — doszedł ich uszu cichy głos z progu i dwaj słudzy wnieśli krzesło z siedzącym na nim Rynherdem — nie zabijecie nikogo i nie wyjdziecie już stąd.

Tolnotos postąpił krok naprzód tak, że znalazł się w dobrze oświetlonym miejscu.

— A kim ty jesteś? — zapytał Rynherd — nie wyglądasz na mordercę.

— Jestem Tolnotos z Kordawy — odparł spokojnie mag.

Brat króla gwałtownym gestem rozkazał, aby podprowadzono go bliżej przybysza.

— Poznaję cię — wyszeptał — na tyłu obrazach widziałem twą twarz, tyle rzeźb. Przybyłem do Zingary w dwadzieścia lat po twoim odejściu. Ale nadal czczono tam

twoje imię — pochylił z wysiłkiem głowę — bądź pozdrowiony, najmędrszy z najmędrszych, i niech mój dom stanie się twoim domem.

— Niech pokój panuje w naszym domu — odparł, jak należało, Tolnotos.

Rynherd niecierpliwym gestem odprawił zbrojnych, a oni zdziwieni niespodziewanym obrotem rzeczy powoli wyszli.

— Jak mogłeś pożądać Czarnego Kamienia? — w głosie Tolnotosa zadźwięczał gniew — ty uczeń moich uczniów? Czyż jesteśmy tak samo bezrozumni jak te psy Seta? Czyż nie wiesz, że nikt nie potrafi opanować Władcy Czarnego Kamienia dłużej niż na chwilę? Że ten kto raz go przyzwie, nie znajdzie sil by sprzeciwić mu się za drugim razem?

— A jednak żył wielki Sen al Bendżija i władał Kamieniem przez długie lata. . .

— Póki nie przegrał! — warknął wściekle Tolnotos — panował nad sługą Seta, przyznam, lecz w końcu demon zapanował nad nim!

Hrodwig rozkaszał się nagle potężnie i wszyscy zwrócili na niego uwagę. Władca odcharknął, otarł wierzchem dłoni usta i rozejrzał się wściekłym wzrokiem.

— Dlaczego odwołałeś ludzi, głupcze? — krzyknął do Rynherda — dlaczego nie zabiłeś tego wściekłego psa — wskazał palcem Cimmeryjczyka — i tego starca?

— Milcz — rozkazał Tolnotos tak strasznym głosem, że nawet Conan poczuł jak przechodzi go drżenie. Hrodwig skulił się na łożu, przerażony i ogłupiały.

— Zdobyłeś Kamień? — zwrócił się Rynherd do Conana.

Cimmeryjczyk skinął głową.

— A więc jednak. Znalazłeś. Dokonałeś tego, czego ja dokonać nie zdołałem. Pokaż mi go, Conanie — poprosił błagalnie — pokaż mi go.

Cimmeryjczyk spojrział w stronę Tolnotosa, a mag przyzwalająco skinął głową. Wtedy Conan wyjął Kamień z sakwy i na wyciągniętej dłoni pokazał go Rynherdowi. Vanir głośno przełknął ślinę.

— Tyle lat więzienia i tortur, tyle cierpień, stracona młodość, zniszczone życie. Wszystko dla niego. Daj mi go do rąk. Na chwilę, przysięgam. Chciałbym tylko poczuć bijącą z niego moc.

— Zbyt wielka pokusa, Rynherdzie — pokręcił głową Tolnotos i dał znak Cimmeryjczykowi, by schował Kamień. Vanirowi opadły dłonie i westchnął ciężko.

— Chcecie go zniszczyć, prawda? — raczej stwierdził niż spytał.

— Nie można go zniszczyć — odparł Tolnotos — możemy co najwyżej spróbować ukryć go tak, aby długo nie ujrzał dziennego światła i ludzi. Chociażby na dnie oceanu. Rynherd roześmiał się starczym, suchym śmiechem.

— A oto i ja mogę pouczyć wielkiego maga — powiedział. — Kamień można zniszczyć. Odkryli to Kordavijscy kapłani w księdze Nathaniela.

— Odnaleźli ją, więc — rzekł w zadumie Tolnotos — tyle rzeczy się wydarzyło od czasu mego odejścia. Ha, księga Nathaniela. Jakżebym chciał ją ujrzeć. Ale mów. Jak zniszczyć Kamień?

— Jest takie miejsce, gdzie utraci on swą moc — wyjaśnił Rynherd — w Kushu.

— W Kushu? — Tolnotos zmarszczył brwi.

— Dokładnie na cmentarzyskach Xuchotlu.

Mag chwycił raptownie dech w płuca i zamknął oczy. Conan dojrzał jak bardzo usiłuje powstrzymać drżenie dłoni.

— Wybacz — mruknął Rynherd — wiem, że niemiłe to dla ciebie przypomnienie.

— Niemiłe — powtórzył wolno Tolnotos jakby smakując to słowo — tak, niemiłe — otworzył oczy. Jego twarz była trupio blada.

— Utraconą moc można odzyskać — wtrącił Conan.

Rynherd wzruszył ramionami.

— Człowiek tak, nie przedmiot — rzekł.

— A więc wiem już czemu morze wyrzuciło cię na mój brzeg, Cimmeryjczyku — powiedział Tolnotos — to mnie bogowie każą zniszczyć dzieło Seta. Mnie, który jedyny na świecie znam i przeżyłem przerażający koszmar Xuchotlu — mówiąc te słowa aż wzdrygnął się.

— Nie takie to łatwe — uśmiechnął się złośliwie Rynherd — jedynie ten może zniszczyć moc Kamienia, kto choć raz wezwał jego władcę.

— A więc taka jest pułapka — mruknął mag i zacisnął nerwowo dłonie — któż przetrzyma potęgę sługi Seta?

— Jeśli nie ty, to nikt — odparł głucho Vanir.

— Czy wiesz na jaką pokusę wystawiasz mnie, a świat na jakie niebezpieczeństwo? Co będzie, gdy moja moc połączy się z mocą sługi Seta? Nikt nas wtedy nie pokona. A moja dusza na wieki pograży się w otchłani.

— Twoja wola — odparł Rynherd — może naprawdę lepiej wyrzucić go w morze.

— Lecz miną wieki i wyłoni się znów. Zło zawsze powraca — rzekł zamyślony Tolnotos — nie wiem co zrobić — westchnął — każ przygotować jakiś posiłek i komnatę, gdzie moglibyśmy odpocząć. Kto wie może sen będzie moją mądrością.

Rynherd skinął głową.

— Dobrze — powiedział — lecz nie przystępuj do walki, jeśli jest w tobie choć kropla strachu czy niepewności.

Tolnotos roześmiał się niewesoło.

— Jest we mnie ocean strachu i niepewności — odparł.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Byli w komnacie tylko we trzech. Rynherd jak zwykle unieruchomiony na swoim krześle, Conan stojący w kącie pod oknem i Tolnotos. Mag mruzczał z cicha jakieś zaklęcia i rysował na podłodze komnaty zawile wzory. Ustawiał też płonące różnokolorowym ogniem świece i miseczki z kadzidłami. Wreszcie wyprostował się i stanął pośrodku kręgu. Jego twarz, skupiona i napięta, połyskiwała w świetle kolorowych ogni, wszystko zasnuwał gęsty, mdlący dym kadzideł. Tolnotos wyciągnął ręce trzymające Czarny Kamień. Conan znów zobaczył to samo co na murach Khemi. Wpierw wokół dłoni maga pojawiła się drżąca czarna poświata. Potem ciemny wir zdawał się przesłaniać postać

kapłana aż wreszcie słup dymu otoczył go, a gdy zniknął, obok Tolnotosa, ale krok poza kręgiem, stał władca Kamienia. Tak jak przedtem w smolistoczarным płaszczu z twarzą zasłonięty kapturem.

— A więc jesteś — usłyszeli wibrujący głos — o najmędrzy z magów — rękawy płaszczu załopotwały jak skrzydła — i zamierzasz mnie zniszczyć.

— Twoje miejsce jest w otchłani — rzekł twardo Tolnotos. Jego twarz była blada, czoło pokryło się kroplami potu.

— Więc znów udasz się do Xuchotlu — rozległ się śmiech, straszny, wibrujący, w którym czaiła się jakaś niewysłowiona groza i złośliwość — znów chcesz stanąć twarzą w twarz ze strachem? Przypomnij sobie ten strach magu, przypomnij. . .

— Nie! — krzyknął Tolnotos i chrapliwym głosem wyrzekł kilka słów w obcym języku.

Władca Kamienia drgnął jak dźgnięty nożem i okręcił się wokół własnej osi rozpościerając ręce.

— A więc czego chcesz? — spytał w końcu — wiesz, że musisz żądać, magu, a ja spełnię to żądanie. A potem — znów króciutko rozbrzmiał złośliwy śmiech — nadejdzie czas zapłaty.

Nagle władca Kamienia odwrócił się w stronę Conana.

— Pamiętam cię. Stałeś na murach Khemi. Widzisz mnie po raz drugi, człowieku i niewielu może to o sobie powiedzieć. Straciłeś żonę, prawda? Ach jaka była piękna i dobra, przypomnij sobie.

— Nie, Conanie! — krzyknął Tolnotos.

Ale Cimmeryjczyk już pogрузił się w myślach o przeszłości. Wspaniała i cudowna. Jej twarz, jej włosy, jej głos, jej dotyk.

— Dlaczego nie powiedziałeś mu, magu, że mogę ją wskrzesić? — zahuczał głos władcy Kamienia.

Conan wyrwał się ze świata marzeń.

— Możesz? — spytał drżącym głosem — uczyn to, na Ymira! Uczyn!

— On nie może tego zrobić — rzekł ostro Tolnotos — nikt nie potrafi wskrzeszać zmarłych.

— Nie wierz mu. Kłamie — wsączył się w uszy Cimmeryjczyka jedwabiście miękki głos.

— Kłamiesz! — krzyknął Conan chwytając rękojeść miecza.

Mag poświęcając wszystkie siły walce z władcą Kamienia, który wciąż słał mu przed oczy obrazy z cmentarzysk Xuchotlu, nie mógł powstrzymać Cimmeryjczyka.

— Dobrze — rzekł — wskrześ jego żonę! — rozkazał. Czarna postać skłoniła głowę.

— Twoja wola, magu.

Znów załopotwały w powietrzu czarne rękawy, a w komnacie rozbrzmiała jakaś dziwna, żalosna pieśń, jękliwe zawodzenie, dziurawiące uszy i przenikające na wskroś ciała. Władca Kamienia skinął dłonią, a drzwi komnaty wyrwane z zawiasów runęły z hukiem na podłogę. W progu stała Ylwa. Piękna jak dawniej, uśmiechnięta kusząco. Skinęła dłonią na Cimmeryjczyka.

— Nie idź! — krzyknął Tolnotos, ale Conan już pędził, aby chwycić ją w ramiona. Ona odwróciła się na pięcie i zniknęła w korytarzu, a Cimmeryjczyk pognął za nią.

— Spełniłem twe życzenie — powiedział władca Kamienia — a teraz czas zapłaty, lecz wpierw posłuchaj mnie maga.

Tolnotos opuścił dłoń, ale czujny i gotów do ataku, nie spuszczał wzroku z przeciwnika.

— Nie kupię cię złotem ani władzą. Nie obchodzą cię kobiety, królestwa i bogactwa. Ale wiem czego pragniesz, sługo Mitry. I ja ci to dam. Zaprowadzę cię bezpiecznie do labiryntów Xuchotlu, a ty sięgniesz w głąb pradawnej wiedzy sprzed tysięcy lat. Znajdziesz tam odpowiedź na każde pytanie, poznasz magię potężniejszą od wszystkiego, co mógłbyś sobie wyobrazić. Lata, a może wieki miną nim zgłębisz tajemnicę, lecz w Xuchotlu czas nie płynie jak gdzie indziej. Nawet tysiąc lat nie wywoła ani jednej zmarszczki na twojej twarzy. A ja klnę się na imię Pana Mojego najświętszego Seta, że pozostanę w Xuchotlu tak długo jak tego zażadasz i nie będę z tobą walczył ani nie uczynię nic bez twego rozkazu, a do wydania żadnego nie będę cię zmuszał.

Tolnotos zdumiał się. Przysiędgi takiej musiał dochować nawet Władca Czarnego Kamienia. Mag opuścił dłonie. Pradawna wiedza — marzenie wszystkich Kapłanów,

niezgłębione tajemnice magii. I bezpieczeństwo dla świata. Zawsze przecież, gdy będzie chciał odejść z Xuchotlu może zniszczyć kamień.

— Powiedz tylko „tak” magu. Tylko jedno słowo, a od tej pory będę związany przysięgą.

Tolnotos zagryzł usta i przymknął oczy. Władca Kamienia czekał, a poły jego płaszczu zdawały się jak czarne skrzydła wypełniać całą komnatę.

— Nieee ! — krzyknął nagle mag rozpaczliwym głosem i szybko zaczął recytować słowa przywołania.

Sługa Seta skurczył się, odrzucił kaptur i wbił płonące oczy w Tolnotosa. Mag skręcał się z paraliżującego bólu, odgarniał napływające ciągle koszmary i wciąż mówił. Aż wreszcie władca jęknął, zmienił się w czarny dym i zniknął w Kamieniu Seta. Wyczerpany Tolnotos zwałił się na podłogę. Rynherd spoza dymu kadzideł dojrzał jego twarz. Wyglądało jakby mag postarzał się o wiele, wiele lat. Ale Tolnotos podniósł się niespodziewanie szybko. Drżał jeszcze na całym ciele, ledwo trzymał się na nogach, lecz podszedł do Rynherda. Uklęknął obok jego krzesła przyciskając głowę do poręczy.

Vanir próżno próbował przywołać kogoś na pomoc. Z jego ust wydobywał się tylko skrzekliwy szept. Tolnotos z wysiłkiem podniósł głowę.

— Conan — szepnął — musimy go ratować, o Mitro — próbował się podnieść, ale jęknął tylko głucho, gwałtownie przycisnął dłonie do piersi i zwałił się na posadzkę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

PIERWSZY

Ylwa zniknęła gdzieś z oczu Conanowi w ciemnym korytarzu, ale usłyszał skrzypnięcie i zobaczył kładącą się na podłodze plamę światła. Pchnął uchylone drzwi i zobaczył ją siedzącą na fotelu obok paleniska, gdzie czerwono dogorywały wpół spalone polana.

— Ylwa, kochanie — szepnął czule sam zdumiony, że serce podchodzi mu do gardła i wolno podszedł do niej.

Kobieta nie zwracając na niego uwagi siedziała bez ruchu z oczyma utkwionymi w żarzących się belkach. Delikatnie dotknął jej dłoni. Miała lodowato zimne palce. Obrócił jej twarz w swoją stronę, zobaczył wpatrzone w siebie nieruchome, niewidzące oczy. Gdy cofnął dłoń, głowa Ylwy znów odwróciła się. Poglądził ją po włosach, zaczął szeptać coś w ucho, wreszcie potrząsnął jej ramionami.

— Zbudź się, na Croma! — krzyknął. — Zbudź się!

Ale ona nie słyszała, nie drgnęła nawet. Siedziała nadal bez ruchu, sztywno wyprostowana, z białymi, lodowatymi dłońmi położonymi na poręczach krzesła. Cimmeryjczyk usiadł u jej stóp i ukrył twarz w dłoniach.

Poczuł gorące łzy na palcach, szeptał jej o swojej miłości i pragnieniu. Mówił o tym jak bardzo za nią tęsknił, jak wiele wycierpiał, ile by dał za to, by znów była mu bliższa. Obiecywał jej szczęście i miłość, snuł plany na przyszłość. Ale ona wciąż siedziała w milczeniu, wpatrując się oczyma bez wyrazu w ogień płonący na palenisku. Klęknął kładąc głowę na jej kolanach, brał w ręce jej zimne dłonie, starał się rozmasować sztywne, lodowate palce, okrywał je pocałunkami i pieścił.

— Powiedz choć słowo — błagał — czy mnie słyszysz? Czy mnie rozumiesz? Ujął jej głowę w dłoń i skierował tak, by patrzyła na niego.

— Czy poznajesz mnie? Znow żyjesz, najukochańsza.

Szukał jakiegoś błysku w jej oczach, ale one pozostawały nadal martwe, nieodgadnione i obojętne. Potrząsnął nią, raz i drugi, mocno, lecz ona nie reagowała. Tylko głowa, jak u szmacianej lalki poleciała w przód i w tył. Potem Ylwa obróciła się, powoli i sztywno, znow wpatrzona w żarzące polana, znow z dłońmi położonymi na poręczach fotela. Conan wstał, zagryzł wargi mocno aż do krwi i przeciągnął wierzchem dłoni po mokrym od potu czole.

— Nikt nie potrafi wskrzeszać zmarłych — powiedział cicho sam do siebie, przypominając sobie słowa Tolnotosa — więc kim albo czym ty jesteś? — odwrócił się w stronę fotela.

Kobieta nagle wstała. Zaskoczony Cimmeryjczyk umilkł i ze zmarszczonymi brwiami, zdziwiony, przyglądał się jej.

— Jestem twoją żoną — powiedziała bezbarwnym, zimnym głosem tak nie podobnym do ciepłego głosu Ylwy — i zostaniemy razem, Conanie. Razem na zawsze.

Zaczęła zbliżać się do niego sztywnym krokiem, z głową nienaturalnie uniesioną do góry i dłońmi ściśle przylegającymi do ud. Uśmiechnęła się odsłaniając śnieżnobiałe zęby.

Ten uśmiech przeraził Cimmeryjczyka. Nie było w nim nic, co pamiętałby z dawnej Ylwy, ba, nie było w nim nic ludzkiego. Twarz kobiety zdawała się być koszmarną maską ściągniętą w nienaturalnym uśmiechu.

— Odejdź — wykrztusił, cofając się pod drzwi. — odejdź.

Ale ona wciąż szła w jego stronę. Teraz wyciągnęła do przodu ręce i zbliżała się krok za krokiem, sztywno, z wyciągniętymi dłońmi, jakby w lunatycznym śnie. Conan nieopatrznie spojrział w jej oczy i zdrętwiał. Nie były już zimne, martwe i obojętne. Teraz płonął w nich ogień jakiejś przerażającej nienawiści, malowała się koszmarna, przedwieczna złośliwość. To spojrzenie nie było spojrzeniem Ylwy. Nie w jej źrenice patrzył, nie jej blask oczu widział. To coś co szło ku niemu, niosło ze sobą pradawną, paraliżującą trwogę. Cimmeryjczyk próbował ruszyć ramieniem, ale nie był w stanie wykonać nawet jednego gestu. Świetliste, namiętne oczy idącej kobiety zniszczyły jego siły, sparaliżowały i unieruchomiły. Nie mógł się nawet bronić, gdy poczuł lodowate

dłonie na swej szyi ani wtedy, gdy ujrzał wyłaniające się spod warg olśniewająco białe, ostre jak brzytwa kły. Zamknął oczy, aby nie widzieć własnej śmierci. Nagle coś ciepłego prysnęło mu w twarz, a potem poczuł jak zelżał uścisk dłoni. Otworzył oczy. U jego stóp leżał bezgłowy kadłub odziany w zetlałe ze starości szaty. Parę kroków obok szczyrzyła z ziemi kły głowa o wybałuszonych oczach. Teraz nie była nawet podobna do twarzy Ylwy. Conan przeniósł wzrok i dojrzał rosnącego Vanira wycierającego skrwawione ostrze w poję płaszcza.

— Powinieneś chyba się wytłumaczyć, przyjacielu — rzekł rycerz chowając miecz do pochwy. — To moja komnata.

Cimmeryjczyk odetchnął głęboko i położył ciężką dłoń na jego ramieniu.

— Patrz — rozkazał, wskazując leżące na ziemi ciało. Zetlałe ubranie rozpadło się w proch, ciało pod nim wprawdzie nabrało zielonawego odcienia, potem zbrązowiło i spuchło roztaczając wokół odór zgnilizny. Płaty przegniłego mięsa odpadały od kości, po czym wreszcie nikły pozostawiając na ziemi wyschnięty, żółty szkielet. Vanir cofnął się i zaczął szybko coś bełkotać, wykonując dłońmi gesty, które miały na celu odczynić zły urok. Conan przyglądał się temu bez strachu i bez zdziwienia. Podszedł do leżącej

parę kroków dalej czaszki. Podniósł ją. Wyłamał dwa długie, ostre kły, przyjrzał się im uważnie i schował w dłoni odrzucając czaszkę na bok.

— Na pamiątkę — powiedział do przerażonego Vanira i poklepawszy go jeszcze raz po ramieniu wyszedł na korytarz.

Koniec — pomyślał z ulgą. Koniec. Teraz Czarny Kamień jest w rękach Tolnotosa. Teraz kto inny będzie narażał życie, kto inny będzie mierzył się z przerażającą czarną magią. On, Conan, wróci do synów, osiadzie spokojnie w miejscu, gdzie wojny są rzadkością, i tam dotrwa do końca swych dni. Wtedy też zdał sobie sprawę, że to wcale nie koniec. Historia musi potoczyć się do końca. Jak w pieśni czy legendzie, gdzie zdrajcy zostają ukarani, gdzie wiarołomstwo znajduje godną odpowiedź. Westchnął ciężko i wolnym krokiem ruszył korytarzem w stronę komnaty, gdzie Tolnotos niedawno odprawiał magiczne obrzędy. Pchnął drzwi. Ujrzał leżącego na posadzce zemdłego maga. Obok, w fotelu siedział Rynherd, próżno próbując dobyć głosu z wyschniętego gardła.

— Jesteś, Cimmeryjczyku — szepnął chrapliwie, a tak cicho, że Conan ledwo usłyszał jego głos. — Znów ci się udało. Żyjesz.

— Żyję — rzekł Conan uważnie patrząc w pooraną bruzdami twarz starca — nadszedł czas zapłaty, Rynherdzie.

Ten zrozumiał jego słowa i skinął obojętnie głową.

— Być może powinienem być ci wdzięczny — powiedział przymykając oczy.

Conan wyjął zza cholewy buta nóż i dźgnął go nim pod serce. Ciało Rynherda natychmiast zwiotczało. Cimmeryjczyk uniósł zemdląłego Tolnotosa i przerzucił go sobie przez ramię. Ciało maga było tak lekkie, że prawie nie poczuł ciężaru. Szybko wyszedł, po czym krętymi schodami zbiegł do podziemi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Mag, kiedy tylko otworzył oczy, natychmiast domyślił się wszystkiego.

— Ty głupcze — syknął — jak mogłeś to zrobić. Na pewno już nas szukają.

— Jesteś czarnoksiężnikiem — odparł Conan — i wydostaniesz nas stąd.

— Jestem czarnoksiężnikiem — wybuchnął Tolnotos, — ale nie wiem, czy powinienem pomagać oszalałemu z nienawiści mordercy!

— Nie masz wyboru.

— Gdzie jesteśmy? — mag rozejrzał się wokół, ale otaczająca ich ciemność była tak gęsta, że nie mógł dojrzeć nawet własnych wystawionych przed twarz dłoni.

— W składzie wina — zaśmiał się Conan — bardzo dobrego i bardzo starego wina. Chcesz spróbować?

Tolnotos pominął milczeniem jego pytanie, po czym wypowiedział parę słów w śpiewnym, melodyjnym języku i klasnął w dłonie. Palce jego rąk rozżarzyły się zimnym, seledynowym światłem. W tym blasku ujrzał, że znajdowali się w niewielkim lochu wypełnionym omszałymi butelkami i gąsiorami. O jedną z nich opierał się Conan i mrużył porażone światłem oczy. Jego twarz, dłonie i płaszcz spryskane były czerwonym winem.

— Ech, magowie — mruknął uśmiechając się — przydajecie się czasem — dodał sięgając po następny gąsior.

Tolnotos szybkim ruchem wytrącił mu naczynie z ręki.

— Milcz i słuchaj, jeśli chcesz żyć — powiedział zimnym głosem — nie wydestaniemy się stąd nigdy, jeśli nie otrzeźwiejesz. Czy myślisz, że jeden mag, nawet tak znamienity jak ja, pokona zgraję rozwścieczonych Vanirów i przedrze się przez mury i strażę? Wplątałeś nas w nieliche kłopoty, głupcze!

— Nie wiem, czy chcę żyć — powiedział Conan kiwając głową na boki — nie mam już nic i na nic nie czekam. Nie uniósłbym nawet dłoni w obronie, gdyby teraz: ktoś chciał mnie zabić.

— Pięknie kończyłaby się opowieść o Conanie Cimmeryjczyku — rzekł szyderczo Tolnotos — o królu Aquillonii, piracie Czarnego Wybrzeża, pogromcy kapłanów Seta, zabitym przy beczce wina, pijanym i brudnym jak świnia, barbarzyńcy usieczonym przez byle kogo.

Conan podniósł wzrok.

— Legenda uczyniłaby z tego jeszcze chwalebłą śmierć — powiedział uśmiechając się lekko — ale przekonałeś mnie, Tolnotosie. Zgaś to przeklęte światło i daj mi zdrzemnąć się choć chwilę. Potem trzeba będzie opuścić ten niegościnniej zamek.

Cimmeryjczyk ułożył się na ziemi, kładąc głowę na zgiętej dłoni i momentalnie zasnął. Po chwili w lochu słychać było tylko jego głośne chrapanie. Obudził się wyspany i wypoczęty, choć spał zaledwie godzinę. Ale długie życie, pełne wojennych trudów, nauczyło go wykorzystywać nawet chwilę snu.

Wydostali się z lochu i stanęli przy małych, zaryglowanych od środka drzwiczkach, prowadzących na zamkowy dziedziniec. Conan przytknął twarz do desek i zerknął przez szparę. Podwórzec wypełniony był Yanirami, ciężkie kraty zasunięto przy bramie, a po murach krążyły strażę. Ustąpił miejsca Tolnotosowi, a ten patrzył przez chwilę, po czym oderwał się od drzwiczek i obejrzał na Conana.

— Wymyśliłeś coś? — zapytał ze złością w głosie.

— Poczekamy do nocy — odparł Cimmeryjczyk.

— A potem?

— Prześlizgniemy się. Myślę, że twoja magia na coś się nam przyda.

Tolnotos ponuro pokiwał głową.

— Czeka mnie ciężkie zadanie, ale przeprowadzę nas przez bramę. Na Mitrę, nie wiem czy dobrze, że cię kiedykolwiek spotkałem.

— Zawsze możesz wrócić do swoich kóz — wzruszył ramionami Cimmeryjczyk — a co do bramy, to później Tolnotosie. Wpierw chcę dostać Hrodwiga.

Mag uśmiechnął się zimno.

— Spodziewałem się tych słów — rzekł — nie dość ci jeszcze krwi?

— Nie — pokręcił głową Cimmeryjczyk — mam jeszcze porachunki do spłacenia, a nigdy nie lubiłem zostawiać wierzycieli. Kiedy wydostaniemy się z Vanaheimu, przysięgam, nie będę już żądał twojej pomocy. Ale tyle chyba mi się należy, nieprawdaż starcze Ismailu?

Tolnotos drgnął usłyszawszy imię, które sam sobie nadał na długoletnim wygnaniu.

— A więc czekajmy nocy — odparł i usiadł opierając głowę na kolanach.

Już przed wieczorem Conan usłyszał jak mag mruczy coś pod nosem w dziwnym, śpiewnym języku, ujrzał jak fosforyzujące dłonie Tolnotosa układają w ciemności przedziwne, zawile wzory. Trwało to bardzo długo. Melodia słów i gesty wciąż powtarzały się. Mag siedział blady i skupiony, z nieruchomą twarzą i przymkniętymi oczami. Wreszcie wstał.

— Chodź — rozkazał i pewnym krokiem ruszył ku drzwiom prowadzącym na dziedziniec.

Odsunął rygle i pchnął drzwi, a te z głuchym jękiem i przeraźliwym zgrzytem uchyliły się. Wyszli na korytarz. Na środku podwórca płonęło ognisko, na murach widać było przesuwające się płomyki pochodni.

— Chodź — powtórzył Tolnotos — skończmy z tym jak najszybciej.

Nagle Conan zauważył żołnierza wysuwającego się z mroku i już sięgał po sztylet, gdy dłoń maga opadła na jego ramię.

— Zostaw — usłyszał szept tuż przy uchu — nie dojrzy nas. Ale nie waż się wydać ani dźwięku.

Zdziwiony Cimmeryjczyk patrzył jak Vanir przechodzi obok nich, jak niewidzącym wzrokiem spogląda na ich postacie. Wtedy zrozumiał i pełen podziwu dla potęgi kordavajskiego maga, pokręcił głową. Tolnotos pociągnął go za rękę i ruszyli w stronę bramy, przy której strażowało dwóch żołnierzy.

Prześlizgiwali się przez zamek jak duchy, cicho i niezauważalnie dla Vanirów, aż w końcu stanęli nad łóżem Hrodwiga. U stóp władcy drzemał młody giermek, a sam król otulony pierzynami spał starczym snem, pełnym majaków i koszmarów, niespokojnym i nie dającym ukojenia. Conan wpatrywał się chwilę w tę pomarszczoną, przypominającą pieczone jabłko twarz, w zlepione potem kosmyki siwych włosów opadające na oczy, w wykrzywione w grymasie strachu przed nocnym koszmarem usta. Wreszcie wolnym ruchem wyjął zza pasa sztylet, uniósł go i opuścił z całych sił.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Kiedy Hrodwig obudził się, jak co rano drżący i zlany potem, pierwszym co ujrzał był nóż wbity w drewnianą poręcz łóża. Długo wpatrywał się w rękojeść broni, a następnie wezwał strażę i kazał odwołać poszukiwania Conana Cimmeryjczyka. Nigdy więcej już o nim nie słyszał.

EPILOG

Conan i Tolnotos dotarli razem aż do Kordavy. Tam ich drogi rozeszły się. Stary mag podążył do Kushu, na przerażające cmentarzyska Xuchotlu, aby tam spotkać się z przeznaczeniem, aby zmierzyć się z własną słabością i stanąć oko w oko z koszmarem, który już raz go pokonał. Conan Cimmeryjczyk natomiast wynajął mały statek z sześcioma żeglarzami i popłynął na zachód w kierunku Wyspy Czarnych. Miał nadzieję zastać tam Membu Kobanę i opowiedzieć mu ostatnie rozdziały tej historii, tak jak obiecał to w Khemi.

Pałac króla piratów był iście wspaniały. Zbudowany w całości z drzewa palisandrowego i mahoniu górował nad całą zatoką wznosząc strzeliste wieże, zdawałoby się, aż pod niebo. Wokół krzątały się setki niewolników, a w dole, na redzie cumowały ściągłe, smukłe okręty wodza piratów. Membu Kobana i Conan stali przy oknie, z którego widok rozpościerał się na wody zatoki.

— Są ich setki — rzekł czarny pirat — a niedługo będą tysiące. Ruszą jak wygłodzona sfora na Stygię, Zingarę, na Kush, na Shem, a potem wciąż dalej i dalej. Zbudują imperium, Cimmeryjczyku.

— Imperia zbyt łatwo upadają — odparł Conan — ale czy nie chcesz usłyszeć końca mej historii?

Membu Kobana skinął głową i usiadł w fotelu wskazując Cimmeryjczykowi miejsce obok siebie. Gdy wysłuchał opowieści do końca, odetchnął głęboko i pokiwał ponownie głową.

— Zachowałeś się niezwykle wielkodusznie — stwierdził splatając dłonie — a co zamierzasz dalej robić?

— Mam jeszcze jeden dług do spłacenia — odparł Conan patrząc piratowi prosto w oczy.

Membu Kobana znieruchomiał.

— Zdradziłeś mnie — rzekł twardo Cimmeryjczyk — skumałeś się z Sedranafalem, aby zdobyć Czarny Kamień.

Pirat wolnym ruchem, aby Conan nie poczytał tego za wrogi gest, otarł pot, który nagle zaperlił się na jego czole. Na kręgosłupie czuł już zimną strużkę i ledwo co powstrzymał drżenie dłoni.

— Nie kazałem cię zabijać — powiedział ochryple z trudem przewyciężając twardość nagle sparaliżowanych szczęk — zrozum Conanie, to był tylko interes. To nie było nic osobistego. Jesteś nadal moim przyjacielem — próbował się uśmiechnąć.

— Jak mogłeś być tak głupi — rzekł z goryczą Cimmeryjczyk — jak mogła cię oślepić potęga Kamienia Seta. Nigdy nie zapanowałbyś nad nim. Nawet z pomocą swoich magów i szamanów.

Membu Kobana zacisnął palce na kolanach. Ton Conana zdumiał go, ale i zatrwożył. Miał jednak jeszcze nadzieje wybląga życie.

Nim jednak zdołał powiedzieć choć słowo, twarda dłoń zdusiła mu usta, a ostrze sztyletu rozcięło brzuch wypuszczając na zewnątrz kłębowisko dymiących flaków. Conan puścił go i pchnął, a Membu Kobana przewrócił się, próżno próbując wepchnąć wnętrzności do środka. Nie jęczał nawet, tylko zagryzł wargi tak mocno, że krew ściekała mu po brodzie. Cimmeryjczyk patrzył na niego przez chwilę, po czym odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

— Conanie — dobiegł jego uszu jęk — Conanie.

Wolno obrócił głowę. Membu Kobana leżał wsparty na lewym boku, prawą dłonią przytrzymując wnętrzności.

— W imię dawnej przyjaźni — szepnął — błagam.

Cimmeryjczyk stał przez chwilę niezdecydowany. Potem podszedł do pirata i uklęknął obok niego. Kobana przytulił głowę do jego ramienia.

— W imię dawnej przyjaźni — rzekł Conan i pchnął mocno pod serce.

Potem ułożył martwe ciało na podłodze i nakrył kobiercem. Zamknął powieki na wybałuszonych, pełnych bólu oczach i wolnym krokiem wyszedł z komnaty. Wiedział,

że historia Czarnego Kamienia jeszcze się nie skończyła, ale miał nadzieję, iż skończyła się dla niego.

KONIEC